Patri Patriae

Józefowi Piłsudskiemu

w najwyższym hołdzie.

BLANKA HALICKA
(HELENA ZBOROWSKA)

DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA

SIWA PANI.

DWIE HISTORJE PRAWDZIWE.

KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI M. SKULSKIEJ ULICA SZEWSKA L. 20.
(DAWNIEJ K. WOJNARA).
1922.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM J. DZIUBANOWSKIEGO.

DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA.

I.

Od wielu już, wielu lat, od jakich dwudziestu blisko, widywali mieszkańcy Wilna starego, siwego człowieka, w tymsamym wiecznie zimą czy latem, grubym, kortowym płaszczu szarym, jak dzień w dzień, wczesnym rankiem szedł ulicami budzącego się miasta na pierwszą mszę do Ostrejbramy.

Przechodził ulicami wolniuteńko, na lasce wsparty, pociągając nogami, które jakby do wleczenia za sobą strasznego jakiegoś ciężaru przywykły — z ramionami dziwnie w górę podniesionemi, jak od dźwigania jarzma nad siły — z rękami nadmiernie jakoś wydłużonemi, że to długie, długie lata okrutną jakąś taczkę wciąż przed siebie pchały... O długich, białych włosach, spadających na kołnierz płaszcza, — o chudej, zapadłej twarzy, mlecznym zarostem okolonej, wśród której zaginał się cienki, orli nos i żywym, iście młodzieńczym błękitem świeciły oczy, niespodziewanie żywe i niebieskie w tej twarzy-ruinie — wydawał się poranny wędrownik bratem rodzonym tych smutnych, tragicznych starców z Jacka Malczewskiego obrazów, dźwigających na śmiertelnie znużonych ramionach wszystek nadludzki ciężar żywota...

Niby tego brat bliźni, któremu na barkach zgiętych dziwna jakaś skrzydlata istota usiadła, o kącikach ust podniesionych uśmieszkiem okrutnym, czy szyderskim może, litośnym?... i »gorzki chleb« do ust mu podaje, i ciężarem nieudźwignionym do ziemi gniecie, gniecie...

I tego, co na oczy jemu umęczone dłoń położył cudny, płowy Anioł Śmierci, o sfinksa uśmiechu...

I tego, posiwiałego w Sybiru śniegach, starego, jak świat i jak ból, Anhellego u stóp Ellenai umarłej, stokroć smutniejszego od Anhellego młodzieńca, jakim go Słowacki wymarzył...

Szedł i szedł stary człowiek, codzień przez ulice tesame, o najpierwszym nad Wilnem słońca brzasku — w miękkich filcowych butach sunąc bezgłośnie jak cień.

I cień on był iście, cień dawno minionych lat, umarłych i pogrzebanych, i prawie już zapomnianych wśród zgiełku dzisiejszego świata, głoszącego życie i użycie, i rozsądne przystosowanie się do rzeczywistości, a bankructwo mrzonek... On, Władysław Jeżewski, powstaniec, katorżnik i sybirak, któremu życie całe zbiegło w męce za te właśnie nierealne mrzonki!

Szedł coraz dalej i dalej, mijał kościół Bernardynów, w świetle rannej zorzy purpurowy cały, i wyzierający temu zza ramienia, klejnot Wilna najpiękniejszy, cudny jak sen płomienistego gotyku, św. Anny kościółek.

Nito wielki relikwijarz, przecudownie w koralu rzeźbiony, ów kościółek; nito wyłoniony czarem z morza bajeczny krzak koralowy; nito płomień z ziemi wybiegły ku niebu wysoko, w pąsowe ostrołuki zapleciony i we wstęgi ogniste, i w kamień stężały tak cudem — na wieki.

Aż sam Napoleon, pan świata, był Wilnu prześlicznej owej świątyńki pozazdrościł, mówiąc, że radby on klejnot na własnej dłoni przeniósł do Paryża!

Mijał plac Katedralny, na którym majestatyczny kościół pod wezwaniem św. Stanisława, przez Jagiełłę pobudowany na miejscu dawnej świątyni Perkuna, świecił jasną, grecką fasadą — i tuż obok, poglądający na kaplicę, kędy srebrna trumna Kazimierza świętego, urągał straszliwie pomnik »matuszki« Katarzyny!...

Przed marmurową carycą na straży dzień i noc warta: jak drut wyprostowany, a jak but głupi i jak noc ciemny sołdat-mużyk z kazańskiej gdzieś tam czy tulskiej gubernji, postawiony tutaj, by zaś jakowaś świętokradzka ręka nie znieważyła pomnika!

Różne bo już niecne figle Wilno to niewdzięczne, ślepe, płatało oswobodzicielce od polskiej niewoli... raz n. p. się przydarzyło, że jakiś zbrodniarz niewiadomy wysmarował cokół wilczem sadłem, że się z całego miasta psy zbiegały i wyły na wyścigi przed oblicznością matuszki!... a kiedyindziej, samże matuszki święty wizerunek czemś wielce smrodliwem namaszczono...

Pan Jeżewski, przechodzący pomaleńku, zawsze starannie tutaj na ziemię spluwał, nigdy nieprzepomniał, jak gdyby chodziło o dopełnienie świętego jakiegoś obowiązku! — i patrząc na nieruchomego sołdata, tkwiącego z bagnetem u cokołu, tak mruczał pod nosem, gładząc siwą brodę:

»Czysta bo allegorja, jak Boga kocham! bez sołdata Katarzyna ani rusz!... jak i za życia... ani w dzień ani w nocy!...«.

Dalej powolutku, dalej w drogę... plac Gubernatorski, w 1812-tym, gdy wielki cesarz, jak meteor, błysnął nad Litwą, i zagasnął! nazwany placem Napoleona... i gubernatorski pałac straszliwej pamięci, w 63-cim mieszkanie Zwierza...

I dzisiaj, przed pałacem, pomnik Zwierza!...

W męczeńskiem mieście ten ku czci kata, który je za gardło chwycił i zadławił!...

A jednak, gdy stanął pomnik hańby, policzek Litwie, Polsce wymierzony, znaleźli się, którzy uczestniczyli w »radosnym« obchodzie, z odkrytymi łbami wysłuchiwali przemówień wielbiących »sławnego obrońcę prawosławia« i russkiej narodowości w Północno-Zachodnim Kraju, Michała Mikołajewicza Murawiewa... i milczeli, i kłaniali się Bestji...

Pan Jeżewski już tu nie spluwał, jeno na sromotne to przypomnienie jakby nóż czuł w starem sercu, i równocześnie hardą jakąś, gniewną pychą wznosiła się siwa głowa:

»Chwalić Pana Boga, nie ze wszystkich przecie jeszcze najgorszy mój los!... Nie mieniałbym tych tam moich 35-ciu lat, za tę ich tu jednę godzinę!!«

A w pieśni porannej kościelnych dzwonów nad miastem niewolnem brzmiała zda się Zygmunta Krasińskiego śmiertelna skarga:

»Niczem Sybir, niczem knuty,
»I cielesnych tortur król...
»Lecz Narodu duch otruty
»To dopiero bólów ból!«

Strach!! trwoga!! podły strach!! najzjadliwsza ze wszystkich trucizna! Nie żre, nie rozkłada żaden jad, jako ten z jadów najnikczemniejszy — a przecie, o Boże, ludzki taki, trwoga!...

Oparty o żelazną kratę, stał długo i patrzył stary. Mocno niebieskie, młodzieńcze niemal oczy w twarzy-ruinie mierzyły

straszliwem spojrzeniem wyniesionego wysoko na granitowym złomie człowieka ze spiżu.

Krępy, przysiadły, mocno zaparty na krótkich nogach, grubych jak kloce drzewne, ciasno opięty w mundur generalski, z szeroką rzeźnicką łapą na gardzie pałasza, z okrutną, spłaszczoną u czoła mordą złego buldoga, Murawiew-Wieszatiel nad Wilnem stróżował, żandarm nieśmiertelny...

A sybirski męczennik rozgorzałymi oczami spoglądał w twarz Zwierza, trzęsące dłonie konwulsyjnie zaplatał wkoło żelaznej kraty, że zdało się, pękną albo stare kości, albo ta krata! — i tak szeptały, by prorokujące, wargi wybladłe:

»Morderco Sierakowskiego Zygmunta, ukochanego mojego wodza, na którego śmierć na stryczku patrzały te oczy, i nie zapomną!

Morderco Kołyszki, Platera, Dalewskich, księdza Mackiewicza, wyświęconego Bożego kapłana, i innych tysięcy! Gwałcicielu świętokradzki leśnej powstańczej Narbutta mogiły!

Niszczycielu gniazd naszych, coś wsie polskie na czterech rogach podpalał, ludność z kobietami, dziećmi, na Sybir pędzał pod batem, a zgliszcza wołmi zaorywał, by ślad nie ostał!

Kacie Polski! Kacie Litwy! Bądź ty przeklęty!!!

Piekła dla ciebie zamało! I by straszniejsza tobie jeszcze wieczna kara, obyś z miejsca gdzie ogień nie gaśnie, a robak nie umiera, widział tu na ziemi śmierć twej ojczyzny we krwi i kale!!!

Już słońce na niebo wypłynęło wysoko. Ukończona nareszcie długa przez poranne Wilno wędrówka.

Oto szara Ostra Brama przed oczami; z góry dzwonek jak ptak śpiewa, na modlitwę zwołujący.

Uciszą się, ukołyszą te w sercu człowieczem wciąż zrywające się na nowo świętego gniewu fale i nienawiści stokroć sprawiedliwej...

Pokój! pokój ludziom na ziemi! — rozegrał, rozśpiewał się dzwonek.

Przez rozwarte, wielkie okno kaplicy, widna w tęczy blasków srebrna Matka Boska.

»Panno święta, co w Ostrej świecisz Bramie!...«

Ciemnolica, litośnie uśmiechniona, ku ludowi swemu głowę pochyliła; ponad złoty sierp miesiąca w krzyż dłonie

złożone, błogosławi Polsce, Litwie, siostrom bliźnim, nierozdzielnym...

Pan Jeżewski w najtajniejszy kąt kapliczki się zasuwa, i z duszy starego, podobnej duszy dziecka, równo jasnej, równo prostej, modlitwa błagalna wzwyż płynie — że zda się, spala się wszystka, jako kadzidło, ta dusza gorąca przed Panią w srebrnej tęczy!

»Orędowniczko nasza! O, Pośredniczko nasza! Wyproś u Syna — Polski, Litwy zbawienie, wywiedź nas z domu niewoli! Daj mnie, Matko Ostrobramska, co mnie był męką żywot cały, nim zamkną się w grobie te oczy, ujrzeć dzień zmartwychwstania! Daj ujrzeć Polski Mściciela!«

Tak już od lat; tak już od całych, długich... Mijają, jako polna trawa. Dwadzieścia już będzie pewno. A starzec zawsze jednaki. Jakby zatrzymał się czas nad jego zbiedzoną głową, jak gdyby nie miał on już wieku — jak gdyby on, sam ten z kosą Czas wieczny...

Coraz tylko bardziej ociężale po wileńskim bruku stare nogi się wloką, niby ciągnące poza sobą ciężar kajdan niewidzialny; coraz mocniej tylko garbią się, ku ziemi chylą ramiona, wygięte od trudów katorgi; nieco więcej dziś jeno jeszcze chude ręce wydłużone, które przed sobą lat tyle taczkę niewolnika popychały, popychały...

Zawsze, codziennie, niezmiennie, dziś jak przed dwudziestu laty, na pierwszej mszy najranniejszej, przed Ostrobramską Bogarodzicą, pan Władysław Jeżewski, powstaniec i sybirak, modli się o Polski zmartwychwstanie, o Mściciela przyjście...

II.

Panu Jeżewskiemu, gdy po trzydziestopięcioletniem wygnaniu powrócił był z Sybiru na rodzinną Litwę, siódmy krzyżyk na plecach, i tych dziesięć palców tylko na własność mając, nic więcej! — wyrobili byli posadę lekką i łatwą dobrzy ludzie, aby stary przecież jakoś wyżył, nie potrzebując uciekać się do dobroczynności publicznej.

Posada była nadzorcy przy świeżo właśnie, staraniem obywatelstwa otwartem, muzeum sztuki i nauki w Wilnie — więc istotnie łatwa i lekka, zwłaszcza, że miał do pomocy dwóch chłopaków (po litewsku »błaznów«) których obowiązkiem było sprzątanie, okurzanie obrazów i rozmieszczonych na półkach przedmiotów, i wogóle utrzymywanie porządku; pan Jeżewski zaś miał tylko pilnować, aby »błazny« wszystkiego należycie dopełniły, równie jak i tego, by zwiedzająca (nieczęsto!) publiczność, nie uczyniła jakiej szkody.

Ponieważ okradanie muzeów nie weszło było jeszcze wówczas w użycie, (zapoczątkowane później, jak zawsze każda moda, naturalnie w Paryżu! kradzieżą Leonardowskiej Mony Lisy), dozorowanie więc cichego i mało uczęszczanego wileńskiego muzeum, było prawdziwą synekurą, złotym wczasem, spokojnym portem po burzach żywota — jednem słowem tem wszystkiem, czego człowiekowi najmocniej zazdrościć zwykli poczciwi bliźni!

Miała przedewszystkiem ona posada tę pierwszorzędną zaletę, że pozostawiała szczęśliwemu wybrańcowi niezmiernie wiele wolnego czasu.

A sybirak czasu swobodnego tego używał ku zaspakajaniu trzech wielkich namiętności swego wieku starego: wspominaniu przeszłości, — czytaniu, raczej pożeraniu książek w zdu-

miewającej obfitości i z szybkością, zdolną pobić każden rekord, — i wreszcie rojeniu przeróżnych politycznych kombinacji, z których niezmiennie zawsze na końcu wyłonić się miała niepodległa Polska, jaśniejąca jako słońce!

Życie, które ze wszystkiego starca odarło, to jedno mu na własność pozostawiło litośnie: zdolność marzenia.

I marzenie też, nie zaś rzeczywistość ta marna, szara, biedna, było istotnem życiem tego wydziedziczonego!...

Strasznie snać uparta i niepoprawna zgoła, niedostępna argumentom zdrowego rozsądku musiała być sztuka, »buntowszczyk« on stary — bo n. p. przyglądając się życiu różnych dzisiejszych swoich wileńskich znajomków, poczciwych spokojnych mieszczuchów czy hreczkosiejów, którym przetoczyło się ono całe tak gładko i bez wstrząśnień, że wprost jakoby wygodna drzemka poobiednia, nieinaczej! — wcale nawet nie zdołał, jakby na otrzeźwionego wreszcie człeka przystało, wzbudzić w sercu skruchy i żałości, że kiedyś w swoim czasie puścił się na awantury, i skutkiem tego najfatalniej los swój zmarnował! Któren to los przecież mógł był stać się równie bezpiecznym, zacisznym i wygodnym, jak wszystkich tych wokoło mężów realnie na świat patrzących...

Wszak tym przedstawicielom zdrowego, najzdrowszego rozsądku, nawet sprawiedliwego uznania ze strony społeczeństwa nie zabrakło! Słyszał bo raz przecież na własne uszy pan Jeżewski, jak na pogrzebie jednego z nich, przyjaciel tegoż i kandydat na równie kiedyś w przyszłości wysławianego nieboszczyka, w pogrzebowej mowie wychwalał zmarłego »niezwykłe wyrobienie charakteru i zdolność panowania nad grającymi mu w duszy porywami«, skoro przed 50-ciu laty, gdy młodzież na oślep leciała w przepaść, uniesiona »szlachetnym a niewczesnym zapałem«, on się jednakowoż porwać nie dał, i tym sposobem w swej osobie pożytecznego na przyszłość obywatela dla tej nieszczęśliwej naszej ojczyzny ocalił! Więcej, o więcej jeszcze, bo przykładem swoim i wymową udało mu się nawet powstrzymać kilku młodych zapaleńców, którzy inaczej byliby najpewniej dla rodzin i kraju straceni!!...

Wówczas pan Jeżewski, że to widno przez 35 lat na Sybirze trochę był zdziczał, wywołał coś nakształt skandalu na cmentarzu, odzywając się głośno w te słowa: »Patrzajcie pań-

stwo, patrzajcie! za co bo już człowieka nie chwalą, byle tylko wyciągnął kopyta!!«

Żywot poczciwego człowieka, spędzony między urzędniczem biurkiem, sklepową ladą czy hreczki sianiem — a smacznym obiadkiem, a ciepłym kominkiem, a miłą fajeczką po obiedzie..., — dziwak ten o awanturniczych gustach »bagnem« wprost nazywał i stojącą zgniłą wodą!

A sobie na pociechę po wszystkich burzach i wichurach, jakie nim trzęsły były, trzęsły, przecie duszy rogatej nie zdołały z ciała wytrząść! — tak zaś przyświadczał, przychwalał:

»Ja bo choć, chwalić Pana Boga, bagna tom w życiu nie zaznał! wszystko inne, to było, tylko to jedno nie!«

. . . . . .

. . . . . .

Wspominanie!... wspominanie!... Tak właśnie, jakby człek golnął był sobie potężny kielich starego, słodkiego, mocnego wina, że po nim wszystko, co jest, gdzieś się zapodziało, a żyje tylko to, czego niema...

Stare dzieje!... stare dzieje! dużo bólów, dużo łez!... przecie, że stare takie, zawżdy wspomnieć miło!

Tak bo już dawno, przedawno, jakto kto zgoła inny cierpiał był i płakał — a ten, co został, już tylko pamięta...

Tyle lat, Chryste Panie! wypadków tyle, świata tyle, od Wisły, Niemna, od gór Kaukazu po Ocean gdzieś Spokojny — i ludzkich twarzy rój odeszłych na wieki, zatraconych gdzieś po drodze w żywota wędrówce...

Tak temi rozpamiętywaniami w cichych, jasnych ścianach wileńskiego muzeum bawić mu myśl można, jak gdyby najciekawszą jakąś, pełną fantazji powieścią!

Szkoda, panie, że Sienkiewicz nie wiedział! gdyby mu ktoś tak to wszystko, jak było, dokumentnie po porządku wyłożył, onby dopieroż, ho, ho, panie! tęgą powieść wykoncypował!

Co to jedną powieść?... na całą nową trylogją dosyć byłoby treści!... całą, ani chybi, bibljoteczną półkę w wypożyczalni książek poczciwej pani Podraziny (która z uprzejmości, całkiem bezinteresownie, zaspakajała nienasycony czytelniczy

głód pana Jeżewskiego, swego w kamienicy lokatora) zapełnićby opisami samych jego przygód i żywota losów!

Nicby nawet dołgać nie potrza dla ornamentu, jak to łgać zwykli powieściopisarze!

...Wszystko tedy od początku, za porządkiem, tak, jak było! że jako to we wszystkiem, dobrodzieju mój, ład jakiś i porządek być musi... nie tak, groch z kapustą!

A więc najprzód dom rodzinny, stary dwór kochany, z facjatką, z gankiem na białych filarkach, Klecka Wola, nad samemże trockiem jeziorem, nad »trockiem morzem«, pośród którego na wyspie, jak z cegły czerwonej wielka góra, ruiny zamku Witolda czy Kiejstuta może, Gedymina?...

Najmilsze, najśliczniejsze dzieciństwa wspomnienia z Trok morzem, z tem zamczyskiem powiązane...

Zwaliska królewskie, dostojne, krzewami, drzewami młodemi zwieńczone u czoła, co się na wieżycach półzwalonych zasiały, uczepiły framug, wnęków, i tak zielenieją sobie wiosną, latem, gdzieś tam hen pod niebem wysoko, — a jesienią się złocą...

Zawrotne przepaście okien, co przez nie już tylko błękit wyziera, otchłanie pustych wrót, które już dzisiaj nigdzie nie wiodą...

I milczenie w tych ruinach wielkie, modlitewne, jak w kościele — jeno majową, słowiczą porą, jasne szmaragdowe gaje całe rozśpiewane, rozegrane słowiczą kapelą...

Zaklęte zamczysko, koralowa góra na jeziorze — na jeziorze raz niebieskiem, jak sam lazur nieba, raz jak stal granatowo-czarnem, gdy się górą wicher zerwie, i wzburzą się wody, i burza zawarczy...

Tak blisko ze starego dworu z facjatką, nie będzie jak dwa stajania. Nic, tylko ogród przebiedz, przebiedz łąkę spływającą aksamitnym trawy stokiem aż do samej wody — łódkę odczepić, i hajda, po trockiem tem morzu!

Raz, pamięta pan Jeżewski, małe siostrzyczki do tej wycieczki zwabił za sobą, Bronię i Jadwisię, i mało nie potopił, bo niezbyt wprawnie jeszcze wtedy wiosłować umiał, błazen dwunastoletni! Dostałże też wtedy w skórę, dostał serdecznie!!!

I na dobitek, trzysta razy, nie mniej, nie więcej! przepisać mu kazano najpiękniejszą kaligrafją, bez jednego, broń Boże, kleksa, bez jednego żyda! »Pochwałę różdżki« którą w owych czasach każde dziecko, niby pacierz, na pamięć umieć musiało:

»Różdżką dzieteczki Duch Święty bić radzi!
»Różdżka nikomu nigdy nie zawadzi!
»Różdżka napędza rozumu do głowy,
»Uczy pacierza i chroni złej mowy!«

Oj! nie żałował też tego systemu pedagogicznego dzieciom, zwłaszcza czterem synom, pan Szczepan Jeżewski, srogi pan, Kleckiej Woli właściciel i pułkownik z 31-go roku! Jak ongiś pułk ułanów, tak teraz rodzinę i służbę żelazną trzymał ręką, że pisnąć nikt się nie ważył! Względem jednej tylko żony odstępował od zasady, i był zawsze pełnym rycerskiej atencji — to też, jeżeli kto na świecie, jedna jeszcze pani Marja Jeżewska, śliczna mama, jak anioł dobra i łagodna, surowość małżonka zmiękczyć była w stanie! Albo i czasem, pod dobry humor, teść, pan Woydyłło, stary weteran napoleończyk, stale przy córce i zięciu zamieszkały — który choć pono za młodych lat Napoleona nieprzyjaciół »napsował« nie mało, narąbał, jak trzasek, teraz, czasu pokoju i starości człek stał się miękki, zwłaszcza dla wnuków, i prost by z masła miał serce!

Klecka Wola! już dzisiaj ni śladu ni znaku! Gdzie dwór stary z filarkami, gdzie ogród i stuletnie lipowe aleje, — pod ten czas szczere pole, pług je kraje wiosną, szumi latem zboże...

Et! co tam! Nie to jedno djabli wzięli, wszystko wzięli!... roztkliwiał się człowiek nie będzie, boby się na nic, stary dureń, rozmazgaił!

Jak gdyby jeden dzień niezamąconej, słonecznej pogody, całe dzieciństwo, cała młodość... bo te tam częste gęste skórobicia!!... do wszystkiego ostatecznie znakomicie przyzwyczaić się można! Wpajała zresztą rodzeństwu od małego stoicką tę zasadę, długoletnia bona Szwajcarka, Mlle Sophie Führer, która przy każdej sposobności powtarzać zwykła była:

»On s'habitue a tout, même aux coups de bâton...«

Pierwsze w młodości dotkliwe zmartwienie, pierwsze zaćmienie się życiowego horyzontu, to była ta z Ignasiem historja...

Ignaś był brat najstarszy, o cztery lata od niego, Władka, starszy, i dla niego ideałem wszystkich doskonałości! Śliczny, dorodny, jak topola chłopiec, o jasnych, krętych włosach, i twarzy by krew z mlekiem, żywy jak iskra, zuch, co się zowie, i urwisz wielki.

Władek miał wtedy 18 lat, a Ignaś 22 — i ojciec, pragnący by się pierworodny wcześnie ożenił i ustatkował, oświadczył się w jego imieniu, a bez uprzedniego z nim porozumienia (bo ktoby tam, panie, błazna o zdanie pytał!) o sąsiadkę, pannę Stasię Witowską, najbogatszą w powiecie dziedziczkę, sierotę, której trzy wsie spadkowe, prawdziwe złote jabłka, o miedzę graniczyły z Klecką Wolą i utworzyłyby z nią razem kompleks wspaniały.

Bardzo to sobie wszystko mądrze i praktycznie ojciec wykoncypował! Szkoda tylko wielka i nienaprawiona, że przed stanowczym krokiem tak ani na jotę Ignasia nie wysondował!

Panna Stasia miała wcale miłą, bladą twarzyczkę i ładne, smutne siwe oczy, ale była słabowita, istne skrzypiące koło, i troszkę ułomna. Nie to, żeby całkiem garbata, ale zawsze... W ładnym szaławile Ignasiu przytem na śmierć rozkochana.

Gdy więc pana Szczepana per procurationem oświadczyny ze łzami radości przyjęte, stary pan, wielce kontent, wtedy dopiero zawezwał syna przed groźne oblicze swoje, i takie mu wypalił dictum:

»Lepszy łut szczęścia jak funt rozumu! Uczyć mi się aść ni w ząb nie chciałeś, a tu trzy wsie, jak trzy brylanty pierwszej wody, i tak przepysznie z Klecką Wolą skomasowane!!! Jak na obstalunek!! Że tam panna nie piękność... ale z gniazda zacnego, i ojciec jej nieboszczyk takim był mi od serca przyjacielem, żem w życiu całem nie miał drugiego takiego konfidenta! I to sobie, błaźnie, mówię ci, zapamiętaj: primo, że już po roku żaden mąż ani wie, czy żona ładna czy brzydka, tak się przyzwyczai, secundo, że po nocy, panie, wszystkie koty bure...«

I na to, o Boże! stała się rzecz niewidziana, niesłychana, jakiej nigdy nie oglądał, choć stary, nie dzisiejszy, dwór biały w Kleckiej Woli!

Ignaś okoniem się ojcu postawił, prawie że, Boże odpuść, do oczu skoczył! krzyczał, jak opętany, że się nie będzie żenił z garbusem, że w łeb sobie raczej strzeli!!

I koniec był taki, że w łeb sobie wprawdzie nie strzelił, jednakże po najgwałtowniejszej z ojcem przeprawie, gdy tenże już parobków zwołał, aby nieposłusznemu synowi wytatarowali skórę (na kobiercu!) starym obyczajem — uciekł nocą i piechotą do Wilna, i tam na złość ojcu i całemu światu, zaciągnął się na ochotnika do dragońskiego pułku, któren, po tę porę, na Litwie konsystujący, obecnie przeznaczon był do odmarszy gdzieś aż nad Wołgę.

I jak z bicza trzasł, wesoły Ignaś w dragońskim mundurze gdzieś aż nad Wołgę wywędrował, na kraj świata...

Mikołajewskie były czasy, służba wojskowa dla szlachcica 12 lat, dla nieszlachcica 25 — kogo więc raz w mundur zaszyto, po tym już tylko, jak po nieboszczyku, płakać...

Ojciec o wyrodnym synu zabronił w swojej obecności i wspominać, sam nigdy nie wspominał, zgryzł się przecie tak, że mu się żółć ulała i długi czas chorował. Matka biedna płakała po kątach, i dziaduś napoleończyk o dziesięć lat postarzał odrazu.

Panna Stasia mizerniała, kaszlała, słabowała, jako że to zawsze chucherko było, że jeno dmuchnąć! jeździła na zimę na południe, aż i którejś zimy umarła gdzieś tam we Włoszech na suchoty — a trzy piękne po niej wsie odziedziczył brat stryjeczny, pieniacz i procesowicz, któren z miejsca jął drzeć koty z sąsiadem z Kleckiej Woli, i nieustannie go granicznymi sporami niepokoił.

Tak się skończyło. Tak przepadł dla swoich i dla kraju przemiły wisus Ignaś, jakby go połknęła ziemia!

Matce nawet znaku nie dał, tak się zawziął...

Raz tylko jeden w życiu jeszcze miał o nim posłyszeć Władek, brat...

Ale to dopiero później, daleko później, po latach, po długich, i to tak... w taki sposób... że bodajby raczej do grobowej deski już nie był posłyszał o tym bracie, tak ongiś kochanym!...

...O Boże! Boże! Nie wiedzieli tego rodzice biedni, nie wiedzieli, że i drugiego syna, wnet im moskiewski mundur, jak całun, pokryje! tak go od nich, jako całun umarłego od żywych, oddzieli...

Było to we dwa lata po Ignasia ucieczce. Rozpoczynała się krymska wojna — a z nią, jeszcze raz, w dziedzinie marzeń, nadzieje polskiego narodu — a z nią, raz jeszcze w rzeczywistości dziedzinie, nieubłagany do rosyjskiego wojska werbunek.

Pan Władysław Jeżewski już dwudziestoletni »ukończony« kawaler, został był właśnie przez ojca wyprawiony do Wilna, aby tam zaprezentował się i złożył uszanowanie zamieszkałym w stolicy krewnym, i przy tejże okazji nieco się w mieście wypolerował, co wszak każdemu młodemu potrzebne — skoro, jak piorun z nieba, padł nań zły los...

Ni do domu nawet nie pozwolono mu już powrócić, swoich pożegnać! Jak aresztant, pod strażą, przesiedzieć musiał nowozaciężny żołnierz ostatnie dwa dni przed odmarszem z Wilna na wschód daleki!

Przez posłańca tylko, na łeb na szyję, do domu dał znać. I już po drodze, we Wołyńskim Włodzimierzu, dogonił go jeszcze ojciec, pożegnać, pobłogosławić... Matka w domu chora leżała.

Przesmutne było pożegnanie. Może po raz pierwszy obaj z ojcem zrozumieli, jak się kochają — i po raz pierwszy w życiu wtedy widział syn twardego ojca płaczącym.

Na wschód, w kraj daleki! Turecką twierdzę Karsu w Azji oblegać, Rosji zagrożonej bronić!

Młody Władysław Jeżewski, jako szlachcic, nie został w proste sołdaty »pożałowany«, ale z miejsca junkrem mianowany, co go przynajmniej chroniło od pięści oficerów, których szeroka słowiańska natura folgowała sobie niesłychanie w kierunku wybijania zębów i miażdżenia nosów nieszczęśliwym, ogłupiałym od służbistego strachu żołnierzyskom.

I w dragońskiego tedy junkra mundurze, w szeregu obrońców świętej Rosji, pospiesznymi marszami zdążał gdzieś tam na koniec świata — pod carską tą liberją powtarzając sobie w duszy zawziętej:

»Dajże Boże Turkom szczęście, a Moskalom cięgi, jakich świat nie widział i korona polska!!!«

W takiemto wprost skandalicznie nieprawomyślnem usposobieniu szedł przyszły polski miatieżnik i katorżnik jutrzejszy za białego cara walczyć i karku nadstawiać!

III.

A białego cara, żandarma Europy, groźnego Mikołaja, dni szczęścia, potęgi, już na schyłku...

W dół, w przepaść nieuchronną, przepotężny car się toczy...

Klęska po klęsce, grom po gromie... W rozsypkę idą pułki, dywizje, armje całe... Do czasu bo dzban wodę nosi, mocny, wielki carze...

»Chory człowiek«, Turcja przez cię na śmierć skazywana, nito nieszczęsny robak deptany, dziś na śmierć ukąsi ciebie, Mikołaju!...

Zachodnie państwa: Francja, Anglja, Sardynja, z Turcją ręka w rękę, taranem runęły na carską potęgę, co jej się od lat czterdziestu nadto rozróść, rozwielmożnić dała Europa, aż dzisiaj groźbą się stała Europie i światu...

Nic to, że ludy, że narody pod knutem Mikołaja konały... że Polska leżała martwa i zamordowana, z nożem w sercu... »L'ordre regne a Varsovie«, wszystko w porządku!!! — że Finlandja dusiła się w śmiertelnej obręczy — że kaukazkie plemiona ginęły pokoleniami w rozpacznej z najeźdźcą walce...

Wszystko toby jeszcze zniosła była Europa i ekskoledzy ze Świętego Przymierza! ale równowaga europejska naruszona i wzbicie się jednego ponad wszystkich... Hola, carze! tu twej potęgi kres!!!

Pereat mundus, fiat equilibrium!

...W tureckiej armji kozacy Sadyka Paszy Czajkowskiego, w angielskiej legjon Zamoyskiego jenerała... ci, co kędy tylko na walkę z którymkolwiek z trzech kruków-rozbiorców dzwon uderzył, tam ich zwołał! kędyś ich nie posiał, tam zeszli, — polscy błędni rycerze...

O, ileż razy, ile razy, przy spotkaniu z »nieprzyjacielem« pod junkra rosyjskim mundurem jak szalone biło serce, i młode rysie oczy wypatrywały z dala polskich znaków!...

Gdyby je tak był dojrzał, to jak Bóg na niebie!!! tyleby go Moskale widzieli!!!

Choćby ustrzelili po drodze! Choćby ujęli i na stryczek! Choćby na emigrację pójść, i nigdy już nie wrócić!

Nie napotkał przecież Polaków. Nie było mu sądzone. A chociażbyś się człowieku i na łbie postawił, nic cię nie spotka innego, tylko co ci od wieków od Boga sądzone!...

W marcu 1855-go roku otruł się Mikołaj... Poznać rozpacz ostateczną, zejść na samo jej dno musiał człowiek, któren jej tyle w sercach ludzkich zażegnął, i nie miał nigdy litości nad ludzką rozpaczą...

Pyszny jak szatan, niezdolen znieść klęski, wybrał raczej skok w ciemność dobrowolny.

Trzeba było widzieć, kiedy wieść o śmierci groźnego cara doszła do wiernych wojsk jego w Azji i na Krymie!!!

Żadna najelementarniejsza nawet przyzwoitość nie powstrzymała szerokich russkich natur od wybuchu ulgi i radości, że się skończyło wreszcie dławiące oddech żelaznej pięści panowanie!...

Na oficerskich kwaterach szampan lał się, płynął strumieniami, leciały w drzazgi butelki, szyby, talerze, krzesła, nakoniec stoły, — pito na umór na pohybel staremu systemowi, a na wiwat nowym sławnym czasom!! — że praporszczyków, kapitanów, i zgoła samych pułkowników wyciągać musieli rankiem z pod ław dieńszczyki, i jak zarżniętych baranów odnosić na legowiska.

Po sołdackich koszarach zaś równo pito, na umór i serdecznie, z tą tylko różnicą, że nie szampan, a oczyszczennają! i równo rozlegały się wrzaski i wycia, jeno nie radosne z pod samego serca, ale służbistego, błagonadieżnego żalu wycia i wrzaski; jako przecie im sołdatom sam pan generał w dziennym ukazie dziś wyraźnie zapowiedział, że smucić im się srodze, bo najgorsze z nieszczęść w Rosją uderzyło, bo się Bogu spodobało powołać do siebie wszej Rosji samodzierżcę, najjaśniejszego cara, Mikołaja I....

Tejże nocy, w obozie pod obleganą wciąż jeszcze bezskutecznie choć przekrwawo twierdzą Karsu, Władysław Jeżewski, choć junkier tylko, z okazji niezwykłego święta, wyjątkowo dopuszczonym został do zaszczytu upicia się (pierwszy raz w życiu!) w towarzystwie oficerów swego pułku.

. . . . . .

Kaukaz, raj świata! kraj gór śnieżnych i kwietnych gajów, zachwycenie oczom, co tylko bory Litwy widziały ciemne i smętne, a w borach głuche, senliwe jeziora!

Ciemno granatowe morza fale u stóp Kaukazu kołyszą się, przelewają, ciężkie, powolne, solami przesycone, że jako kruszec roztopiony się zdają, jako płynne żelazo!

Nad Czarnem morzem czarnoszafirowem, rumienią się, różowią, śmieją cudne gaje, migdałowe, brzoskwiniowe, różane, przeplecione bielą dziewiczą magnolji, pomarańcz, jaśminów najwonniejszych. A wśród gajów, jako kosztowne złote dzierganie, złociste mimozy trzęsidła. A wśród gajów, by ametystowe spięcia na płaszczu królewskim tej cudów ziemi, glycynje liljowe spływają ametystów wodospadem. W szmaragdowych łasach, tak zielonych, tak zielonych, jakich nigdy oko z Litwy nie widziało, wawrzynu drzewa wznoszą pyszne głowy w kwiatach jak płomień gorąco różowych, i liście lśniące, w kindżał zaostrzone, ofiarowują zwycięzcom na wieńce...

O! wszystka ta rajska ziemia, wojowników, bohaterów rodzicielka. toć ją Bóg zasiał wawrzynem szczodrze, od granatowych wód aż hen pod dzikie skały, po lodowiska podniebne!...

Z pod dzikich skał, lodowisk podniebnych, pod szafirowym Allaha niebem-namiotem, kryształowe rzeki się leją, Kubań i Terek, Ingur i Samur, słońcu się śmieją, w słońcu się lśniące, po głazach dzwoniące, że niby z pod ziemi cichy, przecichy śpiew i srebrne dzwonienie... lecą w dół, lecą, poprzez skały, skał korony, krzesanice...

Krzesanice, skał korony, twierdzom nadludzkim podobne, którymi się ta ziemia broni wrogom i nie daje! — twierdzom jakowychś olbrzymów, co tu żyli przed lat tysiącami, i przeciw czarnemu, obcemu mrowiu, gdy się z dołu wspina, wspina, miotali w dół głazy, całe baszty, całe góry... aż zawalone otchłanne przepaście!...

Hej biedna, cudna, dzika ty ziemio, próżno cię Bóg temi górami, temi turniami aż pod niebo obwarował, próżno postawił Elbrus i Kasbek nad tobą na straży!

Elbrus i Kasbek, Kaukazu groźne króle, w pióropuszach z chmur, w lodowych hełmach, w lodowej zbroicy — co im najwyższy szczyt Alp, Pirenejów, i pasa nie sięga!...

Zda się, słup graniczny świata nieprzebyty, a przecież, kędyż nie dotrze złe, czarne mrowie, i obca, zła moc zachłanna?

Kraj, jako z bajki, i lud w nim jak z bajki. Przelatujący nad przepaściami jeźdźce wysmukli, smagli, w błyskach szytego złotem stroju i złotem sadzonego oręża, na pysznych, dzikich rumakach, lotnych jak ptaki... Wiatr szczytów nad głową kaukazkiego jeźdźca czarną burkę rozwiewa, gdyby skrzydła drapieżnego ptaka — że zda się orłem on leci, nieustraszony, przepyszny syn tych gór...

Kobiety orlicom podobne, drapieżne i cudne, o czarnych oczach jak noc, i palących jak płomienie, w brzękadłach ozdób złotych i srebrnych, przed ludzkim wzrokiem kryjące się pierzchliwie, znikające błyskawicą, bo Allach tak rozkazał i Mahomet jego prorok!

Na tę ziemię, najpiękniejszą jaką Bóg stworzył, przyszli przed laty cudzy ludzie w szarych szynelach, płaskich czapkach i mundurach ciemno-zielonych — tysiące ich, tysiące, dziesiątki tysięcy! czyli wysypało ich mrowiem czarne piekło Eblisa? — i temu ludowi, najwolniejszemu, najdumniejszemu pod słońcem, co był dotąd jako skalny kozieł w górach, jako sokół nad górami! przynieśli jarzmo i mord...

Od pół wieku, carska Rosja granitową cytadelę Kaukazu zdobywa, a zdobyć po dziś nie może!...

Ile tysięcy, tysięcy sołdatów, w płaskich czapkach, w szarych szynelach, niewolnego carskiego bydła, na carski rozkaz tu przyszło i padło... po skalnych kotlinach, leśnych ostępach i głuchych przepaściach, pod jasnem słońcem Allacha bieleją niewiernych kości!...

Pół się wieku przetoczyło nad światem, a walka na śmierć i życie, na karabiny, na krzywe szable, na bagnety i głazów złomy, na zęby i kindżały, jako się przygodzi! trwa jeszcze i nie ustaje przed Boga wszystkowidzącem obliczem!

A przecie, chwila była, kiedy omdlała, osłabła, i zda się już konała śmiertelna obrona; kiedy Gruzja przed najeźdźcą powalona na kolana, najeźdźcy się stała łupem, kraj najcudniejszych dziewcząt i najkraśniejszych róż — kiedy Lezgini, Czerkiesi, Czeczeńcy, coraz się w głąb i głąb cofali swych gór, kiedy wpadał w carskie ręce auł po aule...

A wtedy, Allach wiernym swoim męża zesłał, co był wraz orzeł i lew, i tygrys i wąż, bo w narodzie walecznością słynnym nad wszystkich waleczniejszy, i że go nikt nie mógł zmódz! i mędrszy nad wszystkich, że nie przechytrzyć go nikomu, — a jako tygrys wrogom krwawy!...

Szamilem zwał się, Czerkies był, z Himry-aułu, z orlego rodem gniazda...

Jako orzeł z gniazda wzleciał, jak lew powstał z legowiska, zielony sztandar Proroka rozwinął nad głową wysoko, i skrzyknął wiernych na wojnę świętą, na śmiertelną z carem i dwuramiennym krzyżem!...

Wszystkie się na zew porwały Kaukazu plemiona, te bitne, te dumne, te wolne! i walka przygaśnięta rozpaliła się nanowo po górach, po przełęczach Dagestanu... cały Dagestan, jedna od Boga budowana twierdza!

Lezgini, Imeretyńcy, Czeczeńcy, a nad wszystkich Czerkiesi, co z ich krwi wyszedł bohater i wódz...

Hej, poszła sława o nim po świecie, o Szamilu z himryjskiego aułu, że dotarła i najdalszych świata krańców — a car Mikołaj od wściekłości gryzł pięście, od bezsilnej wściekłości, gdy wspomniał Szamila!

Odkąd słońce nad Elbrusem, nad Kasbekiem wstaje, odkąd Kubań i Terek z lodowców błękitnych wypływa, nie widziała ta ziemia, ten cud Allahowy, podobnego temu wojownika!

Jako Elbrus, jako Kasbek nad górami, tak on nad mężami!

W wąwozie Sulak, u granitowych stóp Kasbeku, rok się cały, caluteński, bronił, i obronił — trupami skalistą gardziel zawalił, aż po roku dopełnionym Rosjanie ze wstydem odeszli!

Ze środka obozu generała Gołowkina porwał Orbelianiego w noc i burzę, gruzińskiego księcia, którego ród z Rosją pojednany, a on sam pułkownikiem dzisiaj Rosji służył — porwał jak sęp kozicę, i już nigdy przenigdy nie posłyszał człowiek żywy o księciu Orbelianim!

Dla odstępcy mu litością serce lwie nie zadrgało, pozatem był jeńcom zwycięzcą łaskawym i wojnę prowadził nie jak zbój, ale jak rycerz prawdziwy!

A po boju, a po znoju, gdy za szczytami w czerwień strojnemi zachodziło słońce, i czerkiescy waleczni górale w szumiącym skalnym potoku myli ze krwi broń i dłonie, — on swoich nie umywał, jeno klęczący ze zwróconą w stronę Mekki twarzą, ku półksiężycowi, co na niebie srebrny wykwitał, wznosił je, krwią niewiernych purpurowe, i wieczorną modlitwę śpiewnie zawodził, bijąc pokłony:

»Allach il Allach! Mahomet resul Allach!«

Trzydzieści pięć to już lat, jak przeciw Rosji stanął; młodzieńcem stanął, o włosie czarnym nad skrzydło kruka, a dzisiaj, jako popiół wodza głowa, i pobok niego, siwego sokoła, walczą syny i synów syny...

Przez tych trzydzieści pięć lat, nierzadko, o nierzadko! nad Szamilem, nad Kaukazu duszą, sławą, śmierć już wisiała i zagłada!...

Jako przy wzięciu himryjskiego aułu, tego, co kolebką Szamila, długie przedługie miesiące, na turnie-ściany się pięło, pod skały ryło nakształt kretów, sołdackie mrowie. Aż, o Allachu! pokryło gniazdo orle, sokole, i wśród carskich sług szło zwycięzkie już wycie, że carowi Szamila w podarku przywiozą, coby za niego Mikołaj z lekkiem sercem oddał swoich na śmierć sto tysięcy!

Z Szamila dłoni krzywa szabla wypadła, krwią rosyjską po rękojeść czerwona; Szamila pierś rosyjska kula nawskróś przeszyła...

I tak ciężko raniony, zbroczon od własnej krwi, czarem li, czy cudem? przebił się wódz kaukaski przez wrogów szeregi, przepadł w górach...

Że później sołdaci krzyżem się świętym trzykrotnie żegnali i przysięgali na Nikołę Cudotwórcę, jako Szamil, mocny czarownik, w oczach im się przemienił w olbrzymiego jastrzębia, i jastrzębiem złotopiórym, o piersi krwawej, w niebo wzbił się, pod chmurami zniknął...

A było to w roku właśnie, gdy na drugim olbrzymiego carstwa krańcu, Polska również bój wiodła z carem o wolność lub śmierć, w 1831-ym.

...Jako drugi raz, po ośmiu jeszcze latach partyzantki przekrwawej, gdy Mikołaj, rozwścieklony, by raz już skończyć z Szamilem, potężne siły na Kaukaz rzucił, że było dwudziestu na jednego! ścisnęli Szamila w górskiej twierdzy Achulgo, gdzie niżej podniebnej góry, dzika, spieniona Achilta z hukiem, szumem się przewala, granitowe głazy rwie...

I skoro po walce chyba najstraszliwszej, jaką góry Dagestanu po ten dzień widziały, bo pobok czerkieskich wojowników walczyły i cudne ich, rozżarte nakształt lwic niewiasty i dzieci nieletnie! wdarł się generał Grabbe do skalnej warowni, pustą zastał, nie zastał obrońców — Szamil ze swoimi rozwiał się jak mgła...

...Czyli tak bywa, że powtarzają się dzieje, jako czasu burzy w górach echo grom powtarza? Po dziesięciu dalszych latach guerilli, wojenki, Rosjanie gdy w morderczym boju tenże gród Achulgo znów zdobyli, w międzyczasie wydzierany z rąk do rąk, wśród zwału trupów i rannych jeńców (żaden bo wziąć się nie dał zdrowy!) próżno i teraz Szamila szukali!

Ale już w krótki czas dał o sobie znać: jastrzębiem spadł z góry ze swoimi na obóz rosyjski, w kotlinie rozłożony i bezpieczny po zwycięztwie; spadł w noc czarną i rzeź uczynił straszną, czerwoną, że krwią »Moskowów« spłynęła Achilta rwąca i szumna!

Aż car pono, skoro mu to z drżeniem meldował przyboczny generał-adjutant, w pysk wyciął generała! Taki bo już Mikołaja zwyczaj, gdy w złym humorze; a ty stój, ruki po szwam, russki czeławieku!

Nie było, nie było na Szamila sposobu, czorciego syna, przeklętego pohańca!

A teraz oto, gdy z Turkiem wojna i z Jewropą niecnotą, co Turka wspiera, temci wyżej łeb podnosi czerkieski czort przeklęty! Szły z Turcji, szły od Francji, od Anglji sprzymierzonej pieniądze, broń i naboje dla kaukazkich buntowników. Po zdobyciu nareszcie po »długich i ciężkich cierpieniach« twierdzy Karsu przez carskie wojska (pierwszy i ostatni sukces Rosji w krymskiej wojnie!) i po śmierci już cara Mikołaja, został pułk Władysława Jeżewskiego przeciw Szamilowi skierowany, w góry Dagestanu.

W przecudowny, przesłoneczny dzień złocistego kaukazkiego lata, z głębokiej kotliny, podobnej do dna straszliwej studni, gdzie dokoła na tysiące stóp granitowe krzesanice, u nóg łączka szmaragdowa, a na łączce cały raj gąszczów rubinowych, rozpłonionych w słońcu i kwiecie rododendronów różowych, — ujrzał młody junkier pierwszy raz kędyś w niebie utopiony szczyt Elbrusa, jak lodową piramidę nad światem... jak lodowy przepotężny zwid, rozelśniony, rozsrebrzony w mżącym słońca blasku...

I równocześnie, z rubinowych, kwietnych zagajów śmierć wyleciała... czerkieska kula, czapkę na wylot mu przeszyła...

Każden krzak tu zasadzką, każda skała!

W obliczności białego Elbrusa, Dagestanu króla-strażnika — słała ta ziemia ostrzeżenie Polakowi, co szedł ją ujarzmiać w przeklętym tym mundurze...

Poniechaj mię!... Poniechaj!... Ty sam niewolnik, i nieszczęśliwy!...

I tak się stało, że niewolnika młoda, zapalczywa dusza rozmiłowała się całą mocą w cudach tej ziemi, krwawiącej się za wolność, i w bohaterskiej postaci Szamila!

Są dusze ludzkie, całe z żółci ulepione, którym gorzką rozkoszą wyśledzać podłość wkoło siebie i rozkoszą patrzeć w błoto, by gardzić móc i plwać! — i są inne, kryształowej jasności, którym, jak płucom oddechu, uwielbiać potrzeba, które nie w błoto, ale zapatrzone w śnieżne szczyty...

Taką duszę jasną przyniósł był z Litwy w te dzikie góry młody Władysław Jeżewski pod junkra mundurem.

Gdy, jak na obławy, chodził z pułkiem polować bez litości na Czerkiesów Szamilowych, w sercu mu płakało: Czemu on nie nasz?? Czemu nie nasz!!!...

Całem tem sercem, do czerwoności rozpalonem nienawiścią caratu, uwielbieniem bohatera, zazdrościł tej ziemi i temu ludowi takiego wodza, takiego mściciela!

I po raz pierwszy wówczas rozbudziła się w nim wielka, nieukojona tęsknota za Polski również Mścicielem, który przyjdzie kiedyś, który przyjść musi!... — i odtąd już iść miała za nim całe życie ta tęsknota...

...Dziwne drogi ludzkiej duszy! drogi okolne!... przez obudzony dreszcz entuzjazmu dla bohatera obcego, do pokochania własnej ojczyzny bez granic!

Kochał ją zapewne i przedtem, to się rozumie! Dom jego rodziców był gorąco patrjotycznym, synowie wychowywali się wszak na ułańskich z 31-go roku tradycjach ojca i napoleońskich dziada. Tylko, że on strasznie jeszcze wówczas był młody, a wiadomo, że kto młody, to i głupi, i zielono jemu w głowie! To też nie wiele, Bogiem a prawdą, rozmyślał dawniej o tych górnych sprawach... a przeważnie o tem, aby z fuzyjką do lasu wylecieć na lisa, dzika, na koniku pohasać, czy z ładnemi panienkami mazura, ot, »błazen« zwyczajnie...

Teraz dopiero w tem ukrzywdzeniu, w tem brutalnem oderwaniu od kraju, rodziny, i wszystkiego, co mu miłe, w tym wrogim mundurze, co przywarł do niego jak trąd (przypominały mu się z uczniowskich lat lekcje mitologji i szata Nessusa!) w tem ciągłem, codziennem zaglądaniu w oczy śmierci, już nie to za obcą, ale nienawistną sobie sprawę!...

I nadewszystko, nadewszystko, w obliczu tych wspaniałych, z ojca na syna, z syna na wnuka! niepokonanych bojów narodu, co nam bratem w niedoli!!

Żołnierzem jednak był dobrym, bo żołnierkę miał we krwi, i nie oszczędzającym się bynajmniej, przeciwnie! Młoda ciekawość, junactwo młode i chęć rycerskich hazardów w nim grały. Zresztą, by zaś nikt, broń Boże, żaden z tych Moskali, o męstwie polskiego szlachcica wątpić się nie ważył!

Gdyby jednak tak duszę jego odwrócić podszewką do góry... Chryste Panie!!!

Okazałoby się raz jeszcze najdobitniej, że Polacy wiecznie niepoprawni, niczego nie zapomnieli! i próżne wszelkie ojcowskiego rządu cara wysiłki ku zjednaniu niewdzięcznych!

Ten oto, po trzech latach służby na Kaukazie, miał stopień praporszczyka, »zaszczytny« postrzał w ramieniu i krzyż carowej Anny.

Co się tyczy postrzału, ten miał osobną swoją, wielce romantyczną historję.

Ugodziła tak młodego pana Jeżewskiego nadzwyczajnej piękności Czerkieska (odkąd żył na świecie, piękniejszej nie

widział!) tylko że nie, jakby wypadało, strzałą Amora, ale najzwyklejszą, ołowianą z pistoletu kulą!

Było tak: Od dłuższego już czasu pułk jego, na postoju w górskiej dolinie, nękały w dzień i w noc napady niewielkiego najwidoczniej, ale bezgranicznie zuchwałego oddziału Czerkiesów, wśród którego najzuchwalsza, cudownej urody młoda kobieta, czy młoda dziewczyna, którą wśród walk widywali zdala, cwałującą na dzikim koniu, zda się skrzydlatym! lub jak skalną kozę, na szczycie urwiska, mierząca do nich z czerkieskiej strzelby srebrem nabijanej i lśniącej się w słońcu.

Śmigła była, jak gonny cedr Kaukazu, smagła i czarnobrewa. Choć rysów szczegóły w oddaleniu ginęły, piękność biła od niej, jak blask od słońca, i cała postać przecudownie zwinna i gibka, by młodej, czarnej pantery! — Daleko, po szczytach, po turniach, leciał jej krzyk ostry, jak orłowy, gdy do boju zagrzewała towarzyszów, wspaniałych, by książęta, kaukazkich górali.

Orlicą ją byli dragoni przezwali — i wszystkie serca szczególną ku niej płonęły zawziętością, a wraz i jakby jakąś miłością dziką i krwawą.

Hej! by my dobrzy mołodcy ciebie jeno w swe ręce dostali, pohulaliby, krasawico!!!

Tymczasem niejeden maładiec sławny z rąk jej padł i gryzł ziemię, lub długo z ran się lizał w dalekim szpitalu.

To też myśl o cudnej, morderczej Czerkiesce prost pokoju nie dawała oficerom i sołdatom — i dzień w dzień nieomal teraz wyprawiane po górach łowy na ten buntowników oddział nieuchwytny i niezwyciężony, stały się istotnie łowami tylko na nią...

Aż raz, praporszczyk Jeżewski z bladym, romantycznym junkrem Rafajłowem, wiecznie deklamującym Puszkina i Lermontowa, i z 25-ciu sołdatami, powracając z takiej obławy, we wązkiej skalistej gardzieli natknęli się na kilku zbrojnych od stóp do głów jeźdźców, wśród których ona, Orlica...

Salwa strzałów, jedna, druga, echo w skałach odegrzmiało, dwóch Czerkiesów, czterech sołdatów runęło o ziemię — potem w mig reszta Czerkiesów zawróciła konie, i rozpoczął się śmiertelny pościg na dnie czarnej przepaści, nad którą nagie

ściany skał zdawały się pochylać, w dół spozierać, zwierały się prawie...

Wiatr w uszach świszcze w tym biegu o śmierć i życie, i szalony wodospad ryczy nad głowami, walący z góry w gardziel ciemną.

Już się gardziel otworzyła, już w słońcu droga i stok góry...

Nie zgonić, nie zgonić Czerkiesa na koniu-jaskółce! już trzech jeźdźców odsadziło się daleko, znikło na zakręcie...

Zawyli wściekłością dragoni.

Pozostało dwoje tylko przed nimi na urwistej drodze: olbrzymiego wzrostu Czerkies, czarny jak kruk, o barach niedźwiedzich, widno wódz jakiś powstańczy, bo pas jego i oręż nad inne lśnił się, srebrem bogaty! — a przy nim krasawica-Orlica...

Kulka w czoło, maleńka, drobnieńka, jak piorun wielkoluda powaliła, — i wraz kobieta, jak szalona, osadziła w miejscu konia, zsunęła się błyskawicą i z jękiem obłąkanym rzuciła się na trupa.

Dopadali z dragonów najbliżsi.

Dzikie, zwierzęce wycia, jak stada wilków w pogoni za samicą, uderzyły o uszy nadjeżdżającego cwałem Jeżewskiego.

Widział wokoło rozjuszone, rozbestwione twarze żołnierzy, roztrącających dziko kamratów, byle prędzej, byle prędzej, do zdobyczy! Te mużyckie, te kałmuckie płaskie gęby, w tej chwili iście bydlęce! Spojrzał na »kultiurnego« romantyka Rafajłowa — a i temu dolna szczęka wydłużyła się jak u zwierza, sentymentalne zwykle oczy jarzyły się wilczo, i ten gnał za innymi, tam, gdzie rozlegał się, ten w żyłach krew mrożący, krzyk, na śmierć postrzelonej orlicy nad zwłokami Czerkiesa...

We krwi Polaka i szlachcica wszystkie rycerskie instynkta zagrały.

Ratować! Nie dopuścić! Ratować!

Runął, jak wicher, na bury tłum sołdacki już szarpiący się z Czerkieską. I on, co nigdy jeszcze żołnierza nie uderzył, co brutalne rosyjskie metody w najgłębszej miał pogardzie, wpadł we wściekłość taką, że prać jął w śmierć po prostu! kolbą pistoletu, rękojeścią pałasza, po łbach, po bestjalskich mordach! nie patrzył już gdzie wali, zapamiętał się we wściekłości!...

»Wara wam! Wara!! Wara!!!«

Bure stado ludzkich wilków w jednej chwili rozskoczyło się przerażone, choć ich dwudziestu, a on jeden, — poskromione jedynym argumentem zrozumiałym russkiemu człowiekowi: pięścią »w mordu!«

Zeskoczył z konia Jeżewski, z zaciśniętymi zębami chwycił Rafajłowa za ramiona i z całej siły grzmotnął bladym młodzikiem o skalną ścianę.

»Ty!! Ty!! Kultiurny!! Wielbiciel Puszkina! Nic ty, jeno bydlę, jak wy wszyscy!!«

Przepiękna Czerkieska w poszarpanej odzieży dźwigała się ciężko z nad trupa ojca? męża? kochanka.....?

Cudowne jej oczy, podobne dwom czarnym otchłaniom, miały wyraz niemal obłąkany. Granatowo czarne warkocze, w szamotaniu rozplecione, z przedartego srebrnego łańcuszka sączyły złote cekiny i czerwone korale, jak świeże krople krwi.

Jeżewski z dziwnem wzruszeniem podszedł do niej, za ręce ujął, podźwignął... chciał coś rzec, byłby dał niewiedzieć co, by móc jej powiedzieć tak, by zrozumiała, że on nie tak, jak tamci, że on jeden ją zasłoni...

»Nie bój się! nie bój, Orlico!«

Ale jej widocznie błysło w myśli to, co w tej chwili i w złych uśmiechach milczących dokoła dragonów, odpędzonych od łakomej zdobyczy, jako on, komendant, dla siebie chce ją zachować!

Zwarła nad dzikiemi oczami brwie czarne, aksamitne, wyrwała mu ręce gwałtownie, przeklętemu »Moskowowi» — i padając znów na ziemię obok trupa, krwią z rany jego na czole własne czoło umazawszy, w znak zemsty czy pamięci?... po trzykroć krzyk przeraźny zawiodła:

»Mehmed! Mehmed!! Mechmed!!!«

Jeżewski wówczas zawodzącej dłoń na głowie położył, co wiedział, że u kaukazkich plemion znaczy: »Biorę cię w obronę«.

I tak czuł w sercu, gwałtownie naraz rozkołatanem, że jak Bóg na niebie! tej dzikiej, cudnej ptaszki gotówby bronić przed całym światem!

Huk i błysk — i praporszczyk ogłuszony zwalił się z przeszytem ramieniem.

Czerkieska błyskawicznie pistolet z za pasa mu wydarła, i strzeliła w samą twarz.

...Co dalej, nie widział; usłyszał, gdy przytomność mu wróciła, z ust sołdatów, strachem jakimś zabobonnym skamieniałych.

Obaliwszy go, Orlica na konia zdobycznego czerkieskiego, co go trzymał sołdat, skoczyła jak dziki kot, sołdata wystrzałem w ucho przódy położywszy...

Mniej czasu, niżby trzeba, by odetchnąć, aby krzyknąć!!

Spięła wronego straszliwie, że wyprostował się, jak czarna i lśnista, ziejąca ogniem kolumna, ponad sołdackie czapki zatrzepotał kopytami stalowemi, zakręcił młyńca, aż się w oczach zakręciło, i skoczył!!... Na Chrysta Spasa, waszu błagorodje, prawda czestna, nie sobacze brechanie!! — skoczył wrony czort w dół z urwiska ze 30 arszynów! na Poczajowską, mniej pewno nie było!! jako ten ze skazki rumak skrzydlaty, poniósł się powietrzem na łąkę w dół, na zieloną.....!

Pozieralim, dychają? albo trupy?

Gdzie zaś! Pohańskim, mahomskim czarom na wszystko porada!! Zarył łbem w ziołach wrony, czort - krasawica, by nieżywa, do grzywy jego przylegla!... ale w mig, ino otchnęli, koń się zerwał, zerwała djablica, i hajże, jakby ich niosło piekło, za skałą hen tam zczeźli!!

Strzelalim gęsto, waszu błagorodje, i nic! Święconych widno, trza było kul od popa!...

Pod ramiona od sołdatów ze ziemi podjęty Jeżewski, słuchał jak baśni — i gdy mu ranę w ramieniu na poczekaniu wódką zalewano żołnierską modłą, a on z bólu aż zęby ścinał i syczał, w duszy mu przecie było radosno, jako żyje i uszła w swoje góry krwawa Orlica!...

Gdy w pobliskim aule, przed tygodniem Czerkiesom wydartym, w półrozwalonej chacie leżał potem i leczył się z rany — sam już nie wiedział, czyli to od gorączki, czy od marzeń szalonych tak mu głowa pała...

Aż rozpaczliwie rozsądek, bywało, przywołuje na pomoc, i tak sobie samemu perswaduje, przedkłada, bo przecież wszystkie pięć klepek miał jeszcze w kupie, u licha:

»Zgłupiałem, widać, ze szczętem!! Zakochałem się, jak osioł, albo co??«

Ale wnet rozsądek, ten nito stary, gderliwy guwerner, gdzieś odlatywał szybko na bory, na lasy, i znów płomienne młodemu i słodkie sny na jawie się śniły...

Że rzuca pułk i wszystko — mundur oficera, krzyż carowej Anny nogami depce!! Że ucieka w góry, kędy jeno orły i Czerkiesy! przed Szamilem staje, co go w cichości wielbiło Polaka serce, w męstwie rozkochane, Szamilowi tak powiada: Ja wasz brat! Bił będę razem z wami bez litości przeklętych Moskowów!!!

I bije, rąbie, aż trzaski lecą, aż duszy radość!! Na Kaukazie, pod Elbrusem, zemstę niesie za Polski niewolę! A przy jego sercu ona, najcudniejsza z hurys Wschodu, drapieżna Orlica: jego niewiasta, jego miłowanie!

Niech tam lud i cudzy, i wiara i mowa! granatowo-czarne warkocze, co je widział rozplecione, i te oczy przepaściste, zasłonią mu cały świat!

Gdzieżeś, gdzieżeś, Orlico? Dusza tęskni ku tobie! Z jakiejże turni dzikiej rzucasz dziś w świat krzyk twój bojowy, orłowej samki skwir?

Brał go Kaukaz w swój czar, brał nieodparcie, w durzący, uroczny, a krwawy...

I nie jego jednego. Obok, pod oknem na ławie, przy łojowej świeczce dymiącej i skwierczącej, Rafajłow romantyczny i blady, z tomiku poezji Lermontowa odczytywał głośno i z emfazą płomienne zwrotki o Demonie, na czarnych skrzydłach przelatującym nad szczytami Kaukazu, jako ujrzał w aule i umiłował cudną gruzińską księżniczkę Tamarę miłością straszliwą, jako stanął w ogniach i blaskach władca piekieł przed ziemianką:

»W zachodu rumiane promienie
»Owinę cię, jak w barwny szal...«

Za oknem, gdzie południowa noc granatowa i rozgwieżdżona, dieńszczyk Gorzkow, poczciwe, gdzieś aż z pod Uralu chłopisko, wiecznie sfrasowane, grał na bałabajce i wył w ciemność i w noc smutne jak śmierć stepowe dumy o russkiej tęsknicy, o kaukazkiej krasawicy...

IV.

Czyste awantury arabskie, na tym Kaukazie, jak mi Bóg miły! No, jest przynajmniej czem się bawić człeku na starość teraz, wspominkami temi, a strachu choć nie ma, byś się znudził kiedy, rozmaitości bo tyle!...

Albo to nie istna arabska awantura, ta z tym rotmistrzem Gruzinem, co to się tak nazywał, że aż śmiech powiedzieć: Mamadałła...?

Naturalnie, Gruzin po polsku nie rozumiał i swoje nazwisko brał całkiem na serjo, wysoko je nawet nosił (był on pono jakimś tam w Gruzji księciem, o co na Kaukazie nie trudno, bo co trzeci człowiek tam, to książe! — taka już u nich moda; co kraj, to obyczaj).

Pokazałże, pokazał ów Mamadałła zatracony, że Gruzinowi niebezpiecznie w wąsy dmuchać!

Co bo wąsy, to miał ten z pod ciemnej gwiazdy dziki książe olbrzymie, że je sobie czasem za uszy zakładał ku zabawie, a czarne, jak smarowidło do butów! Brwi też krzaczyste, zrośnięte nad nosem by dziób sępa, z czego wieczny mars na czole. Wogóle wyglądał stale, jak to u nas w Polsce mówią, jakby siedm wsi spalił! Pozatem był dobry kolega, dobry do wypitki, lepszy jeszcze do wybitki, bo prost odważny do szaleństwa, jeździec, jakiego tylko na Kaukazie znaleźć, i strzelec nad wszystkich sławny: ot, dość powiedzieć, konno w cwale przebijał z pistoletu wyrzuconego w powietrze rubla!

Nakoniec siłacz nad siłacze, barczysty, pleczysty, a wspaniale piękny, trudno rzec inaczej! Jednem słowem chłop na schwał!

Ledwo też do pułku przyszedł, oceniła zaraz te jego zalety Nadieżda Iwanowna, pułkownika Aleksieja Aleksiejewicza

Łanskoja ślubna małżonka, wielka w tym względzie znawczyni...

Cóż, kiedy nieszczęściem, w tym wypadku »przemówił dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu!...«

Nadieżda Iwanowna, jak głosili pułku weterani, była niegdyś niewiasta jak łania — dziś jednak, gdy już dawno przekroczyła »lat niewieścich południe«, pozostała jej tylko wielka biała, rozlana twarz i wielkie, tłuste, białe ręce, oraz imponujące swą bujnością kształty, urągające wszelkim próbom ujarzmienia, chociażby w najdoskonalszy gorset paryski, sprowadzony prosto z Pitra!

Wiecznie zakrzątana, rozświegotana pieszczotliwie, po macierzyńsku czule zatroskana o dobro i wygody oficerów (zwłaszcza tych najprzystojniejszych i najlepiej zbudowanych) zdała się im wiecznie łasić i nito ocierać się o nich bezustanku, na podobieństwo dużej, tłustej, doskonale odżywionej kotki.

Aleksiej Aleksiejewicz był dusza-człowiek, służbisty, głupi w miarę, w miarę poczciwy, pozatem prawie zawsze pijany. Przed imponującą połowicą uczuwał respekt niemal taki, jak przed generałem, i ulegał jej we wszystkiem, nawet w sprawach pułkowych.

To też biada temu z oficerów, i płacz prost jemu a zębów zgrzytanie, który się naraził wszechmocnej »matuszce!«.

Zato faworytom było, jak u samego Pana Boga za piecem! Pieczone i warzone!... urlopy »dla poratowania zdrowia« częste, gęste! No, i na niebezpieczne przeciw Czerkiesom wyprawy rzadko się zdarzyło, by gołubczyk taki szedł... zbyt kosztowne jego zdrowie, póki w czynnej służbie u pułkownikowej!...

Pan Jeżewski dzisiaj, gdy minęła kopa lat, mógł w każdym razie zupełnie bezstronnie i rzeczowo zapatrywać się wstecz na Nadieżdę Iwanownę, gdyż nie mając w swoim czasie ani szczęścia podobania się jej (nie był na to dość okazały, ni to na wysokość, ni to wszerz!) ani też nieszczęścia ściągnięcia niełaski, nie doświadczył był jako żywo niczego od matuszki, prócz obojętności...

Barczysty Gruzin, jako się rzekło, wpadł był w oko babie...

To tylko bieda i najsmutniej, że wzajemności w tym sentymencie i krzty nie było! Mówiąc o niej, stale dodawał Mamadałła przymiotnik »stara« — a rzeczownik zaraz potem szpetny taki, że powtórzyć niesposób!...

Na wyprawy w góry chadzał, ze szczególną zawziętością ścigał Czerkiesów — czy to, że między jego narodem, chrześcijańskim oddawna, a tamtem muzułmańskiem plemieniem nieprzyjaźń od wieka? — i po staremu na świat wilkiem patrzał, a na babę nic a nic!

Kołowała, zachodziła drogę, zagadywała, zapraszała... groch o ścianę!...

Aż jej się wreszcie trafiła okazja narzucenia mu się gwałtem z troskliwością swoją!

Na jednej z wojennych wycieczek Mamadałła został dość ciężko raniony — z czego natychmiast skorzystała Nadieżda Iwanowna, by go otoczyć czułą opieką, kurować z wielkim rwetesem i demonstracjami, całe noce spędzać przy nim na jego kwaterze.

Ani chwili nie miał nieszczęśnik spokoju! Bo to dwadzieścia razy na godzinę: »może wam rotmistrzu okno otworzyć?« albo dla odmiany: »może zamknąć?«, »poprawić poduszki?«, »perfum rozpylić, piżma czy paczuli, aby odór był w pokoju luby?«, »wody podać z kwiatem pomarańczowym dla orzeźwienia, cóż, gołubczyk mój biedneńki?«.

Tymczasem Gruzin ani trochę nie podobny do gołębia, raczej do rozzłoszczonego, ubezwładnionego sępa, leżał spowinięty w bandaże jak kukła i bezbronny, i na wszystkie troskliwe propozycje zamykania czy otwierania okna, czy też uczynienia »lubego« w pokoju odoru, odpowiadał tylko wściekłem spojrzeniem swoich dzikich, czarnych oczysk, sztyletujących babę na śmierć!

Nie było jednak rady; została i pielęgnowała go przemocą!...

Aleksiej Aleksiejewicz przeciw temu nie protestował, bo mu w ten sposób większa była swoboda; nikt już nad głową nie stał, jak czort nad grzeszną duszą, wódki nie bronił i pod klucz nie chował, gdy przyszła na istinno-russkiego człeka chandra-tęsknica a z nią potrzeba upicia się znowu do nieprzytomności!

Aż któregoś wieczora, matuszka niespodzianie od samarytańskiego swego »dieła« powróciła do domowego ogniska trzęsąca się z pasji i od pasji jak burak czerwono-sina.

Mamadałła, dzikus nieokrzesany, poprostu wyrzucił ją za drzwi!

W przenośni wprawdzie, nie rękami za kark i grdykę, jakby dusza rada, bo też ręce obie miał jeszcze obwiązane — ale, na jedno wyszło...

Powiedział jej w trzech słowach i węzłowato, że już zdrów i opieki dłużej mu nie trzeba!

Powiedział jej jeszcze, czego wprawdzie zamroczonemu małżonkowi już nie powtórzyła, ale co poszło między oficerów, bo dieńszczyk podsłuchał, i z czego strach jaka była w pułku uciecha:

»Tak wam radzę, Nadieżdo Iwanowno, idźcie wy do domu spać... Bo choćbyście tu siedzieli i do trąby archanielskiej, nic nie wysiedzicie, czestne słowo!«.

Rany Boskie!... toż to się od tego dnia rozpoczęła zajadła babska zemsta!...

Jeżewskiego Gruzin ani ziębił, ani grzał, ale wrodzona jego prawość i proste już poczucie sprawiedliwości nie mogły się nie oburzać na takie systematyczne prześladowanie dzielnego oficera za to tylko, że matuszce nie wygodził!...

Najprzód, pod błahym jakimś pozorem odebrano mu rotę, którą od roku dowodził sprężyście i sprawnie, i oddano komendę podwładnemu jego oficerowi, którego nienawidził, a jego pozostawiono przy tamtym w charakterze zastępcy.

Następnie, zwyczajnym przedmiotem rozmowy przy oficerskich obiadach, stała się teraz Gruzja i jej rzekomo nieszczere, nieprawomyślne stanowisko wobec wielkiej rosyjskiej macierzy, do której od kilku lat dziesiątków przyłączona.

Mamadałła słuchał i milczał. Jako prawy syn Wschodu, nie okazywał wogóle nigdy nic po sobie.

Najnowszy ulubieniec pułkownikowej, oficerek podobny do młodego kogucika, piać jął jak kogucik głośno i cienko i raz po razu to samo, że na wypadek znaczniejszego, nie daj Boże, niepowodzenia carskiej armji a sukcesu pohańców-Czerkiesów, przyłączy się do tych niezawodnie zdradziecka Gruzja, ta zawsze niepewna!...

»Wszystko co kradzione, to i niepewne« — odezwał się nagle Mamadałła basem, powstając nad stołem jak góra i opierając ciężko na nim olbrzymie pięście.

Następstwem tegoż zajścia było gremjalne wyzwanie Gruzina przez cały korpus oficerski (Jeżewski jeden się nie przyłączył!).

Ale gdy Gruzin trzech pierwszych dobrze naznaczył, że się długo lizać musieli, reszta odstąpiła od żądania satysfakcji, t. j. pułkownik sprawę załagodził.

Od tej chwili jednak ciężył na rotmistrzu złowrogi cień nieprawomyślności — i większość kolegów, jako to za panią matką idzie pacierz gładko, odsuwać się odeń poczęła i spoglądać jak na czarną w pułku owcę.

Z dziwną niekonsekwencją, skoro go już za politycznie niepewnego uważano, wysełano wciąż właśnie jego i zawsze tylko jego na najkrwawsze i najniebezpieczniejsze w góry przeprawy. Ale w tem już była rączka Nadieżdy Iwanowny!...

Ledwo dziś powrócił, zmordowany jak nieboskie stworzenie i z sołdatami ledwo żywymi, zaraz jutro świeży rozkaz: ruszaj tam a tam, gdzie się nowa znów zjawiła banda zbójów Szamilowych!

Oficerowie zaś, którzy w łaskach u najwyższej instancji, lubczyki najmilsze matuszki przed innymi, całymi mięsiącami prochu nie wąchali i wywczasowywali się wygodnie w wielkiej kaukazkiej nad Kubaniem osadzie, gdzie od długiego już czasu konsystował pułk załogą.

Do czasu przecie dzban wodę nosi, toż mu się w końcu i ucho urwało.....

W letni, gorący czas, gdy dzień po dniu nad szczytami grzmiała burza za burzą, a Kubań wezbrał gwałtownie od walących z gór potoków, przypadło 45-mu dragonów pułkowi wielkie święto: przyjechał nowomianowany przez nowego cara Aleksandra II., generał książę Bariatyńskij, naczelny dziś wódz wszystkich wojsk na Kaukazie.

Cały dzień trwała rewja w morderczym upale — jeden i drugi sołdat, porażon od słońca, padł i więcej nie wstał! — ale to małe liście na kapuście! i rewja naogół wypadła wspaniale i generał raczył chwalić, i Aleksiej Aleksiejewicz jak na drożdżach rósł w górę, a przy nim rosła Nadieżda Iwanowna.

Wieczorem, w najobszerniejszym budynku osady, pięknie przystrojonym zielenią ciemnolśniącą pomarańcz i wawrzynów, i całymi konarami rozkwieconych jaśminowych i różanych drzew, pułkownikowa balem podejmować miała księcia generała.

Zabawa zapowiadała się przednia, a w kotyljonie przyobiecane od matuszki »wdzięczne siurpryzy«.

Cały korpus oficerski, to się rozumie, stawić się miał w komplecie. Jeden tylko zaproszenia nie otrzymał Gruzin. Obelga już prost się policzkowi równała.

Na godzinę przed rozpoczęciem balu, Jeżewski odwiedził rotmistrza na kwaterze, bo mu żal było człowieka niegodziwie prześladowanego — i ku wielkiemu swemu zdziwieniu, zastał tegoż w niezwykle wesołym i podnieconym nawet humorze, wystrojonego w galowy mundur, aż kapiący od złotych szlif i sznurów, we wszystkie ordery i medale za waleczność (a miał ich cały szereg na piersi szerokiej, jak wrota!) w buty nakoniec paradne po kolana, wywoskowane, lśniące, by czarne zwierciadła!

Schwyciwszy zdumione spojrzenie kolegi, Mamadałła roześmiał się od ucha do ucha i jakoś straszliwie, aż mu z pod ogromnych wąsisk zęby drapieżne błysły, i rzekł: »Na bal przecie!... Proszą czy nie proszą, tak i się zjawię, a ze siurpryzą taką, że się sam generał za łeb chwyci, bo jeszcze czegoś takiego nie widział — na to wam Jeżewski, daję czestne słowo!«.

Jeżewski odszedł w przekonaniu, że się Gruzin upił na frasunek.

Rozpoczął się bal. Pułkowe damy i panienki, wszystkie Masze, Pasze, Sasze, Nadinki, Katinki i Sonie postrojone były jak ikony i skakały ochoczo w objęciach wygalowanych oficerów.

Ale już wszystkie wspaniałością gasiła Nadieżda Iwanowna w szafranowej atłasowej sukni we wytłaczane aksamitne amarantowe kwiaty, istny feretron cerkiewny, czy najświeższej mody wiedeńska kanapa! — z rudopłową fryzurą, wyfiokowaną kunsztownie w kształt wieży Babel — obwieszona z tyłu, z przodu, z boku, z dołu i z góry koralami, bursztynami, turkusami, złotymi łańcuchami, jako nie był nigdy w cerkwi ikon żaden, choćby cudami najbardziej słynący!

Z rozkosznem mruczeniem, by pogłaskana kocica, kręciła się wciąż koło generała, uśmiechnięta, wniebowzięta, wydekoltowana do niemożliwości, podsuwająca mu wciąż pod oczy wielkie, tłuste połcie swoich wdzięków, na śnieżno pudrowanych...

Książę Bariatynskij, bywalec na petersburskim i innych europejskich dworach, wytworny wielki pan — istotnie zdawał się zadziwiony tą hojną tajnych uroków wystawą i tą toaletą oślepiającą, co w całej Europie, ma foi! z pewnością drugiej takiej nie było!

Uprzejmy arystokrata, istny Paryżanin, jakby dworską frejlinę w Carskiem Siole na balu, zabawiał konwersacją matuszkę, — a jej się serce rozpływało, i z rozanielenia i z gorąca również rozpływać zdawało się sadło.

Gorąco bo iście było tropikalne — wszystkie okna poroztwierane — i przez nie, gdy cichła muzyka, wpływał z ciemności ryk rzeki, tuż tuż płynącej, a dzielącej terytorjum mocno już dzierżone przez Rosją od tamtego, niepewnej jeszcze państwowej przynależności, kędy dotąd w najlepsze grasowały czerkieskie bandy!

W chwili, gdy zabawa dosięgała zenitu, gdy goście uszczęśliwieni i spoceni jak mysze, ruszać już mieli do sutej, balowej wieczerzy, a Nadieżda Iwanowna zdążyła dopaść gdzieś pod oknem Aleksieja Aleksiejewicza i ostro mu nakazać, by się przy kolacji spić nie ważył — w czarnym otworze Gruzin stanął, gość nieproszony, w paradnym mundurze i wszystkich medalach, śmiejący się i podobny do czarta.

»Wot wam siurpryza!!!« — i zza okna z karabinu wygarnął, jednym dubletem, jak dwa zające, kładąc na miejscu pułkownika i pułkownikową!

Strach, co się porobiło! Koniec świata!! Damy poczęły piszczeć i mdleć i padać w objęcia oficerów (Rosjanki każdego czasu ku temu ochotne!) — wypadli hurmem przed dom mężczyźni, chwytać zabójcę — ale z dala już im tylko mignął w czarnej nocy, pędzący wichrem ku rzece — widno wszystko przygotował, bo w zaroślach nad wodą koń czekał uwiązany — na koń on tedy i w wodę!

Kubań wezbrany rwał wściekle i przewalał olbrzymie pnie drzewne, z korzeniami wydarte — każden inny byłby się

najpewniej sto razy utopił, ale temu djabłu nic!! Strzelano za nim, ale gdzie tam!...

W ciemnościach zniknął na rzece — aż za chwilę z przeciwnego brzegu doleciała oficerów szpetna propozycja, wielce nieprzystojna, całemu pułkowi na pożegnanie uczyniona, potem słowa: »Bierz was czort!! Idę do Czerkiesów!!!».

A książę Bariatyńskij istotnie miał siurpryzę, aż oniemiał, aż go zatchnęło — bo czegoś podobnego jeszcze nie widział nigdzie, w całej Europie!!

I pułk, gdy z pierwszego wrażenia ochłonął, nie smucił się nadto, owszem, był rad, bo już stosunki służbowe pod Aleksiejem Aleksiejewiczem a raczej Nadieżdą Iwanowną stały się były skandaliczne i nie do zniesienia!...

Zbiegłego Mamadałłę widywali nieraz jeszcze później w czasie walk, dowodzącego oddziałem Czerkiesów; niezmiernie byłci on, widać, na Rosjan zajadły, a że oficer tęgi i wyższego wojskowego instytutu wychowaniec, nie raz jeden i nie dwa dawnemu pułkowi swemu srodze dał się we znaki.

Morowy był chłop, morowy, ten Gruzin... nie dał sobie w wąsy dmuchać!!

Tak to bywało na Kaukazie, na dzikim Kaukazie... będzie temu kopa lat!

. . . . . .

Jeszcze jedno z Kaukazu wspomnienie, ostatnie!... A nad wszystkie inne górne, tragiczne i dostojne, jak koniec bohatera, jak całego narodu śmierć, pogrzebanie!...

Szósty września 1859-go roku...

Kiedy to na górze Gunib Szamila dostali, co się Rosji bronił od czterdziestu lat!...

Nie wzięli go mocą, orła starego! Sam się im w ręce dał, by resztę swoich ratować, kaukazkiemu powstaniu przedłużyć konanie...

Od paryskiego pokoju, co zakończył krymską wojnę popowstanie to nic już, tylko konało...

Ej, śmiaćby się człeku do łez nad tym pokojem, mozolnie wysmażonym w mądrych głowach europejskich dyplomatów — gdyby równocześnie nie dusiły aż te łzy!!...

Gdzie zwycięzcy nic nie zyskali, a Rosja już powalona i z nożem na gardle, ostatecznie nic nie straciła!

Gdzie za polskie legjony, walczące w armjach sprzymierzonych, nie podniósł się za Polską na kongresie ni jeden głos! — a legjoniści rozproszeni, wstęp mając do ojczyzny zamknięty, poszli się tułać po świecie...

Gdzie pod naciskiem Europy, Turcja zobowiązać się musiała, że opuści współwyznawców, mężnych braci na Kaukazie, że więcej wspierać nie będzie przeciw Rosji »buntowników!«.

Na zatratę górskie orły! Na wybicie do jednego!!

Ginęły całe rody, całe gniazda... puste, puściejsze coraz po górach auły...

Bronił się do ostatka Szamil, lew Dagestanu.

Na górze Gunib, na wysokiej skale, ostatnia Czerkiesów twierdza obronna. W skalnym obozie nieomal cały Czerkiesów lud zamknięty — dziesięć tysięcy wojowników, nie licząc niewiast i dzieci.

Górę Gunib książe Bariatyńskij od północy z mocnem wojskiem oblegał.

Gdy odparty wściekle szturm po szturmie — a przecie tak miarkował generał-książe, jako wśród obleganych najpewniej głód srogi, nieinaczej — parlamentarza posłał piątego czy szóstego z kolei, z wezwaniem do poddania, a z nadzieją w sercu słabą, by się zaś i teraz powiodło.

Aż przyszła odpowiedź, bardziej niesłychana, bardziej niespodziana, niż byłby piorun czerwony z cichego niebios błękitu!...

Przyciskał dłonią czoło, oczy przecierał książe, — sam szczęściu nie wierzył swojemu!

Odpowiedź przyszła: »Ja Szamil, syn Murada, z łaski Allacha wszystkim plemionom Kauzkazu wódz, w ręce twoje zdam się, russkiego cara generale, Bariatyńskij książe, osobą własną i sam jeden — jeśli wszystkiemu mojemu ludowi z tego tu Gunibu pod Allacha słońcem odejść z bronią w góry nienapastowanemu...

Książe Bariatyńskij za złoty kołnierz munduru szarpnął, rozerwał pod szyją... dusiło go, dusiło!...

Wypuścić buntowników pod bronią dziesięć tysięcy???

Skoro może jeden jeszcze wysiłek, a zginie całe to nędzne powstanie, zadeptane jak mrowisko!!

Szamil przecież!!... Szamil! co nań od lat czterdziestu polowała Rosja, od czterdziestu lat!!

Coby dał był car Mikołaj, coby był dał!... Uraduje się dziś w grobie groźny car... i jego następca, Aleksander, na tronie!...

I to jemu, Bariatyńskiemu księciu, przypadnie sława!

Zdumieje, zdumieje Europa!

Bez Szamila, to powstanie jak bez duszy, jak bez głowy... samo zamrze, zczeźnie!...

A nimby tę górę przeklętą siłą wziąść, hekatomby, hekatomby straszliwe!...

Książe zasiadł i odpisał: »Na mój honor, zgoda! Z bronią odejdą, nienapastowani...

Nad górą Gunib na niebie tej godziny księżyc zachodził w kwadrze ostatniej, w kształt świętego znaku Proroka, czerwony, gdyby zlany krwią, złowrogi, gasnący.....

Pan Jeżewski po dziś pamięta... po grobową deskę nigdy nie zapomni!...

Stał blisko, patrzał, i widział...

Kiedy z Gunibu-góry zstępował Szamil ku rosyjskiemu generałowi, zdać się w jeństwo...

Stało wojsko pod bronią, wyciągnięte jak pod sznur.

Cisza taka, że słyszałbyś i brzęczenie muchy! Wszyscy, nawet sołdaci, ci ciemni, ci nieświadomi, czuli to w tej chwili że się coś wielkiego dokonuje i coś straszliwego.....

Wyniosły starzec i wspaniały, w skrzydłach czarnej burki rozwianej, jak w czarnych skrzydłach sępa...

Twarz śniada, sokola, od głodu zapadnięta, i zapadłe też, niby dwa ciemne doły, groźne oczy pod wiechami brwi siwych; siwa, jak popiół, w pół piersi broda...

Szamil!... Szamil!... ten straszliwy, wczoraj jeszcze niezwyciężony!... dzisiaj niewolnik, jeniec, nic!!...

Tak to pierwszy raz i ostatni ujrzał pan Jeżewski Szamila.

Polaka szloch za gardło chwycił, szloch niepowstrzymany.

Czterdzieści lat! Czterdzieści lat!!... Chrystusa rany!... Toż kto wtedy się urodził, synów dziś już ma pod wąsem i pod karabinem!

Po to ten walczył cały człeczy wiek, całe długie swoje życie, by mu w końcu przyszło na dzisiejszy dzień??

Tego, co się tu działo, cały tragizm bezdenny, młody Polak brał w duszę gorącą, i, czuł w tej chwili, jak mękę własną!

Idzie kaukazki wódz z głową podniesioną, zaciętą twarzą, w śmiertelnem milczeniu — idzie się oddać za swój lud...

I nie poznać po obliczu syna Wschodu, co w tej duszy!...

Przecież w tej chwili temu człowiekowi przepaść się pod nogami otwarła, a niebo wali się na głowę!!!

Czy to spojrzenie młodego rozpłomienione, bolesne, zniewoliło, jak zaklęciem, te z czarnych dołów patrzące, posępne źrenice?

Szamila oczy jastrzębie na moment się zwarły z oczami oficera w rosyjskim mundurze... czy w tym jednym, jedynym błysku odczuł on, że ten, nie »Moskow!« i uwielbienie, i niemą miłość, i ból w tej duszy obcej?

Podszedł kilka kroków książe Bariatynskij naprzeciw jeńca swego...

Szamil podniósł dłoń do czoła, potem ku piersi opuścił — w muzułmańskich ludów zwykłem pozdrowieniu.

W grobowej, grobowej ciszy oddał Szamil krzywą szablę, w srebrne wody nabijaną, z Proroka imieniem na klindze złotorytem, księciu Bariatyńskiemu...

A rycerskim gestem zwrócił mu ją natychmiast generał-książę...

Wtedy coś, niby cień strasznego jakiegoś, męczeńskiego uśmiechu, przewinęło się przez wodza twarz nieruchomą, chwycił szablę machinalnie, nie patrząc, nie za rękojeść a za ostrze całą dłonią chwycił — i ścisnąć musiał straszliwie, bo naraz jasna klinga zabarwiła się czerwono, spłynęły w dół po niej, niby wielkie, krwawe łzy...

Za plecami Jeżewskiego, w tej tragicznej ciszy, ktoś bezczelnie zarechotał:

»Dostalim ciebie w ręce naostatek, niechrest ty, sukisyn!!«

Jeżewski odwrócił się, i w rozcieszoną, ryżą twarz sierżanta, popowicza z Ukrainy, wymierzył policzek, aż mu pod ręką zachrobotało!

...Długo, długo przeciągali na oczach Rosjan-zwycięzców, na oczach Szamila-jeńca, wychodzący z obronnego na Gunibie obozu, odchodzący gdzieś w głąb Dagestanu precz, w pełnem

uzbrojeniu, jako był Bariatynskij Szamilowi zaręczył słowem — precz, na dalsze śmiertelne zmaganie, aż przyjdzie kres!

Szli czerkiescy wojownicy, od głodu i nędzy sześćmiesięcznego oblężenia na szkielety wychudli, a przecie i dziś hardzi i dumni jak króle. Synowie Szamila najpierwsi — najsławniejsi ci junacy: Khazi Mehmed, pierworodny, prawa rodzica ręka i oczu jego źrenica, ten, co od wyrostka nie odstępował go w bojach; i Khazi Mahroma, dzieckiem porwany przez Rosjan z aułu i chowany na Rosjanina w petersburskim instytucie — któren przecież ledwo dostał szlify oficera, zaraz zemknął na Kaukaz do swej braci — i nie miał dziś nadeń car zawziętszego wroga!

...Ci jeźdźce nad jeźdźce, górskie te centaury, co życie całe na koniu, walk towarzyszu i Czerkiesa bracie, pieszo dziś odchodzą w świat. Potracili wszystkie konie... gdy w obozie nędza, głód, pozabijać musieli te przepyszne, te lotne, by głód ich mięsem pożywić. A strzelając swego konia, płakał Czerkies jak nad bratem, junak ten w bojach zdziczały!...

Najsilniejsi i najroślejsi mężczyźni miast koni do ciągnienia dział zaprzężeni, których widok przypomniał Jeżewskiemu parafjalne pukawki na Litwie, co z nich po odpustach na wiwat palono — i smutny uśmiech na usta wywołał...

Ale jednak, i te pukawki biedne, jakże ciężkie, nadto ciężkie zmordowanym długim głodem...

Na świeżo ściętych cedru gałęziach, w krzyż złożonych, nieociesanych nawet z wonnego szpilkowia, rannych unoszono i umierających. Każden choć umrzeć chciał na swobodzie i w swoich górach, nie u »Moskowa« w obozie!...

Przy księciu Bariatyńskim Szamil stał, i patrzał niemo na wyjście swego ludu.

Jeżewskiemu przelatywało w myśli wzburzonej: Jak oni mogą!... jak oni zniosą!... zostawiać go tak!! swojego ojca, swojego wodza! Przecież broń mają w ręku do krocset piorunów! Na oślep się rzucić! rozpacz cuda może!... A zresztą choćby przepaść! ale choć próbować go ratować!!!...

I ujrzał Jeżewski istotnie, boć odległość była niewielka, a on wzrok miał młody, rysi, że wszystkie te oczy kaukazkich górali na oczach Szamila zawieszone, pytaniem jakiemś rozgorzałe namiętnem...

A on, ich wódz, ich ojciec stary, zdał się ich trzymać na uwięzi wzrokiem piorunowym, jakby głosem rzucał słowa:

Nie! nie! nie lzia!...

Jako książe Bariatyńskij na swój honor przysiągł oficerski, że ich z bronią wypuści — tak Szamil na Allacha i Proroka, jako odejdą spokojni, wstrętów nie czyniący...

Nie sprawcie, nie sprawcie, hej moje sokoły, by na wieczny wstyd złamana wiernego przysięga!!!

Szli i szli... za nimi ich niewiasty, giętkie jako palmy, i strzeliste, zatulone aż po oczy w czarne jedwabne zasłony, niby nieskończony korowód żałobnic - płaczek na tem starego wodza wiecznem żegnaniu, smutniejszem od pogrzebu...

Z pod czarnych zasłon czarniejsze się oczy palą, ku Moskowom całem piekłem, całem piekłem nienawiści!...

...Możeś ty tutaj, zasłoną skryta, i nic nie wiesz o mnie, jak ja nie wiem o tobie, ty mój dawny śnie prześniony, coś odemnie precz uleciał, ty, coś mnie zraniła?...

Dzieci, chłopaczki małe, orlątka te dzikie, jastrzębiątka, piąstkami przeklętym Moskowom wygrażają zdala, zęby białe wyszczerzają jak wilczki, gotowe kąsać, rozdzierać...

Szamil podniósł w górę ręce, jako na wschodzie patryarcha ojciec, nad pokoleniem swem błogosławiące, gdy mu odejść czas do raju — i patrzył, i patrzył za nimi, gdy odchodzili, znikali na górskiej drodze, patrzył jeszcze, gdy za skałą znikł Czerkies ostatni...

I wtedy, z ust jego, chrapliwy krzyk, jak drapieżnego ptaka, zestrzelonego z błękitów: Allach!... Allach!... Allach!...

Czy w niebo skargę straszną ciskał, co ciche takie i słoneczne, i pioruny zeń nie biją! gdy tu na ziemi, na Kaukazie, Allacha tym podnóżku ze szmaragdów i ze złota, klęska wiernych ostateczna?...

Czy o śmierć modlił się swemu Bogu?...

. . . . . .

Nie zesłał przecie rychło śmierci Allach niezbłagany! Przed kaukazkim królewskim ptakiem długa jeszcze w żelaznej klatce niewola.

Wywiezionemu do Kaługi, w śmiertelnej tam posępności wlokły się starości dnie i lata.

A jednak Europa, świat cały, podziwiały łaskawość cara Aleksandra, który tyloletniego przeciw majestatowi swemu buntownika nie kazał stracić, nie dał nawet w dyby zakuć, lecz na względnej wolności na wygnaniu pozostawił »pod najściślejszym policji dozorem!«

Pod srogim Mikołajem spotkałby jeńca los łaskawszy, niż ten z rąk Aleksandra, liberała na pokaz Europie — bo dwanaście kul w serce, i koniec męki...

Po jedenastu w Kałudze latach, Szamil, już stojący nad grobem, podał prośbę do cara, by mu dozwolono było do Mekki, tam umrzeć przy grobie Proroka. Nie chciał wierny muzułmanin w giaurów ziemi złożyć kości.

I prośba wysłuchana, i odjechał starzec do Mekki, i tam umarł w rok niespełna, i świętem mieście Islamu pogrzebiony.

Takiem było życie i taka śmierć Szamila, bez zawahań odchyleń, proste i górne, jak lot strzały wystrzelonej z łuku w słońce.

...Po wzięciu Szamila, jeszcze dwa lata, po górach Dagestanu, po leśnych dolinach, kołatało się umierające powstanie... Aż gdy po dwu latach zginął Khazi Mahroma, po rodzicu wódz mądry i dzielny (ongiś oficer carski, a na carskich bicz później boży!) — a z nim razem w najśmiertelniejszym boju zginął kwiat wojowników, i nie został już w rękach Czerkiesów ani jeden auł, ni piędź ziemi, gdzieby wolną stopę stawić — wonczas wyprowadził Khazi Mehmed, Szamila pierworodny, do Turcji za Ararat niedobitki swego ludu — a było ich rodzin już tylko dziesięć tysięcy i w przeważnej tych rodów liczbie same kobiety i dzieci, męża żadnego ni wyrostka ponad lat piętnaście — wszyscy ci byli padli!

Tak się dokonał smutny ów z rodzinnej ziemi czerkieskiego narodu exodus.

Jeszcze raz przecie za broń im porwać, ostatni! w 1877-ym, gdy znów Turcji z nienawistną Rosją wojna!

I przywiódł znów wtedy Khazi Mehmed wojowników swoich, ilu pozostało, na Kaukaz z powrotem, rozpalił znów ogniem kaukazkie góry i lasy, jako przed laty Szamil, i jak rodzic, uległ wrogom z wyroku Allacha...

Czerkieski naród, gdy stracił ziemię pod nogami, osiedlony częścią w Tracji europejskiej, częścią w azjatyckiej Anatolji, — burzliwy zawsze i niespokojny, dla ciągłych zbrojnych

sporów z ludnością tubylczą, przez rząd sułtański tu i tam wysiedlany bywał nieustannie...

Aż rozdrobnił, rozproszył się jak piasek, co go zły wicher rozniósł po świecie — i nim pół wieku minęło, przestał istnieć jako naród...

Tak zginął i skończył się lud, co był jednym z najmężniejszych na ziemi, i bronił się najeźdźcy okrągło dziewięćdziesiąt lat, nim przepadł!.....

A wszystko to się działo w wieku 19-tym, wieku cywilizacji i wolności i wzniosłych haseł.

Tam w górze, nad gwiazdami, w czarną księgę carskiej Rosji nową ciężką zbrodnię wpisał Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy!...

V.

Po »usmirjeniu« Kaukazu ostatecznem, Jeżewski na gwałt jął się starać o urlop, by po tych ośmiu latach ciężkiej służby na obczyźnie odwiedzić kraj i swoich.

Poparł go gorąco w tej sprawie pułkownik Osipow, następca zastrzelonego Aleksieja Aleksiejewicza i obecny komendant 45-go dragonów pułku, człowiek zacny i dla podwładnych oficerów prawdziwie ojcowski. Walczył on był z Polakami w 31-szym, i po dziś dzień nosił na twarzy pamiątkę od polskiego ułana, potężną kresę od lewej skroni aż po samo ucho prawe — pielęgnowany jednak potem w polskim dworze, jakby nie wróg był, ale swój i brat, zachował odtąd w sercu skrytą dla naszego narodu sympatję. Być może, że ongiś krył tam i coś więcej jeszcze, nim przyszła starość i łeb do szczętu osiwiał, bo często gęsto lubił wspominać Polek piękność i wdzięk — tylko, że to one, jako dodawał wzdychający, — »russkiemu człeku, jako ta zorka na niebie«, że nie sięgnąć i nie dostać!...

Tak to na tym świecie, wszystko się dziwnie wiąże i plecie... i może w znacznej części sercowym z 31-go roku pułkownika Osipowa wspomnieniom zawdzięczał praporszczyk Jeżewski dziś w 1862-gim otrzymany »nieograniczony« urlop na powrót do kraju.

Złota była, polska jesień, gdy powracał — a w jego sercu, jak na tem wrześniowem niebie, jak w litewskich złotych lasach, tak błękitno i słoneczno!

W domu, w Kleckiej Woli, mało się zmieniło, tylko się ku starości wszystko pochyliło...

Ojciec, dziś już siwiuteńki, zda się bardziej jeszcze duchem, niż na twarzy i czuprynie postarzał, i tak jakoś dziwnie

złagodniał: ot, gdy stanął w progu syn, ośm lat niewidziany, twardy, stary pan, szlochem się głośnym zaniósł jak dziecko...

Matka, co w milczeniu przecierpiała i najstarszego, najbardziej może kochanego, w świat odejście bez powrotu, i z tym drugim synem rozłąkę przez długie lata — miała teraz w swojej słodkiej, zwiędłej twarzy coś z rezygnacji bolesnej Madonny, i nawet gdy się uśmiechała, nie umiała już inaczej, jak smutno...

Ale najbardziej, to już na dziadzi napoleończyku zaciężyły te lata. I nic dziwnego, miał ich już pan Woydyłło 90 blisko, i na pamięć starca zapuściła się była zasłona, co mu wszystko rzeczywiste, dzisiejsze, kryć się zdała, a dozwalała żyć duchem całkowicie w przeszłości dalekiej...

Władysława z Kaukazu powracającego wziął za przepadłego gdzieś w świecie Ignasia, i cieszył się nim, z radości płakał, po głowie głaskał, i tak, płacząc, strofował:

»A widzisz!... a widzisz!... potrzeba ci było, błaźnie? Kto nie słucha ojca, matki, ten słucha psiej skóry! takie przysłowie, wiesz, takie stare przysłowie...«.

Tegosamego jednak jeszcze wieczora, zbudził się jakby z letargu i począł naraz mówić z całą jasnością ducha staruszek dnie całe w fotelu swoim drzemiący, o którym wszyscy sądzili, że już nic nie wie, nie słyszy...

Było to, kiedy mąż najstarszej wnuczki (Bronia i Jadwisia obie już wyszły były za mąż, za sąsiadów, rodzonych braci Turowiczów) rozmawiać począł ze świeżo poznanym szwagrem o polityce, i sięgając do starych spraw, ostro potępiał Napoleona, jako że to nas zwodził, zwodził i nic dla nas nie uczynił...

Na imię Napoleona, drgnął pan Woydyłło i dźwignął się z miejsca. O stół się wsparł i stanął nagle o swojej mocy...

»Za pozwoleniem!!!«

Jako płomień była jego obrona! Jeszcze raz, i ostatni kopije kruszył za swego Empereura!

Jak gdyby zawrócił już w pół drogi na tamten świat, żeby za niego walczyć jeszcze!

Naprzeciw dziadunia, gdy tak się podniósł w swoim ciepłym szlafroku, taki bezsilny i stareńki, bielało na ścianie, nad czeczotkową kanapą, popiersie Napoleona...

A on zapatrzony w marmurową twarz wielkiego Cesarza, za którym schodził całą Europę, sto razy dawał za niego krew i życie -- zbijał zarzut po zarzucie, zapalczywie... ogniście...

»Dał nam sławę na cały świat! Dziejom Polski przyczynił wspaniałą kartę! Sommosierra, Smoleńsk, Lipsk, to po wieki nasze! Glorji tej nikt nam nie odbierze!!!

Jeszcze i w sto może lat, te nasze Dąbrowskiego legjony nowych wzbudzą bohaterów i nowe legjony! Jeszcze wy doczekacie, młodzi!...

Sacrebleu!!! i umrzeć za niego nie było żal! Gdybyście go byli znali, widzieli! Ale wyście, mizeraki, nic nie widzieli!!!«

I na zakończenie, groźnie tak do męża Broni, całkiem już zbitego z tropu i zaniemiałego!

»O cesarzu Napoleonie w mojej obecności zawsze tylko z jak największem uszanowaniem!!! zapamiętaj sobie smyku, co jeszcze mleko u ciebie pod nosem!«.

Turowicz miał już, nawiasem mówiąc, trzydzieści przeszło lat.

Skończył dziaduś, i na swój fotel się osunął, ciężko z wysiłku dyszący... i znów niby się zwarła wokół niego mgła niewidzialna, starca broniąca od rzeczywistości, niby zapadła na nowo odchylona na moment ciężka zasłona...

Po krótkiej chwilce, drzemał napowrót w cieple kominka, kiwający w prawo, w lewo, siwą głową, zwieszoną bezwładnie — jakby odszedł był już od nich w dalekości jakieś niezmierne, w tę młodości swojej purpurową baśń o wojnie, o sławie, Napoleonie...

W staroświeckiej bawialni litewskiego dworu, czeczotkowemi meblami zastawionej, gdzie w zapadającym szybko mroku białością świeciło ogromne, ponad miarę człowieczą. Oblicze największego z pośród ludzi, któren i teraz jeszcze z za mogiły, nie tracił swojej nad ludźmi mocy, i teraz jeszcze tak na duszach grał, jako na harfy strunach — wiew jakiś górny przeleciał, bohaterski wiew i dreszcz.....

Wstrząsnął sercami młodych, że poczuli, jako nie wszystko umiera, jako sława nie umiera!...

Rodzeństwo to młode, po latach tylu niewidzenia, wszystko to dziś było powracającemu z daleka, jakby znajomości zgoła

nowe! Podrostkami to wszystko odjechał przed ośmiu laty, a dziś oto obie siostry, poważne już mężatki i matki! Obie te okrągłe, rumiane blondynki, podobne do siebie z pozoru jak dwie krople wody, a usposobieniem nic a nic: Bronia, żywa, wygadana, energiczna, prost Herod-kobiecina! — Jadwisia łagodna i cicha. I mężów także dobrały znów sobie, jakby dla kontrastu, aż śmiech! starsza powolnego, nieunoszącego się nigdy, gorzkiego trochę Kazimierza, gdy Jadwisin Janek wicher-chłop i pełen kawalerskiej fantazji!

Przyjechał umyślnie z Warszawy na brata powitanie dwudziestoletni dziś Paweł, nazywany w rodzinie »mądralą«, iże jedyny on z braci ukończył klasy gimnazjum, i nie byle jak, bo »z celującym postępem, patrzajcie go, błazna!« jako oznajmił Władysławowi ojciec, mądrością tą rozpromieniony — a obecnie aplikował się w nauce prawa we warszawskiej Szkole Głównej.

Starszy o dwa lata Piotr, ojcu w domu w gospodarstwie pomagał, już dziś prawa ojca ręka. Ten, to szlagon wykapany! Dobry chłopak, że do rany przyłóż, mimo, iż z pozoru ciężki i niezgrabny, w przeciwieństwie do gładkiego Pawła, któren się już w stolicy na warszawskiego panicza zdążył urobić!

Ale najbardziej już ze wszystkich, nowiuteńka jak z igły znajomość, to z najmłodszą siostrzyczką Zosią, benjaminkiem całej rodziny, którą odjechał był ślicznym, o krętych, jasnych włoskach pięcioletnim bębnem (przepadał wprost za tym malcem, jak zresztą i wszyscy w domu!) a dziś ujrzał wdzięczną, by kwiatek dziewczynką, o długich warkoczach, z oczami jak płatek nieba, wpatrującą się w nieznanego tego brata, bohatera tylu przygód, z ciekawością, a nieśmiele.

Hej dobrze człeku, strach, jak dobrze! jak wesoło, jak serdecznie, na swych śmieciach, w swoim domu, między swymi!

Cały ten Kaukaz dziś już mu tylko, jak daleki sen — a serce na nowo przywarło całą mocą do starego dworu z filarkami, do rodzonego kawałka ziemi, kochanego tego nad trockiem jeziorem!

Gdy się spać rozchodzili, radosnego tego dnia, a było już dobrze po północy, i piały pierwsze kury, ojciec zatrzymał jeszcze Władysława:

»Chciałbym z tobą sam na sam... a tu, gdy wy wszyscy młodzi razem, gadaniny, śmiechu, figlów tyle, że ni sposób pokonwersować roztropnie!«.

...»Czy ty imaginujesz sobie, mój kawalerze, że my szybkim krokiem zdążamy ni mniej ni więcej, tylko do nowego powstania?«

Syn porwał się z miejsca na równe nogi.

»Co też ojciec mówi??«

»To, co widzę! Nie wszyscy jeszcze u nas chcą to widzieć, a jednak to fakt, tak jak to, że tu siedzę przed tobą w tej chwili, fajkę zapalam... Wszystko, z wiedzą czy bezwiednie pcha nas do tego, najsprzeczniejsze ze sobą elementa! Tak margrabia Wielopolski, co się na sui generis zbawcę Polski chce wystroić, uczynić ją zasobną a oświeconą, a pozostawić nazawsze już carską dzierżawą, czy w najlepszym razie wyzwolenie odłożyć ad calendas graecas!... A obok pana margrabiego, raczej przeciwko niemu, to się ma rozumieć! wszystko co w Polsce »czerwone«, co gorętsze i nierade dłużej cierpieć jarzma!«.

W krótkich słowach pan Szczepan Jeżewski wyłożył synowi sytuację całą, wypadki 61-go jeszcze i tego oto 62-go roku: demonstracje patrjotyczno-kościelne w Warszawie i strzelaniny wojska do publiczności bezbronnej — o których ten na swoim Kaukazie albo nic nie wiedział, albo wiedział tylko z rosyjskich gazet, piąte coś przez dziesiąte.

»Tak, tak, mój kaukazki wojaku, wspomnisz moje słowa, że do jakich kilku miesięcy najdalej, kraj znowu w ogniu stanie!«...

Rozłożył bezradnie ręce młody, pokręcił głową frasobliwie.

»Nie widzę szans powodzenia, nie widzę! Dość się przez te lata napatrzyłem, co znaczy gerylasówka taka wobec wojska regularnego! Choć tam i zje djabła wojsko z początku, przecie koniec zawsze gerylasom smutny! Jeszcze tam, Czerkiesi mieli teren do partyzantki, jakiego drugiego nie ma w świecie! A my co?... Tyle, co te nasze lasy... Oj, ciężko, ciężko będzie, by z tego jaka pociecha wyrosła!«.

Stary nic nie mówił, patrzył jeno w sufit srogo i z fajki pykał...

»Żeby to choć, widzi ojciec, jaką ościenną wojną Rosja była teraz zajętą! Żeby to tak w czasie kampanji na Krymie,

kiedy równocześnie i na Kaukazie Moskale mieli kłopotu, aż miło! Czemuż to wtedy nikt się u nas nie myślał poruszyć, czemu? Jeśli kiedy, to wtedy pora była jedyna! Ale już to widać, po wieki wieków tak zostanie, że Polak mądry dopiero po szkodzie!

Ojciec, choć sam się na tę przyszłość, co już tuż blisko, we drzwiach! zapatrywał czarno i z obawą, koso spojrzał i podejrzliwie na syna.

»Do takiej konwikcji doszedłeś w twoim tam pułku?... Ha! może masz i racją! Już bo co u nas, to istotnie politycznego rozumu po wsze czasy chyba z latarką trzeba było szukać, jak szukał Djogenes człowieka — chociaż wojskowe męstwo, także po wszystkie czasy, takie było w Polsce zwyczajne, jak kamyk przy drodze! Tak, tak, choć to swoim przyznać musisz, ty panie mój krytyku, bywalcze, co przychodzisz z dalekiego świata!«.

Wyrwał się młody gorąco:

»Ja nic nie krytykuję! Nie mój rozum potemu. Powiedziałem tylko, jak mi się na ten głupi rozum wydało! A przyjdzie pójść, karku nadstawić, toż pójdę, nadstawię, jakom powinien, choćbym też sprawę z góry miał za przepadłą!».

Mierzył go stary pan oczami przenikliwie, zdał się na próbę brać...

»Jakże pójdziesz?... oficer rosyjski?... Czy wiesz, czem to pachnie??«

»Nie potrzeba mi się nikomu tem oficerstwem chwalić, ostatecznie, ani z prawdziwego nazwiska spowiadać! A zresztą, niech tam! Raz kozie śmierć! Przyjdzie do czego, krył się po kątach nie będę, i zawsze, w każdym wypadku, spełnię najświętszy mój obowiązek Polaka!«.

Zaperzył się mimowoli, bo i on także, równo jak ojciec, raptus był. I naraz aż się stropił, on wojak i kawaler krzyża Anny, że wobec ojca podniósł głos — tak mu już bowiem w krew było weszło wpojone od kolebki staropolskie, surowe uszanowanie.

Ale ojciec ani się myślał gniewać! Rozpromieniony nagle, wyciągnął obie ręce, objął syna głowę, do piersi przycisnął w uścisku serdecznym.

»Nasz ty!... nasz, widzę, sprawiedliwie! Jakim odszedłeś w świat, takiś i nam powrócił, choć, chłopcze, nawycierałeś się cudzych kątów przez lat tyle! A mnie, chłopcze, tak już było strach, czy ci tam pod rosyjskim mundurem, polskiego serca nie odmienili!«.

Ośmielony dobrocią ojca, zażartował:

»Tymczasem, nim robić będziemy powstanie, chodźmy, ojcze, spać... bo mi się spać chce okrutnie, a oto, już dzień świta, takeśmy się zagadali!...«.

A zanim miał pójść do tego powstania, które stało już za progiem, dano mu było jeszcze poznać radość największą w życiu i miłość w życiu jedyną prawdziwą — dano mu było zaręczyć się z Maryjką Skorupską.

Maryjka Skorupska była kuzynka jego szwagrów, Krakowianka, sierota, wychowana przez babkę, która od strasznej śmierci syna i synowej zamordowanych w krwawej chłopskiej »rabacji« 46-go roku, w nieuleczalnym smutku pogrążona, w tejże atmosferze melancholji i żałoby młodziutkiej wnuczce również żyć kazała, jakby kwiatkowi w ciemnej piwnicy!

Dom babuni Skorupskiej w Krakowie, tym już samym przez się smutnym, pleśnią wieków pokrytym grodzie polskich grobów i pamiątek, zgoła był do klasztoru podobnym i życie w nim klasztorne! Nikt tam nigdy nie bywał, prócz kilku starych siwych pań, i dwóch czy trzech siwych, starych panów, wszystko to babuni dawnych znajomych i również jak ona w przeszłość całkiem zapatrzonych — i śliczna Maryjka rosła i wyrosła, słońcu obca i radości, nie wiedząca prawie, że być może inne życie, że świeci światu radość i słońce!...

Gdy teraz ot skończyła rok ośmnasty, i edukację w krakowskich Panien Wizytek klasztorze, babunia, od lat przeszło dwudziestu nie ruszająca się z Krakowa, wyjechała z nią na daleką Litwę do krewnych, pokończyć z nimi majątkowe jakieś porachunki tyczące się spadku po Maryjki matce, a równocześnie tymże krewnym pannę już dorosłą zaprezentować.

I tamże to, u Turowiczów Kazimierzów, kiedy przybyły na urlop do domu Władysław Jeżewski pojechał złożyć sta-

ruszce ciotce szwagra uszanowanie swoje, zobaczył po raz pierwszy Maryjkę.

Pamięta, siostry i szwagra nie było wtenczas w domu, gdzieś byli przy gospodarstwie, bo gospodarowali oboje zawzięcie, pani Skorupska była niedysponowaną i leżała z migreną, przyjęła go więc Maryjka sama.

Pamięta, było to w ogrodzie. Służący mu powiedział, że panienka w ogrodzie.

Płonęły jesiennem złotem lipowe aleje na szafirowem, gdyby włoskiem niebie — strzelały w górę prosto i dumnie kolumny dębów o rzeźbionych w miedzi koronach — bukiety młodych grabów wytryskały ze ziemi pękami złocistych płomieni.....

Złocistości wszędzie w bród.... cały ogród złotem malowany, przez świetlaną liści koronkę błękit gorący się śmieje...

Złoto i błękit, błękit i złoto — cały świat w dwie te radosne barwy spowity — z nieba na ziemię i z ziemi do nieba triumfalna bije słoneczność!...

Tak, zdało się, świat się wystroił i ten ogród cudny, stary, na to pierwsze ich spotkanie.

Bo oto szpalerem skąpanym w słońcu, po kobiercu z liści rdzawym, idzie ku niemu złotego ogrodu księżniczka...

Figurynka wdzięczna z sewrskiej porcelany!... sukienka czarna, bo od roku wszystkie Polki w narodowej żałobie, po liściach jesiennych płynie szeleszcząca, jakby duży, żałobny dzwon; nad czarnym dzwonem krynolinki, ściśnięta z dżetów błyszczących przepaską kibić cieniuteńka, by u sewrskiej figurki z serwantki.

A twarzyczka też jak z porcelany: mleczno-biała, delikatnie wyrzeźbiona, z ustami z bladego koralu i oczami zielono-złotemi. Na główce równo gdyby odblask królewskiej świetności jesieni... jakby jesiennych tych liści korona... wszystkie na tych włosach barwy złota, bronzu, miedzi; mieni się w słońcu jak kruszec bogaty, ciężar dziewczęcych włosów ogromny...

...Pan Jeżewski, stary dzisiaj i dziad siwy, młody wtedy i z sercem gorącem, stanął jak wryty pod złotym lip stropem i zapatrzył się w bajkę...

Zapatrzył się, podejść nie śmie... a bajka idzie ku niemu sama, — idzie uśmiechnięta, spłoniona trochę i skłopotana, cudna, cudna panienka!...

W trzy tygodnie potem, był już po słowie z Maryjką...

Trochę się na ten pośpiech krzywiła babunia, przywykła, jako za jej czasów kawaler długo akomodować się musiał rodzinie i pannie, nim otrzymał słowo! Ale takie to już dziś nastały czasy, że młodzi nic a nic starych tradycji nie szanują!

Zresztą, wytłomaczyła babuni Maryjka, która w obronie swojej miłości (bo i ona pokochała go wzajem, serduszko to najmilsze!) stała się i wymowną i śmiałą, — że wszak pan Władysław długo nie mógł zwlekać, czekać, bo przecie babunia raz wraz o powrocie do Krakowa wspomina, a zresztą on żołnierz, to wszystko lubi prędko, po wojacku!

Ach! ten mundur jego nieszczęsny, to była w oczach babuni największa przeszkoda!

»Mon Dieu! mon Dieu!! przecież za oficera Maryjki wydawać nie będę!« wykrzyknęła przerażona, wachlując się blondynową chusteczką, piżmem woniejącą, gdy Kazimierz Turowicz oświadczył swego szwagra zamiary.

Konkurent miał wprawdzie przed sobą cztery jeszcze lata przymusowej w wojsku służby, ale to się jakoś zrobi! Wszystko pod słońcem wydawało mu się łatwem, i gładką jak stół każda ścieżka, odkąd Maryjka na jego natarczywe prośby i nalegania odpowiedziała cichuteńko: »i ja kocham«, przyczem twarzyczka by jaśmin biała, stała się na chwilę najkraśniejszą różą.

Jakoś przecie to będzie z tem wojskiem utrapionem!... wszystko jakoś będzie! Zacny pułkownik Osipow, tak jemu życzliwy, zaproteguje go, gdzie potrzeba, do wydobycia się wreszcie z djabelskiego tego munduru dopomoże! Maryjka odpowiedziała, że kocha, a w tem wszak sedno całej sprawy! Z całym światem wziąłby się za bary i nikogo nie uląkł, taki był szczęśliwy!

Tymczasem, ledwo że odrazu, na pierwszy ogień nie przyszło się brać za bary z wolą ojca, zawsze despotycznego.

Starszy pan Jeżewski miał swoje, parafjańskie trochę, prowincjonalne jakieś uprzedzenia, i dla niego »Galicjanka« Maryjka była kimś niezmiernie, prost zastraszająco obcym, »z całego świata«, nieledwie cudzoziemką! Przytem, tej Gali-

cjanki posażek zdawał mu się zbyt mały dla syna, zwłaszcza że to w sumach, nie w ziemi! Stary szlachcic, ziemianin z pradziada, chciwy był ziemi jak chłop, już nie to dla siebie teraz, ale dla swego potomstwa.

Lecz gdy próbował przeszkody stawiać, impedimenta, jako je nazywał, w obronie uczuć syna stanęła matka.

Powiedziała wówczas mężowi, czego przez wszystkie te lata nigdy mu nie powiedziała, ale tłumiła widać zawsze głęboko w sercu zranionem, a co teraz trysnęło naraz z tego serca matczynego, jak strumień krwi!

»Czyż ci nie dosyć, Szczepanie, tamtego jednego zatraty?... Czyż i ten drugi nie ma być szczęśliwy wedle swego rozumienia... i ten może jeszcze dla nas przepaść?«

Ojciec wtedy zbladł, jakby pięścią uderzony, odwrócił się i rzekł sucho:

»Niechaj tedy robi, jak mu się podoba...«

A Władysław głęboko wzruszony, całował ręce tej biednej matki, która Ignasia straty po dziś snać nie przebolała — i serdecznością prędko udobruchał ojca. Bo strach, w jakich był teraz u ojca łaskach! Wszystkie dzieci, jakby niczem staremu panu były wobec tego, odzyskanego po ośmiu latach! Udobruchał go zresztą i sam widok Maryjki: ktoby tej dziewczyny nie kochał był, nie lubił! — i widok wielkiego, jasnego szczęścia młodych.

Bo też szczęśliwi byli, że każdemu słoneczność taką, choć raz w życiu daj Panie Boże!

...Tylko, że w jego życiu tej radości, słoneczności było całej parady trzy te miesiące, a potem zaraz nastała noc ciemna, że choć łbem w ścianę wal!!...

Tak dziwnie, tak żałośnie, dziś po pięćdziesięciu latach to wszystko wspominać starcowi, tę Maryjkę »księżniczkę złotego ogrodu« i tę ich miłość okrutnie zabitą, w samem zaraniu, w samym rozkwicie...

A jednak, ona czasem, jakby coś przeczuwała, i bała się przyszłości...

Czasem, w chwilach najserdeczniejszych wynurzeń, gdy on głośno najpiękniejsze plany roił, cichła nagle wśród rozmowy i twarz jej podobna białemu kwiatu, przybierała wyraz smutny i zalękły.

»Dlaczego, Maryjko?... powiedz dlaczego?... co ci to ptaszku, dziecino złota?... Czemu oczki takie smutno zadumane?...«

A ona nawet dokładnie odpowiedzieć nie umiała, dlaczego.

»Tak się czasem czegoś boję, panie Władysławie... mój drogi, mój drogi... (nie mógł dotąd jeszcze uprosić tej swojej dziewczynki, by mu po imieniu mówiła!). Tak się często przypominają babuni słowa: że na tym świecie nie ma szczęścia, że jest dopiero w niebie! Więc mnie tak nieraz strach przed tem, co będzie, tak strach... zwłaszcza odkąd pana pokochałam, nie o siebie, o ciebie!... Więc ja tak często myślę sobie, że najlepiej byłoby razem nam umrzeć, teraz, o tak, trzymając się za ręce, jak w tej chwili, żeby nas już nic nigdy nie mogło rozłączyć!...«.

Wkoło nich ogród, już z szaty złotej odarty, w ostatnich blaskach zachodu i jesieni gasnął i umierał... błękit nieba jak popiołem przysypany o tej smutnej wieczorowej godzinie... idzie noc, idzie zima...

Nad konającym w mroku ogrodem, jeszcze jeden pożegnalny błysk rumiany, i w tym błysku nad wszystkie wyższe drzewa, płomienieje ostatnia złota jeszcze liśćmi topola, nakształt ognistej pochodni, gdy niżej u stóp, noc już i śmierć...

»Maryjko! Maryjko!... skąd tobie myśli takie! dziewczynko... na Boga?... Nie trzeba, dziecko, nie trzeba!...».

Tak sądził, naturalnie, że to babunia Skorupska, wiecznie żałobna, by ten cmentarny karawan, u licha! tak tą melancholją swoją utrapioną, fatalnie wpłynęła na Maryjkę — i w duszy wściekał się na babunię!

Nie, nie!... teraz gdy wspomina, rozumie starzec, co to było! i że ta jego biała »porcelanka«, z delikatniejszej, subtelniejszej, widno, gliny, nie z tej prostej, szarej, twardej jak on! czuła bezwiednie, czego on nie czuł, zbliżanie się burzy, co miała wszystko, wszystko pochłonąć!...

Wspominał, wspominał... te jedyne w swojem życiu jasne czasy, w życiu, w szczęście tak skąpem!

Babunia uprosić się dała młodym, by została z Maryjką na Litwie jeszcze przez Święta, Nowy Rok... Dzień za dniem wytargowywała od babuni Maryjka, wypraszał na klęczkach on, narzeczony...

Ach te Święta w Kleckiej Woli, radosne, prawdziwe te Gody! Wigilja na sianie, starym obyczajem, gdy pierwsza gwiazda błysła na niebie, opłatkiem łamanie się z kochanymi, pierwszy raz od ośmiu lat! życzenia wzajem szczęścia z głębi, z głębi duszy!...

Potem kolędowanie, stare, sercu miłe pieśni: ta jak jasne od aniołów cudu zwiastowanie:

»Wśród nocnej ciszy, głos się rozchodzi,
»Wstańcie pasterze, Bóg się wam rodzi!«

I ta druga, prostoduszna, dobroduszna, skoczna jakaś i chwacka:

»Dnia jednego, o północy,
»Gdym zasnął w ciężkiej niemocy,
»Nie wiem czy na jawie, czy mi się śniło,
»Że koło mej budy słońce świeciio!«

. . . . . .

»I tęgom ich musiał wziąść za czuprynę,
»By wstali powitać Bożą Dziecinę!«

Po wigilji, po kolędach, jazda saniami na pasterkę, o wiorst piętnaście opętanych; przy nabożeństwie i szlichtady człek użyje — ot przy jednym ogniu dwie pieczenie!

Jechali w pięcioro sani; młodzi dokazywali jak myszy bez kota, bo państwo starsi i pani Skorupska dla tęgiego mrozu w domu pozostali. Od sań do sań leciały śpiewki! Janek Turowicz powoził jak warjat, jakto on zawsze wszystko po warjacku, i wywalił w zaspę Pawła, warszawiaka i żonę! Warszawiak był bardzo nierad i długo otrzepywał eleganckie miejskie futro ze śniegu, którego miał pełno w kieszeniach, w rękawach, za kołnierzem, — a Janek szałaput śmiał się na całe gardło! Jeszcze szwagrowi przymawiał: »Dobrze tak tobie, dandysie, francuski piesku!«

Narzeczeni jechali we dwoje, w saniach ostatnich. On zwolnił umyślnie, by tamtych puścić przodem, aby nic już i nikt dokoła, tylko ta srebrność, ta cisza, i ich dwoje...

Noc była miesięczna, i cały świat w śniegowych puchach, w srebrni i bieli, w brylantowych migotaniach, gdy lecieli poprzez pola, przez ten śpiący las!

W lesie Władysław Maryjkę straszył: »są tu wilki, naprawdę! ot, tam za drzewem, i za drugiem, wilcze świeczki!« —

aż panienka w przestrachu przytuliła się do niego, a on jej, niecnota, całusa ukradł, i drugiego, i trzeciego, lęk przed wilkami wykorzystując! To też, gdy później podstęp zmiarkowała, bo dzikich bestji, jak okiem zajrzeć, ni na próbkę nie było! długo, aż po ostatnią wiorstę przed kościołem gniewała się srodze!

Albo inny wieczór dziś się człeku śni, marzy... ten ostatni przed odjazdem pań Skorupskich do Krakowa.

Na kominku ogień płonął, czerwony, wesoły, na oknach sielnie zamarzniętych mróz się mienił w najcudniejsze wzory, tęczowe, iskrzyste, djamentowe na szybach koronki-pajęczyny, przez srebrne jakieś utkane pająki-dziwy...

Za miesiąc miał za Maryjką do Krakowa jechać, a tymczasem na gwałt starania o uwolnienie z wojska czynić! Wiedział wszak, że Maryjkę niedługo znów zobaczy, że ostatecznie, do ślubu już kilka tylko miesięcy (choć babunia wciąż się upierała, aby odwlec, i po jakiego, pytam się, licha?). Choć szczęście to swoje miał więc mocno w garści, przecież dziś mu było w duszy tak, że siądź jeno i płacz!

Żebyż choć Maryjka do tej tam zatraconej Galicji nie odjeżdżała, gdzieś jak za morze! Gotów był w tej chwili podzielać w zupełności zdanie ojca, że Galicja, to obczyzna i kraj świata!

By sobie tedy dodać animuszu koniecznie, bo optymista był z natury okrutnym i melancholizować nie lubił, tak przemówił do swojej dziewczyny, cichej też bardzo i osmętniałej:

»Maryjko, moja Maryjko! Pomyśl, za rok o tej porze, kiedy znów takie na oknach będą lodowe kwiaty, będziemy już na nie patrzyli z naszego gniazdka, z naszego domu — już będziesz moją na wieczność!«.

Maryjka wtedy podniosła na niego te cudne swoje oczy, zielone, o złotawym poblasku, od łez błyszczące w tej chwili:

»O nie mów, nie mów, co za rok! Bo tak mi ciężko odjeżdżać od ciebie, i tak się zdaje, jakby to już na zawsze!... To przecież straszne, jeśli tak, jak babunia powiada, że każden dzień szczęścia, gorzkiemi łzami opłacić później trzeba!«.

»Niech djabli wezmą ba...!« — zaperzył się i odrazu ugryzł w język, bo przecież byłoby to, strach, jak bez uszanowania!!

Jednak, mimowoli, dreszcz jakiś go przeszedł, jak od wróżby złej, choć zresztą nie był przesądnym wcale a wcale...

Odprowadził te panie aż do Wilna, by dłużej być z narzeczoną. Odjeżdżała wraz z nimi i Zosia, najmłodsza jego siostrzyczka, ta co dwa płatki nieba miała w oczach, i nieuleczalny respekt przed dużym »kaukazkim« bratem.

Rodzice oddawali ją na pensją do Benedyktynek w Staniątkach pod Krakowem, słynnego na całą Polskę zakładu dla panien szlacheckich, — bo tu, na wsi litewskiej, zbyt trudno pannę wykształcić należycie, tak, aby chybki w edukacji nie było! Ot, dwie starsze, w domu chowane, a skutek taki, iż Bronia gra na fortepjanie, że Boże się zmiłuj, a ty słuchaczu zatykaj uszy! — Jadwisia zaś nigdy nabrać nie mogła ładnego francuskiego akcentu! Biedna Zosia zalewała się łzami. Ale ojciec kazał, nie było apelacji! Cała pociecha małej wygnanki, to że Kraków zobaczy po drodze, i Wawel, i kopiec Kościuszki — no i drogę odbędzie z przyszłą bratową, którą strasznie była pokochała!

Gdy w Wilnie pociąg ruszał ze stacji koleji żelaznej, Jeżewski na dworcu pozostały, chwilę jeszcze widział w oknie wagonu jasną Zosi główkę, jak len, i Maryjki rudozłotą, — chwilę widział jeszcze Maryjki dłoń w rękawiczkę opiętą, wiejącą mu chusteczką na pożegnanie — aż znikły ta czarna łapka i ta chusteczka biała...

Całkiem tak mu się na sercu zrobiło, nieprzymierzając, jak na pogrzebie!

I by ulżyć głupiemu temu sercu, dziwnie ściśniętemu, jął siebie łajać, zaciąwszy zęby:

»Nie bądźże durniem, osłem! Nie tak już bywało!... Za miesiąc przecież, za miesiąc!!!«

...A we dwa już tygodnie, w Królestwie wybuchło powstanie, w rezultacie końskiej kuracji, narodowi przez pana margrabiego stosowanej, któren brutalną do wojska branką chciał z gorączki wolnościowej Polskę leczyć — i Władysław Jeżewski poszedł do powstania, a z powstania na Sybir, i nie zobaczył Maryjki Skorupskiej ani za miesiąc, ani już nigdy, nigdy, nigdy.....!

VI.

W trzech oddziałach, pod trzema wodzami walczył z kolei. Langiewicz — Sierakowski — Czachowski, trzy imiona, jak trzy gwiazdy spadające, świetne na mgnienie, wnet zagasłe, pierwsza w smutnej bezsile, tamte dwie w męczeńskiej krwi.

Dyktator... ileż to nadziei powiązanych z imieniem dyktatora!... cała Polska stęskniona do Wodza, Wskrzesiciela, ku dzielnemu żołnierzowi, co go wicher przypadku wyniósł wysoko, wyciąga ręce i pyta:

Żaliś ty już On? którego wróżyli wieszczowie?... którego zesłać miał nam Bóg?

Pierwsze czasy powstania w blasku zwycięstw Langiewicza, jak w ślepiącym zwodnym blasku bengalskich ogni czerwonych.

Tak!... pan Jeżewski, gdy dziś wspomni, nieinaczej widzi te czasy, jeno jakby w sztucznej jakiejś, przejaskrawej łunie, co na wszystko wzrok ćmiła!

Na tę powstania beznadziejność, że chyba trzebaby cudu, cudu z nieba!...

Na tę gorzką prawdę o garstce kilkutysięcznej, źle odzianej, licho zbrojnej, w szable, piki, pistolety, w myśliwskie fuzje, jako się zdarzy! zato ale w fantazję okrutną, że choć wal prosto z motyką na słońce!

Z jednej strony nic też tylko fantazja ta sarmacka, purpurowa, — z drugiej, choć zaskoczona w pierwszej chwili polskiem zuchwalstwem i polskim rozmachem, potężna, stutysięczna armja cara!...

Cóż winien dzielny żołnierz, któren wszystko z siebie dawał, duszę byłby oddał, życie codzień ofiarował ochotnie, że nie wybiła jeszcze godzina, i on, nie Ten, którego naród

czekał?... że nim Tamten się pojawi, jeszcze całe morze krwi!...

Tak na oczach Jeżewskiego załamał się bohater i wódz — w którym on, w którym wszyscy chcieli widzieć zbawcę!...

...W austrjackiem więzieniu na Wawelu dyktator siedział (och, jakie straszne, straszne szyderstwo!) potem na Morawy wywieziony, i koniec z dyktatorem...

Miał imię, że żyje, a był już, jako umarły.

Poszła z nim do więzienia jenerałówna czarnooka, Henryka Pustowojtów, córka Polki i Moskala, która z dwóch swoich ojczyzn tę wybrała, na śmierć ukochała, co niewolna i nieszczęśliwa. Adjutantem była Langiewicza i we wszystkich bitwach przy jego boku, męstwem swojem i tężyzną młodą powstańcom przykład i podnieta, od wszystkich powstańców wielbiona.

»Wiwat, adjutant nasz, niech żyje!« — z rozbłysłemi oczami wołali, gdy pod kulami rozkazy wodza nosząc, wichrem przelatywała na koniu.

Dziewczyna jak ogień zapalczywa, a czysta jak biały kwiat, dyktatorowi ołtarz wystawiła w sercu gorącem, i wierzyła w niego jeszcze, gdy już nikt nie wierzył...

Posypały się natomiast gradem oskarżenia, oszczerstwa, kamienujące bez litości upadłego, jak to u nas zawsze i po wszystkie czasy!...

Rozpadła się armja powstańcza na partyzanckie oddziały, kryć się po lasach, z lasów wypadać, Moskali podgryzać, nękać, Moskalom wytchnąć nie dać. Jeziorańskiego, Waligórskiego, Śmiechowskiego oddziały, i Czachowskiego, żelaznego pułkownika.

Władysław Jeżewski, jako Litwin i spraw tamtejszych znajomy, rozkaz otrzymał od Czachowskiego na Żmudź, gdzie Zygmunt Sierakowski, dawny pułkownik rosyjskiego sztabu, przez Rząd Narodowy naznaczony naczelnikiem powstania w Kowieńskiem, oddział zbierał i wybuch gotował.

Nim mu jednak udać się z tą misją daleką, u starego, surowego Czachowskiego urlop jeszcze wyprosił sobie, ot na dwa dni, tyle, by wpaść do Krakowa. zobaczyć swoją Maryjkę i pożegnać.

W Krakowie wieść, jak obuchem w głowę. Niema Maryjki! Pani Skorupska przed miesiącem nagle zmarła, a jego dziewczynkę dalecy krewni gdzieś aż na Pokucie zabrali, pod Śniatyn jakiś zatracony, na koniec świata!

Coprawda, to przeszedł wtedy chwilę djabelnej pokusy, by wszystko rżnąć o sosnę i pod Śniatyn duchem lecieć, do swojej sierotki!

Zmógł się jednak i uczynił jak był powinien; następnego dnia już był za Wisłą, w drodze na Litwę. Podróżował za paszportem jako kupiec, pod nazwiskiem, rozumie się, zmyślonem.

Do Maryjki list tylko wysłał, w którym całe swoje serce kładł jej pod nogi.

...Dziwne jakieś miał uczucie i przykre niewymownie, jakoby ona oddalała się coraz, zasuwała coraz bardziej w nieprzeniknioną gęstą mgłę, że choćby wołał na nią, wołał, ostatków głosu z piersi dobywał, ona już nie usłyszy.....

Nad głębiami litewskich puszcz, o tej pierwszej, młodej wiośnie, przelatywała Śmierć z kosą.

Ponad gąszcz czarnych sosen o koronach rozszumianych i pniach gonnych, strzelnych, jak z czerwonej miedzi — ponad głowy dębów-praojców, co rówieśne Jagiellonom królują na jasnych polanach — wiał płaszcz jej widmowy z siwej, smutnej pajęczyny...

W jeziorkach leśnych, czarnych tych zwierciadłach, wśród których lilje wodne cicho śpią, ponad zatopione kolumnady drzew, na tle nieba, co tam w głębi umarłe leży i blade, odbijała się Martwica powietrzem lecąca, błyskająca widziadlaną kosą...

Nie ujrzało jej, nie oglądało ludzkie oko — tylko, w samem sercu puszczy, gdzie nie stąpić ludzkiej nodze, wilk zawył nagle złowrogo w biały dzień i puszczyk zahukał o samem południu, — choć naokół była sama cisza, jak szalone do ucieczki zrywały się złotawe jelenie o wspaniałych rosochach, — i żbik jak tygrys pręgowany, do skoku przysiadły na drzewie, w mroku świerczyny czarnozielonym świeczkami oczu łyskał strachliwie, i drżał, i czegoś drżał...

W jasne noce, kiedy miesiąc w kir i w srebro wiosenną puszczę przemienia, kiedy w czerni leśna głąb, a polany w księżycowej jaśni, a stawy jak srebrne zwierciadła — choć nic nie widzieli leśni ludzie, z puszczą tą związani jak drzewa, smolarze i drwale, niesamowity jakiś lęk ich trząsł, i słuchając po nocy dziwnych boru głosów-jęków, i kędyś w powietrzu wysoko, nibyto straszliwych jakichś skrzydeł bicia, odżegnywali się krzyżem świętym od nieszczęścia.....

Z litewskich borów-lasów, razem z kwietniem, razem z wiosną, wojna wyszła, wojenka! wyszedł z głębi puszcz z powstańczym oddziałem Zygmunt Sierakowski, Dołęgą zwan, i za cześć Matki Polski na krwawę harce wyzwał Moskala.

O, i dziś jeszcze, po pół wieku, pan Jeżewski, gdy Dołęgę, tego wodza swego wspomni, to ze czcią prost modlitewną, jak świętego męczennika, że na usta ciśnie się mimowoli: módl się za nami!...

Ledwo go poznał, ledwo w pierwszej bitwie walczył pod Sierakowskiego wodzą, całem sercem odrazu do stóp jego przypadł, i tak pragnął, tak pragnął wszystkiemi siłami duszy, aby to już nareszcie był czekany Wódz narodu, bo szlachetniejszego, bo czystszego nam nie znaleźć chyba!...

Od pierwszych młodości lat, Zygmunt Sierakowski cierpiał był prześladowanie za ojczyznę.

W 1849-ym, przez tajny związek młodzieży, planujący wybuch w porozumieniu z węgierskiem powstaniem, wysłany na Węgry do jenerała Dembińskiego, który tam tęgo grzmocił Austrjaków wraz i Moskali — na granicy aresztowany został i na bezterminową karę zesłany w sołdaty.

Karne roty za Mikołaja... komu tam sądzono, temu się lepiej było nie narodzić!!! Przetrwał jednak, przecierpiał wszystko. Jak złoto w ogniu!... jak żelazo na kowadle!... Doczekał się śmierci cara i złagodzenia przepisów dla »politycznych«.

A że nieprzyjaciel nawet uszanować musiał Sierakowskiego, tak dla zdolności niezwykłych jak i duszy nieskazitelnej, za poparciem życzliwych mu przełożonych został oficerem, i pierwszy w Rosji wypadek! on, były skazaniec, do wojskowej akademji w Petersburgu wysłany.

Przyświecała mu w dzień i w noc, jak gwiazda niegasnąca, myśl o przyszłej walce za Polskę, i że Polsce na tę chwilę zdolnych i wykształconych oficerów potrzeba: w wojskowych tedy studjach utopił całą duszę. A jako giąć nie umiał karku przed nikim i przed niczem, mimo sprzeciwu całej falangi generałów, nie rozumiejących armji bez bata, wystosował raz memorjał do cara za zniesieniem kary cielesnej we wojsku — czem zwrócił uwagę Aleksandra na siebie, tedy i drzwi przed nim już szeroko do najświetniejszej karjery otwarte...

On ale o innej marzył, aż się wypełniło!

Podpułkownikiem był już jeneralnego sztabu, i świeżo poślubił dawno ukochaną pannę Dalewską, siostrę dwóch wiernych swych niegdyś przyjaciół-spiskowców i później towarzyszów niedoli w karnej rocie — kiedy przyszedł rok 63-ci, i Sierakowski rzucił wszystko!!!

Z dnia na dzień urlop wziął, żonę w ciąży będącą odwiózł rodzinie do Wilna i pożegnał, a sam poszedł w żmudzkie lasy...

Całą Żmudź poruszyć, uzbroić, postawić w gotowości z bronią u nogi, zadanie nieomal takie, jak z piasku bicz ukręcić!

Nie zląkł się trudności, nie opuścił rąk.

Z końcem marca, Dołęgi oddział, o ile być mogło, sprawny i wyćwiczony, wyruszył w ogień pierwszy raz, pod Rogowem, w poniewieżskich lasach sadła za skórę zalał Moskalom.

Z oddziału już, z boru, napisał Sierakowski do rosyjskiego ministra wojny:

»Wobec tego, co w Polsce, mej Ojczyźnie, uważam się za zwolnionego od przysięgi i służby oficera«.

Tak zawsze, i wobec wrogów, prostą, najprościejszą tylko drogą...

Prawy ten rycerz bez zmazy i trwogi!

O! jak bez trwogi, Jeżewski widział na własne żywe oczy, pod Rogowem, Ginetynem, Korsakiszkami!

Szczególnie raz jeden miał go najżywiej w pamięci, kiedy to piechotą, z pistoletem w jednem ręku, z szablą w drugiem, Dołęga poprowadził do ataku swoich kosynierów, prażącym ogniem Moskali zmieszanych na chwilę.

Wszyscy byliby, jak ci wtedy, w piekło poszli za tym wodzem, któren był dla nich jak ojciec, dzielił wszystkie biedy, z żołnierskiego kotła jadał, pospołu sypiał na gołej ziemi w deszcz i chłód!

Nadto pobłażliwy, szeptano, zbyt łagodny, żeś zgoła nie słyszał, by kogo ukarał!... A miał przecie w swym oddziale ład i posłuch niezwyczajny!

Dziwnym był urok tego człowieka: prost jakieś w nim kapłaństwo i świętość!

Nie tak podobne jego wojsko partyzantce hałaśliwej, zawsze nieco rozhukanej, ile raczej krucjacie, idącej zdobyć świętość lub śmierć! W Dołęgi oddziale rankiem i wieczorem pacierz się żołnierski rozlegał, głośno odmawiany — o wschodzie słońca i zachodzie, gdy pnie sosen od blasków purpurowe, szemrał pod drzewami Andronickiej puszczy, gdzie główny obóz powstańców.

Rósł oddział, aż serce rosło! Gdy w Kongresówce chłop rdzennie polski nie kwapił się do powstania, i jednostki tylko szły, wyjątki! — tutaj, na Żmudzi, gdzie po polsku lud nie rozumiał, i tyle wiedział. co od swych księży i od swoich ojców starych, o tej Polsce, co wielka była i sławna, nim się minęła! szedł przecież tłumnie do Dołęgi, któren wymową ich swoją zapalał, wyciągał ręce jak do braci i wołał: Za wolność naszą i waszą! Polska z Litwą, to jak dwie ręce, jak prawica i lewica, jedna bez drugiej kaleka!!

Na 2700 ludzi jego oddziału, przeważną liczbę stanowili milczący, zacięci, w ciemne kapoty jednostajnie odziani, ze szkaplerzami na piersi, a mocni i twardzi jako te dęby ich puszcz, żmudzcy chłopi — jakby na stwierdzenie triumfalne, że Moskalowi Litwy od Polski nie odedrzeć, po wiek nie odedrzeć!

»Pan żmudzki wojewoda«, jak go zwali naiwnie, wpatrzeni jak w obraz święty, zapanował niepodzielnie nad sercami puszczańskiego ludu, i wiódł go gdzie chciał: ku wolności, ku Macierzy!

W zorzę li, albo śmierć??? Bóg to jeden wiedział!!!

Zapłonęło jasno nad krajem Sierakowskiego imię, jak przed dwoma miesiącami na przeciwnym Polski krańcu, imię Langiewicza.

Nowa znów gwiazda na polskiem niebie, smugę złotą znacząca... kędyż leci? kędyż leci? Czy znów gwiazda spadająca?...

Piękne były, uroczyste, wiosenne te dnie, gdy się z Dołęgą przez zaścianki, przez wsie puszczańskie szło, między jedną bitwą zwycięską a drugą...

Gdy w parafji na witanie bił kościelny dzwon, i ksiądz z krzyżem, z procesją wychodził witać, witał szlachcic ze dworu i chłop z chaty — a wódz idący na czele przyklękał przed krzyżem z żołnierzami swymi, błogosławieństwo wziąć od księdza!...

Wszystkich serc błogosławieństwa na jego głowę, jak pod nogi te kwiaty, rzucane przez dziewczęta... jak te kwiaty!

Nigdy przecież, nawet i w tych chwilach szczęsnych uniesień, nie pamiętał Jeżewski radości, triumfu na twarzy wodza, tylko wiecznie tę samą, tragiczną jakąś zadumę. Jakby wiecznie w to wsłuchany, czego nikt nie słyszał jeszcze, w zbliżające się kroki nieszczęścia...

Było w smukłej, wyniosłej jego postaci i w pociągłej, zamyślonej twarzy pod falistym blond włosem, było w oczach gdzieś z głębi patrzących coś smutnego niewymownie, niby zapowiedź niedoli...

I patrząc na niego, nieraz miał Jeżewski głuche jakieś w sercu poczucie i przed przyszłością strach: że to człowiek przeznaczony nie do zwycięstwa, ale na męczeństwo.

Bo inaczej, inaczej, patrzeć muszą tego oczy, kogo Bóg Zwycięzcą naznaczył!...

. . . . . .

W tym czasie, gdy powstanie u zenitu, gdy z Dołęgą złączone partje Kołyszki, Laskowskiego, księdza Mackiewicza, dzielnego proboszcza z Krakinowa, co parafjan uzbroił i poszedł na czele — gdy Dołęga przed sobą miótł Moskali, że się zdało, wnet z całej Żmudzi ich wymiecie! — przybył do Wilna przysłany przez cara, by ratował dla cara Północno Zachodni Kraj, generał-gubernator z nieograniczoną władzą, Michał Mikołajewicz Murawiew.

I rozpoczął się jak gdyby śmiertelny tych dwóch ludzi pojedynek: Zygmunta Sierakowskiego z Michałem Mikołajewiczem Murawiewem.

Niby Rosji krwawej, katowskiej, z Polską rycerską i męczeńską!...

Niby przeciw sobie jasny Polski duch i czarny Aryman moskiewski!

Niby z piekieł Bestja i święty rycerz Jerzy!

...Raz na sto lat, wierzy lud prosty, piekło wypuszcza na ziemię Zwierza; a Bóg dopuszcza, ku grzechów ludzkich pokaraniu, jak dopuszcza pożar, głód i mór...

Tak tej wiosny 63-go, na Litwę nieszczęsną, Murawiewa!...

Bogata już przeszłość poza nim, o bogata! Nie pierwszyzna mu dziś!...

Za młodych lat, do spisku dekabrystów należał i towaszyszy zdradził; Pestel, Rylejew, imiennik Murawiew-Apostoł, poszli na szubienicę — on na gubernatorstwo w Grodnie!

A gdy go pytano, czy on tamtego, powieszonego nieszczęśnika krewny, tak odpowiadał:

»Ja nie z tych Murawiewych, co się ich wiesza, ale z tych, co wieszają!«.

Już w 31-ym, znęcaniem się nad polskimi powstańcami zarobił sobie na przydomek »Wieszatiela«.

Kwitnął tedy, władał i łupił w Grodnie, aż póki większe jakieś od tych codziennych, potocznych, złodziejstwo, tym razem już jak na Rosją nawet niezwyczajne, nóg mu nie podcięło.

Wypłynął jednak. Tacy w Rosji zawsze wypłyną! I dziś, gdy trzeba było na Litwę kata, nie znalazł Aleksander odpowiedniejszego nad Murawiewa.

Już jadąc na wyznaczone stanowisko, w Dźwińsku, mimochodem, po drodze, powiesić kazał Platera, więzionego za napad na rosyjski transport broni — potem, w Wilnie, przyjmując deputację obywatelstwa i duchowieństwa, mowę powitalną rozpoczął od słów: »Pany, ksiendzy, adwokaty i proczije podlecy!...« i zapowiedział w niej zniszczenie, wydarcie z korzeniem wszystkiego co polskie.

Jeśli poprzednika jego, Nazimowa, nazywali ludzie wilkiem, to teraz, w porównaniu z Murawiewem, we wspomnieniu w baranka im się przemienił!

Jeśli tamten i pies był, mówili, to ten już chyba arcypies!!!

Obietnicy uczynionej w programowej onej mowie dotrzymał święcie: z miejsca zaraz jął gorliwie naprawiać zaniedbania i »błędy« poprzednika!

Księdza Iszorę, skazanego na dziesięć lat więzienia za odczytanie z ambony powstańczego manifestu, kazał wyciągnąć z więzienia i rozstrzelać; w dwa dni później, i drugiego księdza Ziemackiego, 70-cioletniego starca, że również wzywał parafian do powstania. Księżnie Puzyninie, matronie powszechnie czczonej, gdy przyszła go prosić o złagodzenie kary dla krewnego Białozora, na którego Nazimow jeszcze wydał wyrok do sybirskich kopalni, brutalnie zarżał śmiechem w oczy i podziękował, że mu więźnia »przypomniała«. Nazajutrz o świcie, powieszono Białozora.

Na Wilno, na Litwę, padł postrach śmierci.

Stryczkiem oprawcy i głownią podpalacza »usmirjał miatież« Murawiew...

Gdzie na polach szlachcica czy w lesie potyczka się odbyła, natychmiast majątek szedł na konfiskatę, a właściciel do więzienia czy w najlepszym razie z rodziną na bruk. Wyrzucono tak z majątków pięćset z górą rodzin; po starych polskich dworach, pełnych pamiątek, rozsiadali się czynownicy i oficerowie-Moskale.

Gdzie we wsi, w zaścianku, przyjęto gościnnie powstańców, tam »dla przykładu«, bez pardonu wieś z dymem, do ostatniej chaty! a mieszkańcy, paszoł, na Sybir!

Wysiedlono w ten sposób kilkanaście zaścianków szlacheckich na Litwie.

Co chłopów, to, prócz tych, którzy w ruchu bezpośredni udział brali, Murawiew głaskać próbował łapą krwawą... Wzywał do siebie gromadnie, za obrońcę ich się podawał, olśniewał potęgą batiuszki-cara: to znów teroryzował straszną na nieposłusznych karą, zobowiązywał do wydawania powstańców, do chwytania po drogach... za wierną służbę rublami podzwaniał w nagrodę... Truł dusze, truł!!!...

I nie tylko na tych ciemnych, maluczkich, działał strach-trucizna!

Od szlachty litewskiej, od najpierwszych obywateli, adres do cara wymusił wiernopoddańczy, wypierający się łączności z powstaniem.

Marszałek wileński Domejko, ku hańbie starego zacnego imienia, w kabłąk giął się przed Wieszatielem, posłusznem był jego narzędziem. Jeleński trocki marszałek, Kowerski, Paszkowski, Konoplański, że się oparli, podpisu odmówili, na posielenie poszli — za co im cześć, a wstyd tym wieczny, co się ulękli Zwierza!

Więzienia były przepełnione; klasztory przerabiano na więzienia. Z inteligencji wileńskiej, z mieszczaństwa, co śmielsze, co wybitniejsze, siedziało pod kluczem. Również młodzież szkolna, którą Murawiew ze szczególną pasją prześladował; aresztowano aż do chłopców czternastoletnich! Miejsc już brakło! Opróżniała je tylko szubienica, lub transport na Sybir!

Nie oszczędzał Murawiew i kobiet: szły kobiety i do katorgi — a noszące żałobę po ojcach, mężach i synach rozstrzelanych, powieszonych, podlegały najbrutalniejszym napaściom; na ulicy, sołdaty zwydrzone, pijane, zdzierały z nich żałobę na skutek ukazu Wieszatiela.

Gdy w lidzkiem Ludwik Narbutt, co miał poza sobą otrzymanych jeszcze jako student trzysta pałek i dwanaście lat żołnierki na Kaukazie, a teraz od dwóch miesięcy na Moskalach odwet brał krwawy, przewijał się jak zwinny ryś z oddziałem po borach, moczarzyskach, — gdy nakoniec padł w bitwie partyzant waleczny i uszedł zemsty Murawiewa, co za jego ujęcie nagrodę był wyznaczył: wygrzebać jego zwłoki kazał Wieszatiel z mogiły w boru i spalić, a popioły rozrzucić na wiatr po lesie.

Nic, nic już zgoła człowieczego w Murawiewie!

Może on i nie człowiek, że jego i zgładzić nie można?? pytali ludzie zrozpaczeni. Była przecież próba jedna, druga, i nic, i nic, i nic!... Wciąż ten żyje, wciąż dycha, wiesza wciąż!!!

W gubernatorskim wileńskim pałacu, w którym przed pół wiekiem Napoleon gościł, idący na Moskwę w słońcu sławy — dziś ten schowany przeklęty, za murami, bagnetami, na miasto strach go wyjrzeć, bo w każdych oczach śmierć swoją czyta — on, kat, odważny tylko na śmierć i mękę cudzą!

Ukryty siedzi; bezpieczne od kul, od sztyletów, krępe, rozrosłe, syte i napite jego cielsko; prosto z bark kwadratowych, prawie bez szyi, potworny łeb wyrasta, o zarośniętem nisko czole, spłaszczonym nosie kałmuka i brutalnej, zwierzę-

cej szczęce. Przy biurku siedzi i wyroki pisze. Rzekłbyś, atramentem: a pisze żywą, czerwoną ludzką krwią! Zakończywszy z lubością, starannością, misternym wielce zakrętasem, piaskiem pismo posypuje: to przywala ziemią czyjś grób jutrzejszy!

...W europejskich czasopismach w owym czasie karykaturę rysowano Murawiewa, jako żywy pomnik, na piedestale z trupich czaszek stoi, podparty pod boki pięściami, triumfem rozdęty. Coś niby w guście Dżyngishana, Tamerlana... nie! to zaszczytu zbyt wiele! Nie było w nim nic z tyrana-władcy: był tylko krwawy i okrutny zbir!

W Rosji nawet, wszystko co uczciwe i szlachetne, w pogardzie, w nienawiści miało Wieszatiela. Gdy na balu w Carskiem Siole hrabina Błudowa, carowej freilina, fanatyczka caro- i prawosławia zbierała składkę na honorowy dar, złotą szablę dla Murawiewa, za »uratowanie Litwy« — jenerał Szuwałow w obecności Aleksandra datku jej odmówił, dodając głosem podniesionym, by słyszał cały bal: »Kiedy zbierać będziecie na topór dla Murawiewa, wówczas służę wam, comtesse, całym moim majątkiem!«.

Skoro w 66-ym, o trzy lata dla Polski zapóźno, niestety! szlag trafił Wieszatiela w chwili właśnie gdy podpisywał wyrok śmierci na jakiegoś nieszczęśnika nihilistę — pewien petersburski redaktor niepewnej prawomyślności, w dzienniku swoim nazwał śmierć tę symboliczną dla tego męża z jednej bryły... że cenzura nie mogła wymiarkować, czy pisze serjo czy kpi, na wszelki wypadek zastosowano środek zaradczy i redaktora na pięć lat zesłano do Archangielska.

Przez długie, długie jeszcze bardzo po powstaniu lata, niańki na Litwie tak straszyć miały dzieci pod noc, gdy swawoliły i spać nie chciały:

»Poczekaj, wezmie cię Murawiew!!!...«.

. . . . . .

Tymczasem codziennie Wieszatiel, budząc się z rana, powtarzał sobie, jak pacierz djabelski:

»Póki Sierakowski ten żyw, i szabla u niego, potąd niepełne moje nad Północno Zachodnim Krajem panowanie!«.

Tedy postanawiał każdego dnia na nowo: zniszczyć i zgładzić przedewszystkiem Sierakowskiego, ten żywy symbol polskiego buntu na Litwie!

VII.

W majowy dziś dzień, w pięćdziesiąt lat po powstaniu, pan Jeżewski, gdy z Zamkowej Góry patrzył na Wilno w dole, na Wiliją naszych strumieni rodzicę, jak się z krętą Wilejką zlewa i w świat odpływa, nito szeroki, srebrzysty słucki pas, rozwiązany wśród ciemnego aksamitu leśnych wzgórz — rozmyślał o tym umarłym Maju, kiedyto młody był i walka była o Polskę, kiedy birżańska klęska, triumf Bestji a Sierakowskiemu koniec...

Tosamo niebo nad głową co wtedy patrzyło na klęskę, i wnet, na szubienicę wzniesioną... tasama ziemia i wody, Wiliji lity pas...

A świat taki inny, odmieniony do szczętu!

Już z tych ludzi ani kosteczki, którzy wtedy pod Birżami! Kto ich wspomina? kto pamięta? Nowy świat, młody świat! Do słońca ci się śmieją, jak i my w swoim czasie, po prochach depcą, ani wiedzą!...

Na ustach pana Jeżewskiego gorzki, gorzki uśmiech i stare serce żałosnem wspomnieniem wezbrane.

Czy umarli powracają? Bo blisko dzisiaj, blisko, jak nigdy, się zdaje, ten kiedyś tak wielbiony, miłowany wódz... i brat zabity, i szwagier zabity...

Nie, to nie było na marne! nie mogło być!! Chybaby Boga nie było na niebie! A Bóg jest: i sprawiedliwy!!!

Oczy starego z wiarą, z ufnością bez miary zawisły na jasnym nad Wilnem błękicie.

...Dziś pięćdziesiąta właśnie rocznica... może dla tego człowieka tak rozebrało?... Pogodna była, pamiętam, wiosna; słoneczna, jak ta dzisiejsza...

Staliśmy pod Birżami w lesie. Hej, jaki las! jaki las! utopić się w nim, jak w morzu! dzień cały, noc całą, iść i iść,

nic nie ujrzysz, jeno bór a bór... takich bo puszcz to już chyba teraz niema! Albo może mnie tylko tak się wydaje, że wszystko teraz lichsze, że nawet już słońce tak jasno nie świeci! Ciężka starość człeku!...

Przed siebie szepce, starców obyczajem, jakby komuś rozpowiadał, choć sam, zupełnie sam w młodozielonej gęstwie gaju na Zamkowej Górze, jak i sam na świecie, i słuchacza starych wspomnień nie ma.

»Do Kurlandji był marsz... Szerokie plany miał nasz naczelnik, na wielką miarę... Wśród chłopów łotewskich powstanie rozniecić, którzy od swoich kurlandzkich baronów, tych Niemców szczepionych na Moskalu, znosili czysty krzyż Pański! Gdyby się udało, i Kurlandja powstała, droga z Petersburga do Wilna na amen byłaby zamknięta, żadenby transport nie doszedł, wojska, ani broni, a wtedy: dobra nasza!! Ale nie było sądzone...

Nad głową starego w marzeniu birżańska puszcza się zwarła, milcząca, wonna żywicą, i czarna, jak wtedy w tę noc czarną. Ani jednej gwiazdy na niebie! dołem tylko puszczy, jakby różaniec rozsypanych gwiazd krwawych: powstańców ognie na polanie.

...Przy jednem ognisku my we trzech: z bratem Piotrem, szwagrem Jankiem. Radość była okrutna, że my się dziś spotkali, tak wcale niespodzianie: z rozbitego oddziału Narbutta, już po śmierci Narbutta, do naszego Dołęgi oni się dobili, dowędrowali przez bory lasy!

Nikogom ze swoich od trzech miesięcy nie widział, o nikim nie wiedział; to też ledwośmy się z bratem i szwagrem w uściskach nie podusili na śmierć!!!

Przy ognisku w tę noc, Janek Turowicz tak mi powiada: »Wiesz ale co z Pawłem, francuskim tym pieskiem? Słyszę, do Paryża, czy gdzieś tam, gdzie pieprz rośnie, z misją jakąś go wyprawił Rząd Narodowy! Jemu w to graj, gagatkowi! W Paryżu to przynajmniej nie strzelają do człowieka, nie zmarznie on i nie zmoknie!«.

Więc ja za brata, pamiętam, zawstydziłem się trochę, bo gdzież to dla młodego taka jakaś misja, dyplomatyczna, czy tam inny djabeł, wtedy kiedy walka na życie i śmierć?

A Piotr, że to był chłopak prost ze sercem gołębiem, i nigdy na nikogo nie dał rzec złego słowa, cóż dopiero na brata, zaczął natychmiast dowodzić gorąco, że każden służy Polsce jak może, jak umie, że może Paweł, taki ukształcony (zawsze był dumny z niego i nic a nic nie zazdrosny, chłopaczysko to złote!) więcej tam ojczyźnie usłuży, jak bijąc się, moknąć i marznąc w oddziale.

»Na to bo nauki nie trzeba! To i ja potrafię!!«.

Ale szwagier, jako zawsze lubił mieć racją, nie dał się zbić z tropu.

»Każ ty się wypchać, Piotrusiu! Już mnie ta twoja skromność zaczyna bokiem wyłazić!! Słuchajno, co powiem, i tylko ślepo wierz: od tego tam machania ozorem i piórem zagranicą jest przecie dość starych pryków — a jak o to idzie, i mądrzejszych od twego Pawła!! Nas zaś młodych, zdrowych, miejsce tu, gdzie drwa rąbią, trzaski lecą, nie gdzieindziej, do trzystu djabłów!!!«.

Palnął Janek pięścią w zwalony pień, na którym obok mnie siedział. Okrutnie był podniecony tego wieczora!!

Ażem się dziwił, przyznam... Tom wiedział, że zostawił Jadwisię, jakoś teraz właśnie, wiosną, spodziewającą się znowu dziecka, że przecież i dwuletniego już synka w domu zostawił. A tu, tak się mogło zdawać, ani się zatroskał: bezustanku śmiał się tylko, jakby tęgo sobie podchmielił, gadał i gadał, co mu ślina na język przyniosła. Fantazję on zresztą zawsze miał morową, i z fantazją też zginął, na drugi dzień!...

Powiadają jedni: przed śmiercią żołnierz zawczasu śmierć czuje, i chodzi smutny okrutnie... Powiadają drudzy: przed śmiercią na wojnie tak bywa, że jakby giez ugryzł człeka: że wesół, jak nigdy, na miejscu usiedzieć nie może a dufny, iż dożyje stu lat...

Tak oni obaj dzisiaj, Piotr i Janek... Piotr dziwnie dzisiaj był cichy, uroczysty, jak po przyjęciu świętego Sakramentu; gdy szwagier naraz zerwał się z miejsca i odszedł do kolegów, istotnie niezdolen usiedzieć — on długo ze mną mówił o rodzicach, o Kleckiej Woli, w którą włożył tyle pracy, od najmłodszych swoich lat.

»Słuchaj (tak mi mówił) jak ci się zdaje? czym ja choć naprawdę był ojcu wyręką, pomocą? bo chciałbym to dziś

napewno wiedzieć! Ot, miło by mi było wiedzieć, że choć coś, po człowieku... Wiesz, ja tę naszą Klecką Wolę tak kochałem, że, nie śmiej się ze mnie, ale zupełnie jakby jakąś bliską osobę...

Tak mówił o sobie, jakby go już nie było: byłem, kochałem... Aż mnie dreszcz przeszedł!...

Przygasły ogniska, pokładliśmy się spać. Kto na polanie, kto w boru u skraju, pod drzewami, które, pamiętam, zdawały się całkiem jak jakieś z hebanu kolumny olbrzymiego kościoła, i koronami gubiły się w ciemnościach... Piotr klęczał długo jeszcze przed swojem legowiskiem, i modlił się, jakom widział, późno w noc.

Janek również późno w noc się kręcił, pogwizdywał, pośpiewywał powstańskie piosenki...

A nad obydwoma już była śmierć.

Janek jutro miał zginąć, Piotr pojutrze.....

Z nas trzech, co w tę dziwną, głuchą noc przy ognisku w puszczy, ja tylko jeden miałem zostać żywy...

...Djabelniem źle spał, pomnę, onej nocy! Właściwie, tom nie spał wcale, choć się przeróżne rzeczy roiły, żem sam nie wiedział, co jawa, co sen.

O jakiejś tam godzinie, jeszcze ciemności wtedy były sielne, tylko na polanie skądś naraz nanowo wystrzelił płomień wysoko — ujrzałem, że po polanie ktoś ch
od prawego skraju lasu dojdzie po lewy, znów się wróci... I poznałem, że to naczelnik nasz, Dołęga.

Wysoka, zlekka pochylona jego postać, w brunatnej,, sznurami szamerowanej kurtce, w bobrowej czapce-batorówce, przesuwała mi się tak przed oczami w tych drgających krwawych blaskach. Wydawał mi się głęboko zamyślony, głowę trzymał spuszczoną, jakby czegoś po ziemi szukał...

Mnie wtedy, w tym pół śnie, pół jawie, przyszło nagle na myśl, nito w pięć, ni w dziewięć: szuka tak po ziemi miejsca na swój grób.

Jezus, Marja! Aż mnie poderwało!! Święci Anieli, brońcie od nieszczęścia!!

Nie umiałbym, naprawdę, wytłumaczyć, ale było coś tak smutnego okrutnie i jakby złowróżbnego w tej milczącej, nie-

strudzonej wędrówce wodza, tam i sam, tam i sam, po śpiącym, nocnym obozie...

Przecknąłem się jeszcze raz, kiedy to już nie noc była, ale i nie był dzień. Szaro, szaro, popielato... aż, djabli wiedzą skąd, przypomniała mi się naraz, za dzieciństwa jeszcze, z naszą Mlle Sophie Führer, z tygodniczka »Lectures illustrées« odczytywana bajka o wyspie bez słońca, gdzie także nigdy nie było nocy ani dnia, ale zawsze jednaki zmrok szary, i ludzie tam chodzili wiecznie smutni... »Anhélia, l'île sans soleil«; patrzcie, nawet tytuł sobie przypomniałem!

Puszcza oto stopami tonęła we mgle, cała nasza polana, jak jakieś jezioro, jak biały, siwy staw, co w nim nasz obóz zatopiony. Pod dębem, na środku, o tej popielatej przedrannej godzinie, ujrzałem, starszyzna odbywała naradę. Może wieści jakie przyszły?...

Nasz naczelnik, — Kołyszko, naczelnika prawa ręka, choć młodzik, student uniwersytetu, ale żołnierz urodzony! — Wiwulski, instruktor nasz dzielny, co po litewsku mówił jak po polsku i w dwa tygodnie na wojsko przerobił tych ociężałych, ale wytrzymałych, jak nikt, Żmudzinów, — Laskowski, Żarski, Antonowicz, dowódcy szwadronów — i w sutannie zrudziałej od deszczów, pasem przepasanej, za którym pistolety i ogromny różaniec, ksiądz Mackiewicz o długiej, ciemnej brodzie, groźnem wejrzeniu, wyschniętej na kość, ascetycznej twarzy.

Widziałem ich wszystkich od ramion tylko w górę, bo niżej opar leżał; tylko niby jakieś popiersia w powietrzu wiszące czy zjawy, co wyszły ze mgły.

Narada duchów — przez głowę mi przemknęło — może oni wszyscy wnet już duchy?...

Rozwidniało; słońce zeszło i mgły się gdzieś podziały, a z nimi wszystkie, jakem je nazywał, głupie przeczucia.

Wypadliśmy z boru o południu, i pod Medejkami, jenerałowi Ganeckiemu, co szedł na nas obławą, zerżnęliśmy skórę, jak Pan Bóg przykazał!

Uciekał, aż się kurzyło, ten Gałganeckij (tak go przezwał szwagier Janek, co mu zawsze koncepta w głowie!) — ale właśnie biedny Janek zwycięskiej tej potyczki padł ofiarą!! Kula w serce, i koniec... że ani nie westchnął, nie krzyknął!

Zdmuchnęło go, jak świecę, kiedyśmy do ataku lecieli, a on przed innymi — naprzód się swoim zwyczajem wysforował, na całe gardło śpiewający:

»Hej kto Polak na bagnety!
»Żyj swobodo, Polsko żyj!«

Śpiewający zginął. Ani nie wiedział!...

Życie całe dał mu Pan Bóg bez frasunku, bo wszystko on zawsze brał wesoło, żeby się i niewiedzieć co działo! i śmierć też niefrasobliwą.

Pamiętam, taka wtedy pierwsza była moja myśl: Zlituj się Boże, daj teraz mojej siostrze umrzeć w połogu, zanim się dowie!

Wiedziałem, że kochała męża nad życie; że parę lat przed ślubem była w nim zakochana, zanim on jeszcze i pomyślał o niej!

Więc teraz, byłbym wolał, ja brat, żeby umarła, niźliby jej ten nóż w serce...

Cobym ja robił?... jakbym ja żył, gdybym tak, broń Panie Boże, stracił moją Maryjkę?

...Dziś wprawdzie, poradziliśmy jeszcze sobie z tym Ganeckim, i niezgorzej, ale zato jutro: padam do nóg!!

Kurlandzkie barony, żeby z piekła szelmy nie wyjrzały! przyprowadziły siedmiuset »strelców« tamtemu w pomoc, utworzonych z uzbrajanej po dworach na łeb na szyję służby. Przynieśli djabli jeszcze dwie roty finlandzkich jegrów, jeszcze sotnię kozaków: i teraz mieliśmy już dwóch przeciw jednemu!

Pod wsią Gudziszkami runęli na Kołyszkę rankiem, na prawe skrzydło nasze z całym impetem! Myśmy z samym Dołęgą wtedy w puszczy stali, o parę wiorst, a ksiądz Mackiewicz w boru najdalej, stanowiący skrzydło lewe.

Jak Dołęga posłyszał strzały, w ten moment na koń! siadać! na odsiecz!! — i tęgim marszem, że takiego w życiu nie pomnę, ruszyliśmy w pomoc.

Bór nie bór, bagno nie bagno, lecieliśmy jak opętani!

Oparty o gęstwę, o las, poprzez czarny błotny strumień leśny, Kołyszko Moskalom bronił się jak lew.

Naprzeciw moskiewskim tyraljerom wzdłuż strumienia, duchem rozrzucił nas Dołęga w tyraljery.

Matko Boska! toż to była pukanina! O jakie dziesięć kroków, jak do kaczek!

Ale i my dla nich, niby te kaczki!... Walił się gęsto na ziemię jeden z drugim... Sądny dzień!!

Masz djable kubrak!! Moskale przez wodę do ataku na bagnety!! Rozgorzała walka dosłownie pierś o pierś! Trzy razy, cztery razy my ich poza strumień z powrotem; trzy, cztery razy zdobywana i odbierana każda piędź leśnej łąki.

Antonowicz i Żarski zabici. Padł Wiwulski ciężko ranny, po obronie zaciekłej, że nie wypowiedzieć! i w ręce się dostał Moskalom.

Jeden u nas krzyk!!! Bo to lepiej śmierć sto razy!! Bo to w łapy Murawiewa!! Rzuciliśmy się go odbijać: na nic! już go przysiadły te kruki, uniosły!!

Żegnaj nam towarzyszu, mężny nad mężnymi! Dziś tobie, jutro nam — może i nie jutro, a dziś, za chwilę!...

Czekał wódz, czekaliśmy wszyscy, jak zbawienia nadejścia lewego skrzydła, księdza Mackiewicza.

A ksiądz Mackiewicz nie nadchodził.

Dowiedzieliśmy się później, dlaczego... ale wtedy, kiedy już było zapóźno, po wszystkiemu...

Przedzierającemu się do nas zastąpili w lasach drogę kurlandzcy strzelcy, lokajskie to wojsko przeklętych baronów!... i długo, długo, borykać się z nimi musiał waleczny nasz ksiądz, nim się przerąbał, ntm się wreszcie przebił do nas...

...Wyczerpywał się tymczasem nasz opór; już nie dwóch, trzech na jednego, tylu naszych padło, albo rannych!...

Co się przecie spojrzy człek na Dołęgę zdala, i widzi go na siwym koniu, kiedy niby posąg jaki, taki marmurowy, spokojny, w najgęstszym ogniu rozkazy wydaje — z podniesioną głową w tym gradzie kul!... — wtedy jeszcze serce w człeku nie upada, i tak w duszy coś woła: pod tym żyć i umierać!!!

Leci kozak na mnie, czysty niedźwiedź! O, ale i ja nie ułomek, a na łokcie ludzi nie mierzą!!

On tak, to ja owak! On do mnie tędy, ja go zajadę tamtędy! On szach, to ja mach! Ciach! ciach!!!

Zerwał się z ławki stary i laską, bez której już nie zrobił kroku, jął energicznie w powietrzu szermować, rąbać na potęgę,

kłuć i siec niewidocznego wroga. Ujrzałby go kto w tej chwili, w ten cichy błękitny dzień na cichej Zamkowej Górze, kiedy wojna o sto mil i o pięćdziesiąt lat wstecz, pomyślałby: zwarjował stary, nic innego!

...Chryste Panie! W ślepiach mi jasne świeczki!! Kolbą mnie ten pies po łbie!! Wznak się walę, a czuję, że na mnie jakiś ciężar, jakby ktoś na pierś się walił...

Obok mnie walczył Piotr, mój brat... tom widział jeszcze, nim ten mnie zdzielił...

Przecknąłem się, gdy mnie koledzy wyciągali z pod trupa...

Jezus Marja!! trup brata!!!

Leżał krwawy cały, bagnetami skłuty, że prawie miejsce w miejsce... usta jak do krzyku otwarte...

Mówili koledzy: kiedym padł, i dobić chcieli, pięciu kozaków, jak pięciu kruków, — on rzucił się na mnie i nakrył swojem ciałem, i tak go, na moich piersiach!...

A mnie nic!... łeb tylko miałem rozbity, że ciurkiem krew ciekła.

Oj! chłopcze! chłopcze!... któż to widział tak?... Piotrze!! bracie!!

Całeś ty życie twoje zawsze tylko na rodziny, na wszystkich świętych wysługi... i teraz śmierć ty nawet wziąłeś na siebie za mnie!...

Takim był ogłupiały w pierwszej chwili, żem bólu nawet nie czuł...

Wiedziałem, co się stało, alem był, jak to drewno...

Dosłownie, jak kiedy kogo pałką po łbie...

Łeb to mi chodził w prawo, w lewo, jak na kiju, alem się dźwignął na rękach, usiadłem i patrzyłem na bitwę.

Źle z nami, źle! Widzę, początek to końca!

Moskali skądś coraz więcej, a my topniejemy, jak ten lód od żaru!

Ksiądz Mackiewicz, widzę... tam, nad strumieniem, gdzie najzażartszy bój: nie strzela, nie rąbie pałaszem, jeno z twarzą groźną jak proroka, krzyż nad swoimi wznosi wysoko — na śmierć ich wiedzie i krzyżem błogosławi na śmierć... padają wokoło te w ciemnych kapotach żmudzkie chłopy, ścielą się pokotem...

A więc przyszedł nareszcie ksiądz Mackiewicz?... — rozmyślam wcale idjotycznie, bo skoro nań patrzę, to widocznie, że przyszedł!...

Rychło wczas! teraz to już akuratnie musztarda po obiedzie! — w dalszym ciągu myślę.

Tak mi jeszcze od tej kolby głupio w głowie...

Szukam, szukam oczami siwego konia na polanie... Gdzie on? gdzie siwy koń??

Rannego obok mnie powstańca, któremu z buta krew chlupie, ze strachem pytam, aż mnie mróz trzęsie:

»Gdzie naczelnik, na miłość Boską?«

Kolega, ściąganiem buta całkiem pochłonięty, wskazuje gdzieś przed siebie:

»Ot tam, pod drzewem... kulę dostał w krzyż, kazał się posadzić pod drzewem, i tak dalej bitwą dowodzi, z placu nie chce zejść!«.

Powlokłem się, gdzie ten wskazywał. Z początku pomaleńku, bo mi się w głowie kręciło jak w młynie — później już coraz raźniej.

...Jak mi Bóg miły, niby te po naszych kościołach męczenników wizerunki!! Niby ten święty Sebastjan przywiązany do słupa!!...

Stałem i patrzyłem w Sierakowskiego twarz męczeńską.

Blada, trupia prawie, ani kropli w niej krwi, szalonym wysiłkiem ściągnięta, nadludzkim wysiłkiem, by zwyciężyć ból i śmierć. Głos przecie mocny jeszcze i doniosły dobywa, a ręka wciąż przed siebie wskazuje, kieruje — losami bitwy kieruje ta ręka już pół-trupa.

Wkoło wodza trawa czerwona od krwi...

Przy nim Kołyszko szablą w głowę cięty, Kossakowski z przestrzelonem ramieniem i ja trzeci — próżno go błagamy:

»Naczelniku! Naczelniku! każ się wynieść z pola bitwy, opatrzyć ciężką ranę!«.

Sierakowski głową tylko przecząco porusza.

»Nie! nie! muszę aż do końca!...«

Chwilami oczy przymyka, i głowa ciężko o pień się wspiera, jak gdyby omdlewał.

Ale wnet znów się podźwignie wytężeniem woli żelaznem, z manierki dla skrzepienia napije lub omyje czoło; widać

jak zaciska konwulsyjnie dłonie, aż paznokcie wbijają się w ciało...

»Muszę, muszę być przytomny... nie wolno mi przytomności stracić, póki nie koniec jeszcze!«.

Tak!... tak jak mi oddawna zmorą chodziło po głowie: nie na zwycięzcę ten, lecz na męczennika!

Ale tam, o Boże, na łące, na polach pod lasem, już był rzeczywiście koniec, ostatnie podrygi! Ksiądz Mackiewicz, Laskowski dzielny, ostatnim, ostatnim wysiłkiem!...

Waliła się, jak szarańcza, ćma ta Moskali!

Z ust ciężko rannego wodza już tylko urywane wyrazy:

»Już nie, żeby zwyciężyć, już nie!... żeby tylko paść z honorem!...

Aż sam Pan Bóg przerwał tę bitwę, tę rzeź. Pan Bóg gromami zagrzmiał z nieba, by się wreszcie przestali mordować ludzie na ziemi.

Zahuczała burza nad birżańską puszczą, gwałtowna, wiosenna burza. Z rykiem grom przeleciał, z łomotem i trzaskiem zakołysały się, pochyliły olbrzymie drzewa, lunął ulewny deszcz, jak potop z chmur; w dzień biały mrok gęsty uczynił się na świecie, jakby szła już czarna noc.

Pioruny waliły w puszczę, to tu, to tam.

Rozpędziła burza bitwę. Ganecki pod Medejki się cofnął (bodaj był nogi połamał po drodze!) my zapadliśmy w las. W rozsypce takiej, mój Boże, że po kilkudziesięciu... co, po kilkunastu, kilku nieraz!

Laskowski z księdzem Mackiewiczem na drugi jeszcze dzień jakieś resztki zebrali i jeszcze z kozakami Ganeckiego ucierali się mężnie i z finlandzkimi jegrami, tak zakończając trzydniowe boje, co je później birżańską bitwą nazwano.

Potem po puszczy chodzili już oddzielnie, każden ze swoją partją, podrywając Moskali, aż na koniec przyszło jednemu i drugiemu.

...Nas, cośmy rannego Dołęgę porwali i unieśli, ledwo było kilkunastu, a prawie wszyscy poturbowani sami, kto mniej, kto więcej. Pamiętam, nieśliśmy go we trzech: Kołyszko, Kossakowski i ja. Nie chcieliśmy innym ustąpić!

Czyli przytomny był, nie wiem. Oczy miał zamknięte, i ciężył nam na rękach jak umarły.

Przez ten rozwyty, rozszalały bór, co zdał się łamać nad naszemi głowami, walić się na nasze głowy... Błyskawice, trupio blade błyskawice, ślepiące w tej leśnej mroczni... Czysty dzień sądu i Pańskiego gniewu!

Doszliśmy tak do leśnego folwarku Sznurkiszki. Tam, w pierwszej z brzegu chacie, naszego wodza złożyliśmy, umierającego już prawie, tak nam się zdało...

Cały wieczór, całą noc my tak przy nim... my, ostatnie niedobitki...

Ścisnął tak jeden drugi, rękami pochlastany łeb, i tak siedział i słuchał, jak puszcza wyje. Jedyny głos w tej pustce, to wichru granie i jęk łamiących się drzew.

Nad ranem przyszli Moskale i nas zabrali.

...Jeszcze wcale jakiś ludzki i przyzwoity był człowiek, ten oficer, co nas aresztował — nie można powiedzieć! Nazwiska nie pamiętam, a szkoda!

Młody jeszcze całkiem, choć już w randze majora; gwardyjec, pewno za wybryk jakiś przydzielony do linjowego pułku.

Nie dał poniewierać, krzywdy robić rannym. Nie tak, jak bywało, inni się z powstańcami obchodzą!

Z miejsca tylko zaraz, rozumie się, śledztwo, indagacja: Kto? jak? skąd? kak familja?

Ja rżnę jak z nut, ani się zająknę:

»Władysławski, z Krakowa rodem, poddany austryjacki (na wszelki wypadek myślę, tak lepiej będzie!) kapitan kosynierów w powstaniu!...«

Naraz... co słyszę? jakby piorun we mnie strzelił! majorowi temu, któren przy łóżku Dołęgi stanął i jego indaguje, odpowiada Dołęga, podnosząc się wpół w krwawych betach: Zygmunt Sierakowski, naczelnik wojskowy na województwo żmudzkie...

Krótki na to okrzyk rosyjskiego oficera, i rąk plaśnięcie. Patrzy oficer ten na naszego naczelnika, jakby czemś przerażony, i nie mówi nic...

O! dobrze nazwisko Sierakowskiego Zygmunta wśród Rosjan znane! I pierwej w Petersburgu, gdy go prost za luminarza w jeneralnym sztabie miano, i teraz w powstaniu, rycerskiego przeciwnika, co pojmanych sołdatów wolno pusz-

czał, jeszcze przydając po rublu na drogę — podczas gdy oni naszych jeńców wieszali!!

A naczelnik, jakby odpowiadając na tamtego tajne myśli, tak mówi mocno i dobitnie, gdy gorączką oczy mu płoną:

»Czemum powiedział?... czemu się nie kryję? Bo już śmierć nademną, i moc tylko Boża, nie wasza!!«

Młody major w złotych szlifach, w złotych sznurach gwardyjskiego munduru, przed ciężko rannym jeńcem na barłogu, stoi jak winowajca...

...Zabrali, i popędzili. Do nas, w Sznurkiszkach z Dołęgą pojmanych, i innych dołączyli, co ich strzelcy z kozakami wyłapali po puszczy. Gromada nas była spora; pewno z parę setek. Tryumfował, tryumfowałże »Gałganeckij!«. Jak mu tak przyjdzie z nami jeńcami, ze »żmudzkim wojewodą« do Wilna wejść zwycięzcą!!

Cały dzień nas pędzili w strumieniach deszczu. Rannych na wozach, zdrowych piechotą. Ja tam znów nie byłem tak dalece ranny, alem z umysłu robił ledwo już żywego i leżałem na wozie jak kłoda, żeby przy okazji wziąć i zwiać!...

Jak fura siana do głowy mi zajechało, żeby koniecznie zwiać!!!

Patrzyłem się na konwojujących nas sołdatów, na te głupie kałmuckie gęby, i takem sobie mówił:

»Nie będziecie wy mnie długo za nos wodzić!!«.

Lasami nas prowadzą, lasami. Znów już wieczór, znów już noc. Deszcz ustał, ale czarno, czarno na świecie jak w kałamarzu, tylko latarki konwoju w kałużach leśnej drogi odbijają się czerwono. Tylko skrzyp kół, tupot ludzkich nóg i błota chlupanie; tylko czasem w górze, światłem wystraszony, jakiś nocny ptak...

Tak nas, miatieżników, Wieszatielowi w podarunku wiozą.

Słyszę, młody gwardyjec, co się przez cały dzień kręcił blisko wozu Dołęgi, jakby urzeczony, podjechał znowu na koniu, czegoś klnie, czegoś wzdycha, i tak mówi do jeńca:

»Nu, sztabspułkowniku Sierakowski, trzeba mnie było sekretnie, nie w głos przy sołdatach, jako wy Sierakowski! Na moju duszu! kark byłby wolał złamać, jak pana tak tam wieźć!...«

Gryzło go coś, widać, i spokoju znaleźć i zmilczeć nie dało.

»Trzebaż wam było, aa? Nu, powiedz pan sam, sztabspułkowniku?? A teraz, tylko pojrzyjcie, ilu to nieszczęśliwych przez pana!«.

Wskazał ręką na ciemną jeńców gromadę, pędzoną, pędzoną po błocie, w tę rozpaczliwą noc...

Całkiem barany na rzeź, do rzeźnika Murawiewa!

A na to, głos Sierakowskiego z ciemności, powolny i dziwnie uroczysty:

»To nie są nieszczęśliwi! to są krwawe nasiona... co z nich kiedyś wyrosną kwiaty wolności!«

Pomnę, na moim wozie, tuż obok, jam się wtenczas łzami zalał jak dziecko, i gotów byłem, sto razy gotów w tej chwili, choćby na szubienicę, byle kiedyś... po nas... te kwiaty!!!

Cóż, kiedy człowiek człowiekiem!...

Jeszcze mi dziś wspomnieć miło, jakem kiedyś, tej nocy, upatrzywszy chwilę, pięścią w łeb zdzielił najbliższego sołdata, potem hajda z wozu i w las!

Alem zmiatał! Alem zmiatał! Czysty zając!!

Strzelali za mną gęsto, gonili, hukali! Szukaj wiatru w polu, a zbiega w nocy po puszczy!!!

Sadziłem, jak jeleń, kluczyłem jak lis — ażem się gdzieś zwalił na łeb do jakiegoś wykrotu, i tam, nakryty plątaniną zielska i suchych gałęzi, przyległem wreszcie, przyczajony jak kot...

Potłuczony, podrapany, zziajany jak to nieboskie stworzenie — przecieżem w tej jamie aż ręce zacierał, żem taką sztukę wyrżnął Moskalom!!!

Alem coprawda i mówił sobie: Człowieku! nic, tylko bydlę z ciebie!!! To brat zginął, ciebie ratując, — siostra wdową, na całe życie nieszczęśliwa! twój wódz w niewoli i na szubienicę pewno go wiozą — a ty się cieszysz, żeś ocalał i wolny?

Bóg mi świadkiem, żem się cieszył! Miałem dwadzieścia ośm lat i szczęście już jakby w garści, bo pierścionek od Maryjki na palcu, od mojej złotogłówki! Nie chciało mi się umierać!

Resztę nocy przesiedziałem w tym wykrocie, aż o przedrannej szarówce zapukałem na chybił trafił do chaty jakiegoś chodaczkowego szlachcica pod lasem, i ten mnie przechował...

Sawicki się, pamiętam, nazywał, niech mu Bóg da zdrowie! — czyli raczej niebieską koronę, bo z pewnością, że już

po dziś szlachcic ten nie żyje... jakże? pięćdziesiąt lat!!... a już i wtedy był to człek niemłody...

. . . . . .

Niedługom przecie w tem mojem schronieniu wysiedział. Nie mogłem wysiedzieć! Coś mnie gnało...

To oni tam, towarzysze twoi, gorzej jak w szponach samego czarta, a ty tutaj w puszczy zaszyty?...

Wieści chodziły i tutaj, ale sprzeczne, bałamutne, że nic na pewno nie było można wiedzieć! Jako podobno wysocy wojskowi dygnitarze, dawni Sierakowskiego koledzy, ocalić chcą go za wszelką cenę, u cara starania usilne czynią... jako sprawa w zawieszeniu, to jedno pewne, że wyroku Murawiew nie wydał jeszcze.

Więc jużem w końcu nie mógł dłużej wytrzymać, i niech się tam dzieje co chce! mimo próśb i perswazji mojego poczciwości gospodarza — w przebraniu pół chłopskiem, pół z waszecia, z paszportem na imię młodego Sawickiego w kieszeni, wybrałem się do Wilna.

Miałem nadzieję, że nie poznają, choćby co do czego... przez tych parę tygodni broda mi urosła, żeby mnie i Maryjka tak nie poznała!

We Wilnie, na samym wstępie, takie nowiny słyszę od ludzi na mieście:

Przed tygodniem Kołyszko powieszony — powieszeni z moich kolegów-powstańców: Korsak, Ancypa, dwaj bracia Mancewicze. Wiwulski, już na śmierć skazany, w szpitalu umarł z ran, czem rozwścieklony Murawiew w miejsce jego trzech innych podobno kazał powiesić!!!

I najstraszniejsza wieść: jutro Sierakowskiego egzekucja. Na Łukiszkach, publicznie, »dla przykładu i postrachu«, tak brzmiał wyrok Wieszatiela.

W sam czas przybyłem jeszcze... w sam ostatni czas!

...Jak to zawsze coś przez ludzi się zasłyszy, tak i zasłyszałem przypadkiem, że moi rodzice podobno w Wilnie.

Powlokłem się tedy na poszukiwanie, zupełnie jak pijany, żadnych już nawet ostrożności nie zachowując. O niczem, o niczem już myśleć nie byłem w stanie, tylko o tym jutrzejszym dniu!!

Późno już wieczór, odszukałem mieszkanie rodziców. W przedmiejskim jakimś dworku, na Pohulance. Matczysko moje biedne, siwiuteńkie (przez tych kilka miesięcy staruszka się z niej zrobiła!) jak nie zakrzyknie!! jak mi się nie rzuci na szyję!!

A w tej chwili jeden ten mój strach: czy ona już wie o Piotrze? bo jak jeszcze nic nie wie, to dalibóg, choć nigdy nie byłem tchórzem, nie będę miał odwagi jej powiedzieć!!!

Wiedziała!... i tuląc mnie do piersi, odzyskanego syna, wśród szlochania raz po raz wymawiała imię syna zabitego.

»Mamo! mamo! najlepszy on był z nas wszystkich!... najwięcej wart kochania!... najlepsze to twoje dziecko, mamo!... Za mnie, o Boże, dał się zabić!!!«.

Jak paciorki różańca, jedna za drugą wieść okrutna, wieść żałobna, z tych bladych, drżących ust matki:

»A czy wiesz ty moje dziecko, co z naszą Jadwisią? Tak nagle dowiedziała się o Janku... dziecko urodziło się nieżywe, a ona, pomyśl, Władku! obłąkana!... Uderzenie na mózg, doktor powiada... i bez ratunku! Całe dnie, całe noce na miejscu przesiedzi bez ruchu, bez słowa, jak ta kamienna figura... tylko czasem się zerwie i krzyczy: Gdzie Janek? Gdzie Janek!?...

Otworzyła matka drzwi do sąsiedniego pokoju, ostrożnie, cichuteńko. Spojrzałem... Na łóżku, widmo jakieś mojej biednej siostry, z opadającemi na twarz, roztarganemi włosami. Z młodej kobiety jak róża, cień został i szkielet.

Naraz krzyk przeraźliwy, mrożący do szpiku kości: Gdzie Janek!?... I jeszcze drugi krzyk! i jeszcze! i jeszcze!

Nie mogłem wytrzymać; uciekłem!

Za chwilę matka wróciła od tej biednej, tej najnieszczęśliwszej, którą udało się jej uspokoić — i kiedym siedział z twarzą zagrzebaną w dłoniach, rękę mi położyła na ramieniu i tak mówiła:

»Już spokojna, już... tak zawsze, na najmniejszy szelest, na najmniejszy szmer! Ciszy jej trzeba tylko, ciszy...«

»Och mamo! moja mamo! to gorzej niż śmierć!!«.

»A wiesz, co ja nieraz myślę, Władku? — matka z tym swoim męczeńskim uśmiechem Madonny Bolesnej — że to

dla niej może i miłosierdzie Boskie?... Bo pomyśl, gdyby przytomna i wiedziała, jakby cierpiała! jakby cierpiała!!«

...»Tyle was było, taka w koło mnie was gromadka, a teraz wszystko gdzieś po świecie, albo jak Piotr w grobie... jedna przy mnie ta nieszczęśliwa Jadwisia!«.

...»Wiesz ty, mój Władku, że ojciec w więzieniu? Od dwóch miesięcy, w takiem okropnem więzieniu! nie cela, ale piwniczny loch... wilgoć, szczury! Zachorował, przenieśli go do szpitala... I teraz, Bogu dzięki! już go puścić mają wkrótce, tak mi obiecują! Wychodziłam, wyżebrałam... wykupiłam go połową prawie tego co nam zostało! Bo ty nic jeszcze nie wiesz, synu, że Klecka Wola już nie nasza, że skonfiskowana?... że my tu na bruku?«.

...»I mój ojciec zamordowany, Władku, dziadunio zamordowany... przez kozaków...«.

Wielkie, ciche łzy, jak perły, po twarzy mojej matki, gdy opowiadała.

Potyczka była w Kleckiej Woli... matki wtedy nie było, do Wilna pojechała ojca aresztowanego ratować. Służba ze strachu się rozbiegła... dziadek nie chciał się ruszyć. »Na swoich śmieciach jestem i zostanę... a że jakiejś tam kanalji przyjść się podoba, mnie to nic nie obchodzi!« Jeden przy dziadku ten Maciuś kredensowy, poczciwy chłopczyna... od tego też tylko matka teraz wie... Wpadli kozacy do dworu, jak szarańcza. Nuż pałaszami wszystko rąbać, meble, lustra, portrety, ot, po moskiewsku! i jeden ot tak sobie na wiwat, strzelił do popiersia Napoleona, tego nad zieloną kanapą w bawialni, gdzie zawsze dziadunio... A dziadunio kozaka laską!!! »Wara, sacrebleu!!!« Pałaszami go zarąbali, u stóp strzaskanego wizerunku Empereura! Rąbali coś w dziesięciu czy dwunastu, że jedna krwawa masa!!! Potem dom spalili ze zwłokami razem... Śladu już, śladu, z naszego domu!...

»Tak Władku, mojego tatusia kochanego... (o, jak dziwnie rzewnie brzmiało to nazwanie w ustach mego matczyska, jak gołąb już siwego!) takiego staruszka!... dziewięćdziesiąt lat!! cała horda młodych, zdrowych, silnych... czy to nie potworne, powiedz?? Mój tatuś kochany!!«

Zaniosła się najżałośniejszym, niepowstrzymanym już płaczem.

O mamo! — powiadam, — gdyby mógł człowiek śmierć sobie wybierać, pewnoby innej nie wybrał dziadunio! taby mu najpiękniejsza, staremu napoleończykowi!...

»Władku, jeszcze to nie wszystko... Kazimierzowi Turowiczowi też majątek skonfiskowali, a on, żeby ratować... mówi, dla żony, dla dzieci... nie unoś się, Władku! podpisał, jak tylu innych, adres do cara, na żądanie Murawiewa...«.

»Plunąłbym mu w oczy, jak psu!! tego tylko wart!!!« — wybuchnąłem wściekle.

»Daj pokój, synu, daj pokój... Widzisz, gdy się tyle przecierpi jak my, trzeba być pobłażliwym na ludzką słabość. Widzisz, nie każden może, tak jak ty... jak Janek, jak nasz Piotr!... nie każdego na bohaterstwo stać! Choć to tak boli, że coś takiego w rodzinie!... kiedy ta nasza rodzina nie żałowała wszak żadnej ofiary!... kiedy i najkrwawszy już haracz!!... Nie mogę, całkiem nie mogę o tem z Bronią!...«.

Tak mówiła moja święta matka, kiedym ją widział po raz ostatni.

Przegadaliśmy tak, a potrochu i przepłakaliśmy całą noc. O świcie matkę pożegnałem (ojca nie widziałem wtedy za pobytu mego w Wilnie i jużem go także nigdy więcej nie zobaczył!) — pożegnałem tedy matkę i poszedłem patrzeć na egzekucję Sierakowskiego, ukochanego mego naczelnika.

...Nie! nie egzekucja!! proste, powtarzam, proste morderstwo!!! Jeśli świat cały po dziś i zapomniał, jak to było, to ja nie zapomniałem!!!

O czem wnet dowiedziało się Wilno, że sama carowa przez wpływowe osobistości ubłagana, depeszę wysłała była do Murawiewa: Życzeniem jest Naszem, by wyrok zmieniony, i pułkownik Sierakowski nie został rozstrzelany.

Na co Murawiew zarechotał djabelskim śmiechem, depeszę schował za pazuchę i egzekucję przyspieszył — carowej zaś odpowiedział po wszystkiemu: Donoszę najpoddaniej, że uczyniono wedle rozkazu Najjaśniejszej Pani, i wyrok zmieniony; Sierakowski nie został rozstrzelany, lecz powieszony.

Młodą żonę skazańca (tak później opowiadano), w ostatnim miesiącu ciąży będącą i od dłuższego czasu już więzioną, kazał Wieszatiel teraz przeprowadzić do innego więzienia, skąd plac tracenia widać było, i gdy wyrok spełniano, sam przy-

szedł do jej celi, nacieszyć się widokiem tej szubienicy tam i tej tu kobiety, ginącej z bólu...

Tak opowiadano... choć aż trudno uwierzyć, żeby to prawda, żeby to człowiek, nie wcielony czart!...

Chwycił ją, powiadali, za ramiona, twarz jej przycisnął do okiennej kraty i przymusił, żeby patrzyła.

»Patrz, patrz pani Sierakowska, jak tam twój gołubczyk na sznurze tańcuje!«

Aż kobieta, jak trup, zwisła mu w tych szponach...

Co jednak prawda już niezbita, to że gdy nieszczęsna urodziła syna, syna jej tego natychmiast zabrano, aby wychowany był »na koszt rządu« — na prawosławnego, znaczy się i Moskała.

Szczęściem od Boga, dziecko zaraz umarło; gdy matce powiedziano, dziękowała Bogu. I sama również, jeszcze ciężko chora po połogu na Sybir wywieziona, nie wytrzymała drogi; gdzieś tam, w jakiejś uralskiej wsi podobno, jak kurczę zasnęła...

Tak cała Zygmunta Sierakowskiego rodzina, równocześnie prawie, przed Boga, we skargę, z żałobą na swego kata!

A takich rodzin na Litwie setki i tysiące!

W piekle ci to wszystko policzonem będzie, Wieszatielu!

. . . . . .

Głowa starca nisko na piersi opadła, rzekłbyś, drzemie...

Radosne słońce świeciło mu w twarz, w zamknięte powieki, nad głową wiosennym chórem śpiewały ptaki i zieleniły się jasno szmaragdowe, majowe te drzewa Zamkowej Góry. Nie śpi pan Jeżewski, a śni... dusza odeszła w przeszłość daleką, dusza stare wspomnienia przeżywa, straszliwe, a wiecznie święte.

Przebrany pół po chłopsku, pół z waszecia, stoi powstaniec młody, na łukiskim placu stracenia, przed rusztowaniem, przed szubienicą, na której, za chwilę, Sierakowski...

Dzień 27 czerwca 1863-go roku, dzień opłakany!

Tłumy, tłumy luda na łukiskim placu. Jak w kościele czasu nabożeństwa. I jak w kościele, kiedy się dokonywać ma ofiara, cisza taka śmiertelna... Jakby ludziom serca zamarły...

Czasem tylko w oniemiałym tłumie, jak struna nagle szarpnięta, jakiś jęk, wnet urwany, cichy płacz, już niewstrzymany, z pod samego czyjegoś serca!

Żandarmi, jak te gończe psy, kręcą się gęsto w tym tłumie; pozierają srogo, nadstawiają uszu, wietrzą i węszą, skąd ten jęk czy westchnienie, skąd to doleciał płacz podejrzany...

Wysoko na szafocie, na tle błękitu, radosnego, niezamąconego! czarna, pusta rama szubienicy, i pętla z wiatrem się kołysze, pętla wyczekująca.

Każda obca twarz wokoło, każde słowo wymówione w tej chwili, jakby na wieki w pamięci ryte; i dziś zmartwychwstaje na nowo...

Słyszy pan Jeżewski starzec, jak niemłody jakiś jegomość z twarzą ziemistą, z obłędnym błyskiem w oczach, mówi do niego, młodzieńca, przebranego w szaraczkową kapotę:

»Coś się spaźniają, nie nadjeżdżają! Gotów, wiecie, Sierakowski Murawiewowi takiego figla, jak Wiwulski; bo to słychać, ledwo dusza w nim! Umrzeć gotów, panie święty, i nie będzie widowiska, he, he, he!

Ja, wiecie, mój człowieku, to na wszyściutkie wieszania sobie chodzę, ani jednego nie opuszczę, odkąd mnie syna powiesili. Będzie sześć niedziel. Chłopak jak malowanie, ośmnaście lat, z ostatniej klasy gimnazji. Stryczek na szyję i chrrr!... (zachrapał okropnie i ręką uczynił gest duszenia, — potem znów ten cichy, obłąkany śmiech).

Więc ja teraz patrzę i przypominam sobie, jak to syna... żeby nigdy nie zapomnieć, rozumiecie, he, he, he!

...A słyszałeś mój kawalerze, jak to było gdy Kołyszkę wieszali? Siarczysty był chłop, cały zuch, jeszcze pod szubienicą kata on w pysk, że się kat nogami nakrył! Ot ten, co tam stoi... Śmiechu było, oj! oj!... jeszcze dziś, jak sobie wspomnę, he, he, he!«.

Oparty o szubienicę, wyczekujący, stał na wzniesieniu monstrualny jakiś gnom, o ogromnym łbie buldoga, potężnym adłubie a krótkich, krzywych nogach. Przymknął oczy, jak buldog leniwy, znudzony, poziewał i zdał się wygrzewać w słońcu.

»Jak babcię kocham, nakrył się nogami ten tam, o!... szarpał Kołyszkę jak zły pies, no i oberwał! Oj! oj! już całkiem nie mogę od śmiechu! tak mnie trzęsie! Oj! oj! ratujcie!«

Krótkie, urywane odgłosy, podobne do cichego szczekania czy konwulsyjnego łkania, wstrząsały bezprzestannie piersią nieznajomego o błędnych oczach, ziemistej twarzy, któremu syna powiesili.

Naraz w ciszy strasznego oczekiwania turkot zdala i szmer: jadą, jadą, jadą!...

Na kibitce pędzonej w cwał, w asyście sześciu żandarmów z nastawionemi karabinami, z palcami na cynglach, Sierakowski.

Na drugiej ksiądz, któren skazańca dysponował na śmierć, i teraz towarzyszył aż do końca.

Gdy żandarmi pod ręce chwycili Sierakowskiego (iść nie mógł o własnej mocy, ze szpitalnego go łóżka na szafot zwleczono!) — przez tłum i straż przecisnęło sią naraz dwoje dzieci, chłopczyk dwunastoletni i mało co starsza dziewczynka, oboje z ogromnymi naręczami kwitnącego jaśminu, i w głos płacząc, rzuciły te wonne świetankowo-białe kwiaty pod nogi skazanemu.

On wtedy podniósł twarz umęczoną, i tym polskim dzieciom podziękował uśmiechem nieskończenie smutnym i serdecznym.

A równocześnie zaraz żandarmi brutalnie odtrącili chłopca i dziewczynkę — grube, podkute ich buciska podeptały i rozrzuciły z wściekłością białe kwiaty, ten ostatni hołd...

Oddział piechoty przymaszerował milczący, wiedziony przez oficera z wyciągniętym pałaszem, żelaznym kordonem odgrodził tłum od szubienicy. Wszelkie środki ostrożności zarządził był Wieszatiel!

Wleczony pod ramiona przez dwóch żandarmów, rosłych, spasionych, z podełba patrzących, jak złe brytany, Sierakowski zwolna wstępował na stopnie szafotu.

Wychudła, przeźroczysta prawie jego twarz, w obramieniu brody i długich włosów, urosłych czasu więzienia, miała w sobie coś już nie z tego świata, przywodziła na myśl męczenników i świętych.

Nie patrzył ani na ten lud, rozchwiany płaczem, jak kłosów pole — ni na żandarmów, szubienicę i kata; patrzył w niebo.

Tak go wlekli.....

Rozległ się rechoczący śmiech człowieka, co mu powiesili syna:

»He! he! he! Patrzcie państwo, to już teraz i trupów wieszają!...«

Pod samą już szubienicą odwrócił się Sierakowski i uściskał księdza, który wszedł był za nim. Ksiądz dał mu krucyfiks do pocałowania, rzewnie płacząc; skazańca oczy pozostały suche...

A Jeżewskiego dusza darła się w strzępy, krwią żywą, serdeczną, płakała.

»Mój wodzu! mój wodzu! jabym za ciebie ostatnią kroplę krwi — a dziś patrzeć tu muszę!...«

Na rusztowaniu, gdy kat mu zarzucił śmiertelną koszulę — gdy stał tam wysoko nad wszystkich wyniesiony, Zygmunt Sierakowski, naczelnik powstania na Litwie! przemówił naraz...

Na cały plac tracenia głos zadźwięczał donośnie, na całe zda się Wilno i całą tę ziemię!

»Bracia, to nie na zawsze, nie na zawsze, ta Polski niewola! Wstanie Polska z grobu, jak Łazarz!«

Potworny karzeł zawijający już rękawy do katowskiej roboty, przyskoczył z wściekłością na swoich krótkich, krzywych nogach, i ciężka, włochata jego łapa opadła brutalnie na usta skazańca.

Małczat! małczat! sukinsyn!!

To co potem nastąpiło, jedna zgroza, piekielna zmora!...

Wykręcił mu w tył ręce kat, by związać powrozem, a że ranę niezgojoną uraził okrutnie, Sierakowski jął się odruchowo bronić...

Wonczas straszny karzeł powalił go na ziemię, na piersiach uklęknął, przemocą skrępował straszliwie...

Aż z ust katowanego nieludzki krzyk, krzyk wraz okrutnego fizycznego bólu i zdeptanego honoru człowieka i żołnierza:

»Protestuję przed Rosją i Europą!«

A tłum na to oszalał! Rzucił się głową naprzód, jak bawół rozwścieczony, na kordon żołnierzy — odepchnięty, runął drugi raz i trzeci. Sołdaci płazowali, kolbami bili bezbronnych. Jęki, łkania przeraźliwe, i górujące nad tem piekłem, spazmatyczne krzyki kobiet...

Ten i ów, chwyciwszy się za głowę, uciekał, uciekał gdzieś przed siebie jak szalony!...

Boże! czy Ty nie widzisz? Czy Ty nie słyszysz? Gdzie Ty jesteś, wielki, sprawiedliwy Boże!?

Wśród tej zgrozy, skrzyp szubienicy pod ciężarem ludzkiego ciała. Kat zrobił swoje.

Zakołysał się na pętli długi, biały kształt.

Dokonało się!...

Ludzie padli na kolana, a ksiądz głośno odmawiał modlitwy za konających:

»Boże, przyjmij w miłosierdziu Swojem duszę sługi Twego Zygmunta... niech wyjdą po nią Twoi święci anieli, niech ją wewiodą w krainę ochłody i wiekuistej światłości...«

Pół obłąkany nieznajomy obok Jeżewskiego śmiał się konwulsyjnie:

»Całkiem jak mój chłopak... jak mój chłopak!...«

Ktoś krzyknął naraz: (może to on sam krzyknął, Jeżewski?)

»Wstanie z popiołów mściciel tych kości!«

...Ocknął się starzec. Długim dreszczem wstrząsnął nim wieczorny chłód.

Bo to już był wieczór. Całe godziny tak prześnił, przemarzył krwawo w gaju na Zamkowej Górze.

Słońce zachodzące wisiało nad czarnemi lasami, ogromne, czerwone — pół nieba ta czerwień zalała, i całe Wilno było jak w ogniu i we krwi. Szyby domów, by w pożarze, jarzyły się purpurowo, a Wilji, Wilejki wody, już nie pas srebrnolity, ale karmazynowy, szkarłatny, jak krew.

Czy to tej odblask, co ją przed półwiekiem ta ziemia piła, piła obficie?

Starzec, któren patrzył na męczeństwo Litwy i tego miasta, ręce składa i tak Boga prosi:

»O Panie, Panie sprawiedliwy, daj to nagrodą tej ziemi, co wycierpiała ponad wszystkie ziemie Polski, by z niej wyszedł ten, którego czekamy, wyszedł Mściciel!...«

VIII.

Szło ku Polsce walczącej o życie, od Zachodu pokrzepiające wołanie: Wytrwajcie! wytrwajcie!...

»Durez, durez... six semaines encore!« — rzucał Polsce poprzez Niemcy, Prusy, ponad głową drwiącego piekielnie Bismarka, Napoleon III.

Szły do cara w sprawie naszego powstania dyplomatyczne noty z Paryża, Londynu, nawet z Wiednia: ja, Europa, myślę o was, sercem jestem z wami!

W Paryżu, w Londynie, zgoła we Wiedniu interesującymi się stali i modnymi nad wyraz polscy »insurgenci«.

W dziedzinie damskich strojów zapanowały wszechwładnie kubraczki á la polonaise i kapelusiki mające kształtem przypominać rogatywki.

O, Europa nie szczędziła nam sympatji!

Gdy w miastach Kongresówki, Litwy, skrzypiały szubienice, a po polach i w lasach płynęła strumieniem krew — tam w gabinetach ministerjalnych przelewano atrament szczodrze... całe fale atramentu!

A polskie powstanie, święcie ufne w pomoc zamorskich i zagórskich panów, z oczyma zwróconemi na Zachód krwawiło się w dalszym ciągu, i trwało, byle tylko przetrwać, doczekać...

Aż doczekało ostatecznie tego, co zając w bajce, którego wśród najlepszych przyjaciół psy zjadły!!...

Nim nas przecie carska ta psiarnia zjadła do ostatka, jeszcześmy się jej dali we znaki, że ha! — rozmyślał z satysfakcją pan Jeżewski po dziesiątkach lat — jeszcze jej zalazł za dziesiątą skórę nasz Czachowski!!

Po upadku Langiewicza, po Sierakowskiego męczeństwie, nowy znów człowiek wybił się na czoło ruchu, zaświecił wrogom w ślepia groźną błyskawicą: żelazny pułkownik, Dyonizy Czachowski.

Nie wojskowy z zawodu, ale szlachcic polski starego autoramentu, więc już żołnierz urodzony, gdy siadać przyjdzie na koń. I siadł też był bez namysłu pan Dyonizy na ulubioną wierzchówkę, dubeltówkę myśliwską przewiesiwszy przez plecy, i nie oglądając się, co zostawia za sobą, że zostawia wioskę, gospodarstwo, dzieci i już wnuki! — na punkcie zbornym pod Świętym Krzyżem się stawił, skoro tylko dyktator rozesłał pierwsze wici. Siódmy już krzyżyk na pana Dyonizego karku, a fantazja wojenna jak u młodzieńca... co to! młodych jemu podobnych zgoła szukać ze świecą! a teraz w tych podłych czasach, tobyś nie znalazł i przy stu świecach!! — przytakiwał dziś sobie, wspominający, pan Jeżewski.

»Nasz Czachowski dzielny był, dzielny był, dzielny był!
»Bo Moskali tęgo bił, tęgo bił, bił!«

tak śpiewała o nim powstańcza piosenka.

Tak o nim później nad grobem kaznodzieja miał powiedzieć, nad świeżą, żołnierską jego mogiłą: »Człowiek ten był w miłości ojczyzny zagorzały do szaleństwa!«

Rolnik przez całe swoje długie życie, i myśliwiec zawołany, któremu znany, jak własna chata, każdy ostęp, każdy jar, kryjówka każda tych puszcz, co niemi cała ta południowa połać Kongresówki rozszumiana: kozienickiej, iłżeckiej, radoszyckiej, świętokrzyzkiej puszczy, — dziś w tych jarach, kryjówkach, ostępach polował bez litości na Moskali, tych stokroć gorszych od wilków! Z lasów wypadał, w lasy zapadał, przetrzepawszy tęgo wroga — wiecznie nieuchwytny i postrach on okrutny wysełanego przeciw niemu wojska.

Oj! baliż się go Mochy, bali... jeszcze dziś to wspomnieć radość!!!

Sami już nie wiedzieli, jak go z tej bezsilnej złości, z tego strachu co nimi trząsł, i z podziwu zarazem przezywać: to »starym czortem«, to nawet »królem polskim« tytułowali!

Tak, tak... śmiech powiedzieć, a prawda szczera!

Na jego oddział, który po grochowiskiej bitwie, po Langiewicza klęsce, cudem i hazardem szalonym wyprowadził był

z rozbicia, dybali zawzięcie z kolei jenerałowie: Uszakow i Meller-Zakomelskij i pułkownik Protopopow i umyślnie z Kaukazu importowany major Klewcew, zaprawiony tam w walce partyzanckiej z Czerkiesami. Wszystko napróżno! Kaukazczyk, choć się przechwalał, że wypróbowaną na Czerkiesach metodą w tydzień skończy z »siwym czortem« i polskim buntem w sandomierskiem, — ani się opatrzył jak połowę swoich ludzi stracił i sam ziemię gryzł!!

Święty Krzyż, Suchedniów, Małagoszcza, z pod Grochowisk przebicie się krwawe, wydarcie się z samej już paszczy wroga — pod Stefankowem następnie, Gielniowem, Borją, Ostrowcem, Jeziorkami, zwycięzkie potyczki — dziesięć miesięcy z szablą w dłoni, nieodkładaną i na nocny czujny sen pod gołem niebem o głodzie i chłodzie (stary partyzant z wojakami swymi nigdy, przenigdy nie nocował pod dachem, utrzymując uparcie, że kwatera rozmiękcza żołnierza!) — wojaczki dziesięć miesięcy, aż po wysiłek ostatni, po Rybnicę, Jurkowice, aż po śmierć rycerską na polach Wierzchowisk — oto długi różaniec Czachowskiego trudów i chwały!

Ów starzec niezmordowany, zda się ze żelaza, w zemście nad wrogiem zapiekły...

Po latach, po pięćdziesięciu, pan Jeżewski w pamięci jak żywego widział przed sobą, niewielkiego, prostego jak trzcina a suchego jak kość, z twarzą na bronz spaloną, ledwo siwiejącą czupryną i szumiastym wąsem — twardego by ten kamień tak dla innych jak dla siebie. »Stary ojciec« Czachowski!

Srogi był, o srogi! nie żartował!!

Nie dziwota, że Moskal jeden z drugim aż się potem oblewał, gdy ktoś znienacka nad uchem krzyknął: Czachowski!!

On jeden, z wodzów naszego powstania, stosował twarde prawo odwetu: oko za oko, ząb za ząb — podczas gdy inni wojowali niby szlachetny ten rycerz z Manszy, z przeciwnikiem o etyce prost tatarskiej hordy!

Wieszali Moskale naszych jeńców, i on Moskali wieszał. Jak ty mnie, tak ja tobie!!

...»Ja bo, panie dobrodzieju, w aksamitnych rękawiczkach nie wojuję, i pereł nie rzucam przed świnie!!!«

Kiedy po bitwie pod Suchedniowem wszedł był do nieszczęsnego miasteczka, opuszczonego przez Moskali, i ujrzał

je spalone, a które domostwa nie spalone, zrabowane do ostatka; porąbane pałaszami z tatarską wściekłością sprzęty w jedną kupę gruzów zwalone na rynku; cały ten rynek zasypany, jak szronem, potłuczonym szkłem i pierzem, jak śniegiem; a wśród tego zniszczenia, wśród dopalających się zgliszcz. obdarte, nagie, krwawe trupy mieszczan pomordowanych, mężczyzn i kobiet, zapłonął gniewem wtenczas jak pochodnia i zaprzysiągł na Chrystusa rany, że się będzie mścił straszliwie!

Napisał list do Uszakowa, sprawcy pogromu: Byś wiedział, generale, że twoich żołnierzy wieszał będę jak wściekłych psów, bez pardonu! Daję ci na to moje słowo Polaka, szlachcica i żołnierza!!!

Słowa dotrzymał. Niech tylko sołdat w jego mściwe ręce, zaraz wyjedzie na gałąź wysoko... Aż się obruszali nieraz i szemrali przeciw temu okrutnie Czachowskiego podwładni, (wspaniałomyślnej bez granic i łagodnej polskiej duszy srogość ta bo była nieznośną!) Ale dosłyszał tylko wódz, że ktoś mruczy, krytykuje, wnet spojrzał tak na śmiałka, aż temu dusza w pięty uciekła!

Od wyroków jego nie było apelacji!!!

Po spaleniu Suchedniowa, spalenie z kolei Wąchocka przez Moskali, potem Tomaszowa, Grabowca...

W Grabowcu Nikiforow, kapitan piechoty, wyprawił rzeź bezbronnych mieszkańców: zamordowano czternaście osób — a poraniono ciężko kilkadziesiąt!

»Do Częstochowy piechotą pójdę po wojnie, jeśli Nikiforowa tego dostanę!!« — wołał Czachowski.

I dostał... ale do Częstochowy już nie poszedł... wnet mu pójść było gdzieindziej i dalej, dokąd wszystkie krwawe krzywdy polskiego narodu Królowej Korony Polskiej zaniesie...

W potyczce pod Piekłem (tak się zwała leśna wieś w iłżeckiej puszczy) pojmał Czachowski Nikiforowa nareszcie, na którego polował od całych tygodni z zaciekłością, systematycznością urodzonego myśliwca.

Z nim wraz dwunastu sołdatów: tych z bronią w lesie — jego samego po bitwie, w żydowskiej karczemce, zakopanego z głową, przy pałaszu, w butach z ostrogami pod żydowską pierzyną...

Za łeb wydobyli z betów dwaj kosynierzy i przyprowadzili Czachowskiemu moskiewskiego bohatera!

Ryży, tłusty, o bezczelnej czerwonej gębie i czerwonej brodzie Nikiforow, wiedział co go czeka, i dosłownie wył ze strachu.

Aż obrzydliwość była patrzeć! Zachłystywał się łkaniem, mdłości dostawał ze strachu, włóczył się u nóg Czachowskiego, skowycząc o życie jak pies.

»Ja wasz rab... wasz rab będę!! Bijcie w mordu, nie żałujcie... nu, Grabowiec spalił, grzesznik nieszczęsny, sobaka! taj kopcie wy, kak sobaku, tylko żyć dajcie!! żyć!! żyć!! Pomiłujcie, pan Czachowski, pan generał!!!«

Po butach Czachowskiego całował!...

Że już powstańcy, otrząsając się, szeptali między sobą: A dałbym tchórzowi sto batów odlewanego i puściłbym naostatek! kopnąć tylko podleca takiego i niech idzie do djabła.

Lecz Czachowski nogą tupnął, splunął z obrzydzenia, huknął na jeńca, aż ten rozpłaszczył się jak robak przy ziemi:

»Tfu! wstyd i hańba!... Oficer, a umrzeć nie umie, jak żołnierz!!!«

I rozkaz dał na gałąź tejże chwili, Nikiforowa i wszystkich dwunastu sołdatów.

Kapitan szamotał się do ostatka i ryczał jak byk zarzynany — żołnierze z tępą rezygnacją poszli w milczeniu na śmierć...

Jeden urwał się ze stryczka, runął na ziemię... i wtedy już powstańcy, z księdzem Szulcem, kapelanem oddziału, podnieśli takie larum, błagając łaski, że Czachowski na ten jeden raz odstąpił od zasady i skazańcowi życie darował.

»Żebyś mi ksiądz głowy nie suszył i piekłem nie straszył za okrucieństwo!!«

Ułaskawiony, łamaną polszczyzną tymczasem wołał, że chce do powstania, że »panów Polaków« będzie do śmierci kochał i służył im jak wierny pies: »u mnie bo matka Polka była, waszego pacierza uczyła, ja wasz brat!«

Wyściskano neofitę na potęgę, karabin dano i naboje.

Patrzył szyderczo na to bratanie się Czachowski, i tak do Szulca kapelana:

»Nieśmiertelna polska głupota!!«

Jakoż zaraz we dwa dni »zwarowawszy« karabin, i koledze-powstańcowi konia z siodłem na dokładkę, odcięty ze stryczka sołdat zbiegnąć miał do Moskali, by tam smalone duby rozpowiadać o okrucieństwach Polaków, natychmiast powtórzone przez wszystkie w Rosji gazety — i wnet wydać na śmierć pojmanego od kozaków Czachowszczyka, kosynjera Guzowskiego.

›Poznał go ja!... ten mnie wieszał, u tamtego tam starego czorta!«

Guzowski był tym, któren go pierwszy wpół zduszonego ratował, i pętlę odwiązał ze szyi...

Aleją z dwunastu wisielców, rabusiów i rezunów Grabowca, kołyszących się teraz z wiatrem na przydrożnych sosnach, jechał ze swoimi przez bór Piekło Czachowski, ponury jak noc, a twarz jego zawzięta zdała się mówić bez słów, że jak świat światem, nie będzie, nie będzie Moskal Polakowi bratem!...

Na złych Polaków, na zdrajców, na szpiegów, równo był on bicz Boży!...

Trafiało się, że chłopi skuszeni nagrodą czy steroryzowani przez Moskali, oddawali im szpiegowskie usługi, podprowadzali w lasy pod obozowiska powstańców. Niechno takiego Czachowski dopadł!... krótki z nim robił proceder.

Że w jakiś czas, aż do cna, jakby ogniem szpiegostwo wypalił, na całym tym, gdzie wojował, obszarze.

Dla mniej winnych, strachliwych tylko czy oziębłych dla sprawy powstania, miast stryczka, były baty.

O, batów nie żałował »stary ojciec« — a rozdzielał je z godną podziwu, prawdziwie demokratyczną równością: czy to chłop, czy mieszczanin, czy obywatel, choć najbogatszy, gdy przeskrobał, brał batogi!

Tak wsypano ich solennie dwadzieścia pięć w pewien piękny poranek majowy półpankowi jednemu, niby Twardowski między niebem a ziemią zawieszonemu między szlachtą a arystokracją. (Jeszcze się ten nie urodził, ktoby Czachowskiemu zaimponował!).

Półpanek odmówił przeciągającemu przez jego majątek zbiedzonemu, zgłodzonemu oddziałowi, dla ludzi pożywienia

a paszy dla koni, w dodatku postawił się Czachowskiemu hardo — tak i w skórę wziął!!!

Przed własnym, eleganckim pałacykiem, na własnym, wystrzyżonym jak dywan gazonie, zdobnym w klomby najpiękniejszych kwiatów, wycierpiał pan dziedzic operacją na oczach całej rozweselonej braci powstańczej — podczas gdy pani spazmowała i mdlała, niebo na świadka niesłychanego gwałtu wzywając po francusku!

Równie bezceremonialnie postąpił sobie Czachowski z pewnym proboszczem, któren zbyt gorliwie oddając carowi co jest carskiego, z ambony piorunował na powstańców, buntowników przeciw prawowitej władzy!

Dwadzieścia pięć, ni mniej, ni więcej — to była dawka stale aplikowana przez pułkownika, i której przestrzegał pedantycznie!

Swoich żołnierzy żelazną też trzymał ręką. Nie mogło inaczej być! Pofolgowałaby ta ręka, wnetby się oddział partyzancki w bezładną bandę przemienił. Nie mógł dopuścić!! Choćby się krew polać miała!

I bywało, że się polała... Niesforność wszelką karał bez litości. Gdy raz ciemną nocą przekradano się przez las, i zakaz był najsurowszy palenia ognia, pewien żołnierz, chyba pijany? jakby na popis, jakby wyzywając, fajkę zapalił, a napomniany ostro przez samego Czachowskiego raz i drugi, burknął coś szorstko pod nosem i rozkazu nie posłuchał — podjechał do niego Czachowski i nie mówiąc ni słowa, wystrzałem z pistoletu trupem położył.

Po nieszczęśliwem starciu pod Rzeczniowem, gdy naraz pierzchła nasza piechota, ogarniając sobą kawalerją i furgony, i popłoch niecąc nieopisany — Czachowski uciekającym stanął na drodze, jak graniczny słup, i klął siarczyście i rąbał szablą i kilku szerzących panikę, jak psów zastrzelił! w końcu Męcińskiemu, dowodzącemu częścią jazdy, rzucił rozkaz: »Szarża!! przejedź tym tchórzom po łbach!!!«

Skoro młody komendant mimowoli żachnął się przerażony: Jakto, na swoich?... — Czachowski krzyknął mu: »Rozkaz!!« tak piorunowym głosem, że Męciński ze śmiercią w duszy spiął konia, runął z jazdą i przejechał po uciekinierach ścielących się pokotem...

Zda się, ludzkie serce z piersi wyrwał sobie Czachowski, by mu zaś nie przeszkadzało, i postawił w jego miejsce nic jeno zaprzysięgłą, zaciekłą, twardą służbę Ojczyzny.

Jak i w sprawie ze Stamirowskim... choć go to niemało kosztować musiało, bo kochał ludzi mężnych, a ten nieszczęsny straceniec żołnierz był śmiały, jak sam djabeł...

Stamirowski był ex-oficer rosyjski, pojedynkowicz i hulaka, pierwszy do szabli jak i do szklanki, piękny, rosły blondyn, atletycznej postaci, wiecznie wesoły junak i tą wesołością i fantazją chwytający ludzi za serce, człek stworzony do awantur i hazardów — który też, jak się zdaje, przedewszystkiem w poszukiwaniu awantur zebrał był w sandomierskiem mały oddział kawalerji i niezależnie od nikogo, nie troszcząc się nawet zgoła o Rząd Narodowy w Warszawie, na własną rękę poszedł na Moskala.

Obok Moskali nieraz się tam i rodakom, coprawda, oberwało! Rekwirował po dworach prawem kaduka, nietylko konie, siodła, żywność i paszę, ale i srebra stołowe, złote zegarki i dukaty przechowywane w jedwabnych woreczkach... Ot, lisowczyk... a towarzysze jego nie lepsi i nie gorsi; dobrana kompanja: jaki pan, taki kram!

Wezwał go Czachowski do siebie surowym rozkazem, jako naznaczony od Rządu Narodowego naczelnik wojskowy na województwo sandomirskie — i, o dziwo, lisowczyk się stawił.

Może zbyt wiele miał już na sumieniu, chciał siebie i swój oddział rehabilitować, który okrzyczano już za rozbójniczy — dość, że zajechał pewnego dnia do Czachowskiego obozowiska w iłżeckiej puszczy buńczuczno i huczno, dumno i szumno, z muzyką, z trąbami, piszczałkami, na koniach wyborowych (koniarz był zawołany, i po dworach umiał co najlepsze wybierać) z ludźmi świetnie ekwipowanymi, jako nie bywała nigdy brać powstańcza — sam w półfantazyjnym jakimś mundurze, strojny, dorodny, że aż oczy rwał, przepasany pułkownikowską szarfą biało-purpurową (jako żywo, nikt go nigdy pułkownikiem nie mianował, jeno on sam siebie de iure caduco!).

Że właśnie oddział Czachowskiego był ciężko wyszczerbiony i znużony do ostatka, z uciechą powitał stary wódz ten

posiłek z 50-ciu jeźdźców i gotowych na wszystko żołnierzy — a już ufał sobie, że pod jego ręką awanturnicza ta kompanja przemieni się w wojsko prawdziwe, godne za wolność walczyć i umierać.

»Męztwo, panie dobrodzieju, to grunt!! z tego wszystko da się zrobić!«

Już co męztwa, to nie brakło Stamirowskiemu: zaraz nazajutrz gdy przyszło iść pod Stefanków na wroga, przed wszystkimi na czele marszowej kolumny jechał pierwszy Stamirowski, widny z daleka swą szarfą purpurowo-białą i sznurami złotemi, jakby wyzywając moskiewskie kule.

I oberwał — za Czachowskiego, jak się pokazało, bo mundur świetny omylił kozaków.

Śmiał się chełpliwie ten cały djabeł, gdy mu żyd felczer kulę wyjmował (a postrzelili go wcale ciężko!) przechwalał się i żartował, że od samych Moskali polskim »gietmanem« pasowany.

Szkoda tego człowieka... wieczna szkoda!... — rozmyślał pan Jeżewski, przypominając, co się dalej stało.

To, co się stać musiało. Żelazna dłoń Czachowskiego musiała albo złamać rozhukaną niesforność lisowczyka, albo też musiał Stamirowski iść do djabła.

Poszedł do djabła. Sprzykrzywszy wnet sobie, pierwszej lepszej nocy umknął z obozu, uprowadzając pięćdziesięciu swoich jeźdźców i innych ze dwudziestu na dobitek, którym dyscyplina Czachowskiego zbyt ciężyła, i radziby pohulać...

Hulali też, hulali pod Stamirowskim, aż się stali postrachem gorzej swoich jak Moskali, choć sprawiedliwość przyznać każe, że i Moskali nieraz krwawo ugryźli; ale już nie tyle oni powstańcy, co Bogiem a prawdą raczej zbóje!

Rząd Narodowy zaocznie skazał Stamirowskiego na śmierć, Czachowskiemu polecając wykonanie wyroku.

Nad Pilicą, w rawskiem, gdzie obecnie operował, dopadł go wreszcie Czachowski. Widząc się otoczonym, awanturnik nie uciekał, ale nadrabiał zuchwalstwem i gęstą miną; z rękami skrzyżowanemi na piersiach, z lekceważącym uśmiechem, naprzeciw Czachowskiego szedł.

»Aresztuję pana w imieniu Rządu Narodowego!«

»Ja kpię sobie z Rządu Narodowego i kpię z pana pułkownika!!!«

Czachowski na to z konia doń strzelił, sąd czyniąc doraźny — i nie oglądając się czy żyw czy zabity, odjechał z zimną krwią. Bandę Stamirowskiego rozpędzono, wsypawszy tęgie baty każdemu z kompanów — konie i rynsztunek zabrano dla oddziału.

Złe ziele jednak tak łatwo nie zginie.

Stamirowski, ciężko ranny, wyżył przecie. Ledwo się wyleczył, zebrał nową bandę i broił na nowo — aż go wysłany przez Czachowskiego kapitan Markowski pochwycił naostatek, pod mur stawił i rozstrzelał.

Stamirowski pod lufami karabinów drwinkował jeszcze zuchwale i pożegnał swego sędzię krwawym żartem: »Do jak najprędszego widzenia na tamtym świecie, kolego!«

Okrutne życzenie spełnić się wnet miało! Markowski, dostawszy się w ręce Moskali, gdy go w kajdanach wieźli do Iłży na sąd, długą stalową szpilkę wbił sobie w serce, że już trupa dowieźli...

Po egzekucji Stamirowskiego, pan Jeżewski dobrze zapamiętał, Czachowski cały dzień chodził chmurny i zły.

»Mógł stać się bohaterem. a skończył jako zbój!« — tak się kiedyś odezwał, wzdychając, żelazny wojak o nieszczęsnym oczajduszy...

Trafiały się i epizody ucieszne! Jak z tymi panienkami, co to z Radomia z pensji uciekły, żądne laurów amazonek...

Zajechały rozklekotaną żydowską furą do obozu, do Czachowskiego »koszar« w iłżeckiej puszczy — cała ósma klasa, dziesięć panien, jak dziesięć róż, wszystkie z obciętemi już włosami, w powstańczym stroju, a tak wykoncypowanym, aby był jak najbardziej do twarzy. Zawadjacka czapeczka - rogatywka — pod narzuconą z fantazją na ramię szamerowaną kurtką koszula jedwabna »garibaldówka«; blondynki miały niebieskie, brunetki zaś takuteńkie, jakie nosił sam Garibaldi: aż strach jakie czerwone!

»My także chcemy bić się za Ojczyznę!!«

Młodzi powstańcy wprost w zachwyt wpadli. Całkiem z innym animuszem będzie teraz walczyć człeku, pod oczami tych ślicznotek!

Całe to bractwo na gwałt włosy strzygło, goliło się, myło w pobliskiem strumieniu, żeby przecież być do ludzi podobnem, nie do jakichś leśnych straszydeł!

Cóż, kiedy całą uciechę popsuł pułkownik. Zaciął się stary, że święty Boże nie pomoże! za nic przyjąć nie chciał panien do oddziału, i zapowiedział najkategoryczniej, aby tymsamym Joskiem, którym przyjechały, wracały bez zwłoki skąd przyszły, do Radomia.

Jedna bruneteczka, snać śmielszej natury, podniosła przecież łebek do góry, i stając przed Czachowskim oświadczyła czupurnie w imieniu swojem i sióstr-amazonek, że »choćby niewiedzieć co«, one i tak zostaną!

A Czachowski jak nie huknie: »Milczeć smarkulo, bo w skórę dać każę!!!«

I panienka w bek, to się rozumie...

Joskową furą, ciągnioną przez parę jasnokościstych, dychawicznych szkap, odjeżdżały z obozu niedoszłe rycerki w czerwonych i błękitnych »garibaldówkach«, powracały jak niepyszne pod skrzydła pani przełożonej...

Młódź zaś powstańcza na pułkownika gorzko wyrzekała, ale cichaczem, tak, by pułkownik przypadkiem nie dosłyszał broń Boże!

»Stary dziadyga! że jemu ze siedmdziesiąt lat, to już i nam uciechy żałuje!«

»Taki brus! taki brus! żadnej galanterji dla dam!«

»Wiecie, kiedy się to biedactwo, ta czarnuszka, co ją tak sfukał, tak rozpłakała żałośnie, słowo honoru koledzy, myślałem, że mi się serce rozpłynie!«

»Tak to bywa... zapomniał wół, jak cielęciem był« — zakonkludował filozoficznie jeden z powstańców.

. . . . . .

Do tego wodza, co nie znał litości i trwogi, pospieszył był Jeżewski prosto z Litwy, prawie z pod stóp szubienicy Zygmunta Sierakowskiego. Po tem wszystkiem strasznem, na co tam patrzał, co tam przeżył, dusza jego jakby kirem była nakryta, i już nie wierzył w zwycięstwo dzisiejsze: gdzieś przedaleko, za błękitami ono, i Zwycięzca... Kiedyś, kiedyś gdy z nas już może nie pozostanie i kości...

Ale krwi, ale zemsty łaknął tą duszą bólem przeoraną — a tak wierzył, że nikt się pomścić nie zdoła krwawiej niż ten, niż Czachowski, nim padnie naostatek...

Nikt, tak jak on, nie doniesie w twardych dłoniach nieugięcie aż do końca, honoru Polaków, by go oddać Bogu tylko na niebie!...

IX.

Śmierć Czachowskiego!... srebrnozłoty, rzeźwy ranek Listopada, srebrny od szronu, który po mroźnej nocy świat przyodział błyszczącem szkliwem, złocisty od młodego słonka, co niewiele jeszcze wybiegło nad osędziałe pola Wierzchowisk.

Przed chwilą zgiełk walki, wystrzały, szczęk szabli o szablę w kryształowem powietrzu przeczystem, przecichem, jęki ginących...

A teraz już milczenie. Na drodze wśród pól pod przydrożnemi topolami rozciągnięte ludzkie ciała krwawe... broń leży porzucona, leżą końskie trupy...

Mróz ściął kałuże krwi: mienią się w zimnem, jasnem słońcu, różowe, koralowe, jak wielkie zamarzłe kwiaty...

...Przechodniu! idź, powiedz Ojczyźnie, że wierni do ostatka, tu spoczywamy polegli!...

. . . . . .

Po tę śmierć, rycerskiego zawodu koronę, Czachowski z za Wisły pospieszył, z Galicji, dokąd cofnął się był przed niejakim czasem. Nie na spoczynek, o nie! (»dość będzie czasu wypoczywać w grobie!«). Nowe siły organizować, bo oddział jego, stratami i trudami długomiesięcznych walk wyniszczony był do ostateczności.

Dwudziestego października, zasilony świeżym z Galicji ochotnikiem, rwącym się na Moskala, ale mało jeszcze sprawnym, boć to wszystko na łeb, na szyję!... przeszedł Czachowski Wisłę w bród, stanął znów na sandomierskiej ziemi, widowni poprzednich swoich bojów — i nie zwlekając, jutro zaraz bił się pod Rybnicą, pozajutrze pod Jurkowicami...

Rybnicki sukces, jurkowicka przegrana, jeden miały skutek: oddział topniał jak śnieg...

Straty w zabitych, rannych i w niewolę wziętych, do trzystu blisko ludzi — z oddziału co nie liczył i tysiąca!...

Rozejrzy się wódz wkoło siebie, a ze starszych, doświadczeńszych oficerów, co przy nim walczyli od początku, od pierwszego dnia, dziś niema prawie już nikogo...

Od kuli w bitwie, po żołniersku, Eminowicz, prawa jego ręka, i waleczny Dobrogoyski, syn męczennika za ojczyznę, w rosyjskim instytucie chowany, jako rosyjski oficer przeciw powstańcom wysłany — a oto patrz! Polak i najdzielniejszy powstaniec! Od kul pod »kazionnym« murem Jankowski, Kononowicz; z własnej ręki nieszczęśnik Markowski...

»To i na mnie, widać, już czas, starego waszego komendanta!«

Zda się, on sam to przeczuwał, że koniec się zbliża, i jakby mu już tylko szło o to, by zginąć najsławniej, najpiękniej, rzucał się w hazardy zuchwałe, ważył na szaleństwa...

»Śmierć nasza teraz więcej ojczyźnie przyniesie niż życie...

...Aby nas długo pamiętała Polska -- i popamiętali Moskale Czachowszczyków!«...

Na oddział w Rybnicy, Jurkowicach straszliwie przetrzebiony, rzucił pułkownik Protopopow, jak psów gończych sforę zajadłą, lotne kolumny dońskich kozaków, strzelców i dragonów pod Worończem, Assiejewem i Miedjanowem; Assiejew zwłaszcza, Czerkies z rodu, partyzant zawołany, szczególnie zaciekły w tropieniu powstańców.

Rozsypała się ta ćma po polach, po lasach, na obławę, na łów...

I przyszedł dzień 6-go listopada, dzień ostatni!...

Wczesnym rankiem, po noclegu we wsi Krępie, Czachowski w dwadzieścia pięć koni oddalił się od oddziału, by w sąsiednich Wierzchowiskach odwiedzić córkę zamężną, Leszczyńską, której dziś przypadały imieniny.

Stary wódz córkę tę bardzo kochał — i wśród tych srogich tarapatów, gdy niepewny każdy dzień, chciał ją dziś, ot, choćby na chwilę, choćby tylko z konia, uścisnąć i pobłogosławić.

Ale Assiejew czuwał, co od kilku dni niezmordowanie, niepostrzeżenie szedł za Czachowskim trop w trop...

Na jadących polną drogą runęli naraz kozacy i dragoni, jak z pod ziemi z pobliskiego gaju wyrośli, i na podwodach nadjechała piechota w cwał. Gruchnęły salwy, jedna, druga, trzecia...

Stupięćdziesięciu z górą sołdatów na dwudziestu pięciu powstańców...

Nadeszła chwila... Z zimną krwią, z nieporuszonym spokojem patrzył losowi swemu w oczy Czachowski.

Może jemu i nie żal?... Może on i rad, sprawiwszy swoje, tak po żołniersku odejść, gdy wokoło, w całym kraju, już konało powstanie?

Cofali się nasi. Nie było rady! Ustępowali, odstrzeliwując się Moskalom. Ostatni, w arjergardzie, ustępował Czachowski, jadąc zwolna, gęsto prażąc z pistoletów w nacierający coraz bliżej tłum sołdacki.

Śmierć zaglądała mu w oczy, a on powiek nie zmrużył: dawno wiedział, że mu taka pisana, w polu i rycerska, i szedł naprzeciw niej z czołem podniesionem — nie kusił się ucieczką życia ratować.

Oświetlało śmiertelny ten odwrót słońce wschodzące, jakby uśmiechnięte i ze snu jeszcze różowe, a nic nie wiedzące, co tam w dole, na krwawej ziemi!

W Jeżewskiego pamięci obraz na wieki wyryty tej wielkiej w swojej prostocie chwili ostatniej, dostojnej bohaterstwem, co na nic już nieprzydatne, tylko świecić będzie przyszłym pokoleniom jak jasna pochodnia...

Czachowski swoim ludziom, którzy przed nim na drodze, ostatnią rzucił komendę: »W skok!«

Nie uratujecie już nic i nikogo!

Ruszyli cwałem, znikli za laskiem, na rozkaz wodza salwując życie, posłuszni!!!

Och! Jeżewski dziś jeszcze, gdy służbistość tę wspomni, z pogardą splunie!!!

Przy Czachowskim tylko pięciu pozostało, co mimo rozkazu, odstąpić go nie chcieli; trzech oficerów: Józef Męciński, Jan Prędowski, on, Jeżewski trzeci, i żołnierzy dwóch. Nazwisk żołnierzy tych on nie pamięta, i nikt już nie pamięta!... tych nieznanych bohaterów!

Już, już, dragoni spadali na kark jak burza...

Zwarli się. Szczęk, brzęk, pałasz o pałasz. Spięły się konie...

Przed pułkownikiem stanęli murem wszyscy pięciu, bronić do ostatniej kropli krwi. Na Męcińskiego najechał sam Assiejew, śmigły Czerkies o brwiach groźnie zrosłych, z czarnymi jak heban faworytami.

»Zdajsia!«

Męciński w odpowiedzi z pistoletu pali; chybił, Assiejewa tylko osmalił...

Rzuci się Czerkies, jak ranny żbik... Biją się!! biją!! szczęk! brzęk!

Assiejew, człek olbrzymiej siły, jednem straszliwem cięciem przeciwnikowi dłoń odrąbie lewą, że zwiśnie na skórze tylko, drugiem aż do mózgu czaszkę rozłupie...

Męciński z konia się wali, a leżącego jeszcze rąbie szablami nadbiegła sołdacka zgraja.

Obok Jeżewskiego, Prędowski również pada, pada żołnierz jeden i drugi.

Jeżewski, obskoczony, jednym strzałem wyprawił do djabła dwóch Moskali: »jak Boga kocham, piękny strzał, dublet!!« — przez głowę mu przeleci myśliwskie porównanie w tem mgnieniu ostatecznem, nim kulę w piersi dostanie, co go wznak powala.

Zaczołgał się do przykopy, pod krzak tarniny, brwią brocząc, i patrzy, i widzi...

Jak lew się broni stary Czachowski, ostatni! Konia pod nim ubili, pod drzewo przydrożne uskoczy i strzałami sześciu jeszcze sołdatów położy, do ostatniego naboju wystrzela! potem szablą się broni, rąbie, nie ustaje, niewidny prawie w błyskawicznych młyńcach — aż go psiarnia moskiewska obskoczywszy w pięćdziesięciu przywaliła, przysiadła, i siekła, rąbała z wściekłością, zaciekłością, póki nie zasiekła... aż na szablach dosłownie żelazny starzec rozniesiony!...

Tak zginął polski termopilczyk, pułkownik Djonizy Czachowski...

. . . . . .

Leżał Jeżewski pod krzakiem tarniny, bieluteńkim od szronu, jakby w maju od kwiecia, i krew z rany uchodziła go pomaleńku, pomaleńku...

Był jednak zupełnie przytomny...

Nad głową blade niebo, ledwo że błękitem zabarwione, podobne do wielkiej, w nieskończoność rozlanej wody.

Ze ziemi tam, z polnej drogi, gdzie leżą pobici, jęki wstają... jęk się zerwie i znów ścichnie... widać nie wszyscy jeszcze pomarli...

Jeżewskiego nieskończona senność ogarnia, jakby z tą krwią, co z piersi przebitej płynie, wypływało i życie, a śmierć już kołysała na wieczny sen.

...Dziewczynko!... Maryjko!... już przepadło... już ani ty mnie... ani ja ciebie nie zobaczę!...

Sen li to był, czy omdlenie? Chwilę trwał czy godzin parę?...

Zbudziły go jakieś głosy, szorstkie śmiechy.

Spojrzał: kozacy obdzierali zabitych. Obszukiwali kieszenie, potem buty ściągali, ubranie, aż do bielizny.

Widział... po białej, oszronionej drodze za nogi włóczyli poległych, gdy but jaki zbyt oporny, dość prędko nie ustępował.

Tak patrzał Jeżewski, jak jeden z powstańców, z tych, co nikt nigdy nie będzie wiedział imienia! przecknął się naraz, i podniósł od ziemi twarz krwią zalaną, tak zalaną, żeby go i matka rodzona nie poznała... a kozak chwycił go za włosy, głowę mu w tył odchylił i poderżnął gardło — ot, jak rzeźnik barana zarzyna!

»Jak teraz jemu, tak mnie za chwilę...« — i Jeżewski poczuł śmiertelne, lodowate zimno w kończynach palców, i strach, dziki, oszalały strach przed śmiercią, przed taką śmiercią!!!

Ba... cóż? Tylko leżeć i czekać swojej kolei! Ruszyć się przecież nie może!!

Nim jednak na niego kolej przyszła, pierw na innego... Który z brzegu!!

Ujrzał, jak kozak ściągając buty Męcińskiemu, który leżał najbliżej, w kałuży krwi już ściętej w lód czerwony, — zaparł się ciężkiemi buciskami o martwe zda się ciało, szarpnął brutalnie...

I poległy się obudził... jęknął, oczy szeroko roztworzył.

»Żyw, aa?«

Kozak z najzimniejszą krwią powolnie, metodycznie odgryzał kapiszon naboju, karabin prochem podsypywał, nabijał, przybijał...

Patrzyły na te przygotowania oczy Męcińskiego straszliwe od zgrozy, coraz, coraz się szerzej roztwierające...

Jeżewski widział wyraz tych oczu i razem z tamtym cierpiał męki śmierci, co już, już idzie, co już już uderzy, za mgnienie...

Padł strzał, wymierzony od niechcenia, jak na wiwat... z odległości ramienia człowieka stojącego nad rozciągniętym na ziemi.

Kula Męcińskiemu policzek rozdarła, pod samem okiem ale jeszcze nie zabiła, Łazarza tego, całego w ranach (dwadzieścia trzy dostał rany!) — bo jeszcze te oczy, te oczy dalej patrzyły, gdy krew z rany buchała strumieniem.

Nagle tętent na zmarzłej drodze i jak jastrząb spadł na kozaków Assiejew, na żerujących szakali.

Snać znał ich jak złe szelągi, snać się domyślił co się tu wyrabia, więc wrócił w cwał!

Jezusie Maryjo!! Toż to była satysfakcja!!!...

Ranny Jeżewski w plątaninach tarniny osędziałej patrzył z dziką radością, jak Czerkies wściekły prał kozaków bez litości, jak pod jego pięścią broczyły krwią gęby sołdackie, rozpłaszczały się nosy, łamały zęby w kułak wypluwane...

Wydawało mu się, że chrzęst kości gruchotanych słyszy, i przytakiwał w sercu rozżartem:

»Dobrze ci tak!! a widzisz!! a masz teraz za swoje! a masz!! a masz!!!«

W służbistych postawach, wyciągnięci jak struny, z rękami »po szwam«, bez jednego słowa protestu brali w »mordu« Moskale, a Czerkies w rosyjskim mundurze prost szalał, prost się zapamiętał!!... kto go i wie, za co się tak mścił?...

Stanęły przed Jeżewskim w jednym błysku kaukazkie lata i w śmiertelnych tamtejszych walkach widywane podobne Assiejewowi temu twarze... twarze, jak bratnie...

...Za co ja wtedy przeciw nim?...

... Za co on dziś przeciw nam?... Ni za babkę, ni za dziadka!!!

Co Polak do Czerkiesa, u djabła?... Na dwóch końcach świata...

Tyle, tyle przez mózg przelatuje, kiedy człowiek tak leży we krwi!

Assiejew wydawał rozkazy: Zabitych grzebać! wot co, durak, gdzie będziesz cmentarza szukał? tu mi zaraz, w przykopie!...

Czachowskiego tylko zwłoki na podwodę!

Porwali i uwieźli krwawy łup. Uderzała o trzęsące deski wozu ta martwa, ta szablami rozrąbana głowa wodza, gdy ruszali w galop, w skok!

Rannych odstawił Assiejew do najbliższego dworu, do Wierzchowisk: Jeżewskiego, Męcińskiego, Prędowskiego, który również ciężko porąban, ale żywy.

Wyszła im naprzeciw pani Leszczyńska, już powiadomiona o śmierci ojca, którego uwielbiała — sama jak śmierć blada, ale bez jednej łzy i zupełnie spokojna.

Spotkały się oczy córki Czachowskiego z oczami tego, któren na Czachowskiego obławę, jak na zwierzynę!... aż zmógł go i zabił!

Pozostała nieporuszoną... i tą zawsze polską panią, co to pod własnym dachem nawet wobec wroga, wobec najbardziej przeklinanego! wyniosłą grzeczność i spokój zachowa... nie okaże, że pęka serce...

»Do waszego dworu ja moich plenników, bo do szpitala nie dowiózłby! Odpowiadacie mi za nich, pani Leszczyńska!«

Skinęła głową, i nie zwracając uwagi na rosyjskiego oficera, na zwycięzcę, jakby go tu wcale nie było, ratunkiem się zajęła.

Przetętniały wreszcie sołdackich koni kopyta; precz odchał Assiejew.

Pani Leszczyńska rozejrzała się wokoło. Była sama, zupełnie sama we dworze ze starą klucznicą i trzema ciężko rannymi.

Cała służba rozleciała się w panicznym strachu, pochowała gdzieś w mysie dziury, na puszczoną przez kogoś pogłoskę, że teraz Moskale, »za to co im starszy pan wydziwiał«, mścić się przyjdą strasznie i »nas wszystkich wyrżną do jednego!«

Sama młoda pani w pustym domu... oto ojciec jej zginął, mąż gdzieś w powstaniu, nie wiedziała gdzie, nie wiedziała nawet czy żyje!...

I ta Czachowskiego córka nieodrodna, nie zważając, że drogi, że lasy pełne maruderów, rozwydrzonego dzisiejszym triumfem żołdactwa — osadziwszy przy rannych klucznicę, poszła do stajni, własnoręcznie do wózka zaprzęgła konia, jedynego jakiego Moskale pozostawili i pojechała przez lasy o trzy mile do miasteczka po doktora.

Minęły godziny, zapadł wczesny wieczór listopadowy. Rannym powstańcom to śmierć się roiła, to się roiło pamięci całe upłynione życie. Jeden Prędowski był nieprzytomny, tamci dwaj wszystko, wszystko wiedzieli... O którejś tam godzinie, Męciński nagle zażądał nożyczek. Podała mu je klucznica, nie wiedząc na co... A on rękę odrąbaną, jak krwawy łachman zwisającą, odciął sobie sam nożyczkami temi — upadła ciężko z łóżka na ziemię ta dłoń już trupia, a stara kobieta wydała okrzyk zgrozy...

Zaturkotała bryczka, zadźwięczał dzwonek. Wszedł proboszcz z ministrantem. Od jednego do drugiego chodził z tych młodych, którzy leżeli oto jak dębczaki siekierą zwalone, i dysponował na śmierć — bo śmierć już może za drzwiami.

Przyjechał także na wiadomość o tem co się stało, sąsiad Leszczyńskich, pan Jan Czarnecki.

Aż wreszcie, czy to wieczór był, czy już noc? powróciła pani Leszczyńska, przywożąc doktora.

Doktor był znany w całej okolicy dziwak, stary kawaler, sybaryta, wiecznie drżący o swoje zdrowie, i teraz, pierwsza była jego troska, czy się też nie zaziębił, jadąc w mroźny wieczór trzy mile opętane.

Obejrzał rannych. O Prędowskim zawyrokował: Nic mu nie będzie! Jeżewskiemu wyjął kulę, tkwiącą między żebrami i również obiecał, że będzie zdrów.

Aż za głowę się chwycił, posłyszawszy opowiadanie, jak to Męciński nożyczkami sobie tę dłoń...

»No, ale to już na jedno!...« — i ręką tylko machnął.

Za chwilę w drugim pokoju mówił do Leszczyńskiej:

»Będzie mnie pani jeszcze miała na sumieniu... już czuję w płucach kłócie! A Bogiem a prawdą, nie było mnie po co

sprowadzać w taki czas, bo ci dwaj wyszliby i bez doktora... a ten trzeci, co ma głowę dziurawą jak sito i rękę uciętą, to temu już grabarza trzeba nie lekarza, bo to już trup!«

Doktor mówił tak głośno, że Męciński dosłyszał, mimo straszliwych ran najzupełniej przytomny.

A jako był człowiek krewki i niespożytych sił tak duchowo jak cieleśnie, i może instynktem czuł, że wszystko ta młoda, jędrna żywotność zwycięży — zawołał na Czarneckiego w głos, rozmawiającego z doktorem:

»Jasiu! a powiedz temu staremu durniowi, że on już dawno będzie ziemię gryzł, kiedy ja jeszcze długie lata zdrów będę chodził po świecie!«

...Czyli zdoła silna wola, żeby żyć, śmierć odegnać?

Jeżewski gotów był w to uwierzyć, kiedy Męcińskiego wspominał!

Wyżył Łazarz, ranami okryty... i szczęśliwszy od towarzyszów, uniknąć miał niewoli.

Jeńcy bo oni byli, »plenniki«, ci leczący się w wierzchowickim dworze. Wróci zdrowie, paszoł do tiurmy czy na Sybir!

Co parę dni rosyjskiemi oficerami zapełniał się pokój, w którym leżeli, śledzącemi czy są, czy nie uciekli, czy wnet już będzie można ich pod sąd?

Jeżewskiemu w gorączce często tak się zwidywało, że w tych zielonych mundurach, w tych czerwono-złotych akselbantach, to djabły, co po niego przyszły, brać na męki wieczne!

Męką były już same te odwiedziny. Nigdy od nich spokoju... Nigdy nie wiedzieć, czy to w dzień, czy w nocy...

Aż przyszedł czas, gdy Jeżewski i Prędowski tak już pozdrowieli, że nie było rady! Do więzienia musieli, do Radomia!

Prędowski, jako austryjacki poddany, nadto się nie frasował (istotnie odstawiono go tylko później poza kordon) — Jeżewski zaś, którego w razie wykrycia prawdy, że rosyjski oficer, czekał stryczek niezawodny, optymista niepoprawny wmawiał w siebie, że prawdy nie wykryją, bo i jak? W Kongresówce nie znała go przedtem żywa dusza, w powstaniu walczył pod nazwiskiem Władysławskiego z Krakowa.

»Et, nic mi nie zrobią! Łgać będę aż do skutku!« — pocieszał się, odstawiany do Radomia.

Męcińskiego zaś uratował od niewoli, kto? — Assiejew!!!!

Kręcąc się wciąż po okolicy, którą gorliwie »oczyszczał« z ostatnich niedobitków oddziału Czachowskiego, zjawił się Czerkies pewnego dnia w Wierzchowiskach z głośnym brzękiem ostróg i szabli, i tak do pani Leszczyńskiej:

»Ja z tym waszym powstańcem bez ręki skwitowaćby się rad... On maładiec, gdy mu »zdajsia« wołał, do mnie z pistoletu... Nu, ja jemu rękę uciął i porąbał mało a na śmierć... cóż? to wojna! a teraz od tiurmy zbawię, na moju duszu! Niechno on za awstryjską granicę...«

Przewieziono ledwo jeszcze trzymającego się na nogach Męcińskiego do majętności Czarneckiego na samej galicyjskiej granicy, i stamtąd, w szczelnie zamkniętej karetce, której Assiejew przydał eskortę z sześciu kozaków, że to niby rannego oficera wiozą, odstawiono za kordon.

Czerkies, tak czyniąc, narażał całą swoją karjerę, może nawet wolność i życie; nie miał jednak już czasu odpokutować za czyn szalonej wspaniałomyślności, bo w krótkim czasie umarł na tyfus.

W rodzinie ocalonego Męcińskiego długie lata przechowywano pamięć i fotografję szlachetnego nieprzyjaciela.

. . . . . .

Całe trzy dni po śmierci objeżdżały posiekane Czachowskiego zwłoki na moskiewskiej podwodzie tę sandomierską ziemię, tę rodzoną, której był synem i chwałą — w Radomiu na rynku pysznili się nimi zwycięzcy, zrywając wojłok skrwawiony, którym trup nakryty, ukazując trjumfująco ludowi:

»Patrzajcie, Polaki! Wasz król!!...

...Już nie będziesz ty siwy czorcie, polski gietmanie, carskim sołdatom snu spędzał z powiek!

A ludzie płakali... płakali »starego ojca«, ostatniego obrońcy!

Gdzie przez wieś przejeżdżała podwoda z martwym wodzem, kobiety klękały na drodze, klękać kazały dzieciom, zawodziły ze łzami pieśni za umarłych:

Dobry Jezu a nasz Panie,
Daj mu wieczne spoczywanie!

Aż czterech najpoważniejszych obywateli, Jan Czarnecki, Kormarzewski, Kalisz i Domaszewski do gubernatora w Radomiu się udało, aby pozwolił na pogrzebanie zwłok.

Pozwolenie dał pod warunkiem, że nie będzie żadnych demonstracji, czego przypilnować miała sotnia kozaków.

Pod strażą kozackich spis chowano Czachowskiego.

Pochowano go pod kościołem parafjalnym w Bukownie, a na grobie położono wielki kamień, prosty polny szary kamień, szorstki i nieskruszony, niby symbol twardego żołnierza, który tam pod ziemią...

Na kamieniu napis wyryty:

Djonizy Czachowski, żył lat 68. Zakończył ziemską pielgrzymkę 6 listopada 1863.

Leży w grobie żelazny pułkownik, w kawałki nieomal rozsiekany...

I czeka, rychło trąbki żołnierskie zagrają na polskie zmartwychwstanie...

Bo krew poległych bojowników posiewem nowych bojowników...

Gloria victo! Zwyciężonemu chwała!...

Bywa, że los z ludźmi tak dziwaczne historje wyprawia, takie urządza spotkania, że niech-no się schowają w mysią dziurę najbujniejsze wymysły romansopisarzy!

W Radomiu, prowadzony w kajdanach z aresztu na sąd, spotkał Jeżewski, więziony jako Władysławski z Krakowa (a więc poddany austryjacki, nie rosyjski, broń Boże!) dawnego swego pułkownika z Kaukazu, Osipowa — i wszystko się wydało.

To już doprawdy szczególniejszego pechu i szczególniejszego zbiegu okoliczności było potrzeba!! Bo żeby ten właśnie z pod Kazbeku w Kongresówce, i właśnie w Radomiu!!...

Roztrącił stary pułkownik sołdatów i w pełnym mundurze, dzwoniący medalami, ogromny, groźny, wąsaty, przeciskał się prosto jak w dym do swego praporszczyka, który przed rokiem za nieograniczonym urlopem wyjechał, i już odtąd bez wieści...

»Jeżewski!!! Jej Bohu! Co wy?... Co z wami??«

Zakrzepli na miejscu sołdaci z konwoju, widząc mundur chresty i medale.

Podniósł głowę więzień i spojrzał pułkownikowi prosto, śmiało w oczy. Nie spuścił wzroku.

»Jak pan widzi, panie pułkowniku!«

Już nadbiegał oficer prowadzący konwój, rozpytywał...

Na marsowej twarzy Osipowa blizna z 31-go roku, od polskiego pałasza, chlaśnięta od ucha do ucha, stała się nagle siną, i sino-czerwoną cała twarz...

I kląć zaczął naraz, jak tylko rosyjski oficer kląć umie!... niewiadomo, czy że odnalazł swego oficera tak... w kajdanach, buntowszczyka?... czy to że on sam, sam nieopatrznie go zdradził?...

Że go ni mniej ni więcej, tylko wydał na śmierć!!

Podążył cały pochód do sądowego gmachu, gdzie oczekiwały uroczyste zielone mundury, czerwone ze złotem akselbanty, wojenny sąd...

Osipow na czele pochodu jako klasyczny świadek... niespodziewany świadek! Aż się zaroiło jednej chwili, jak w szerszeniem gnieździe, wśród tych zielonych mundurów z radości, że prawda tak na wierzch, jak oliwa!

A mało już brakło, byłby ich ten dezerter, ten zdrajca, do cna w pole wyprowadził tym swoim bezczelnym spokojem, tymi twierdzeniami o swojem austryjackiem poddaństwie, w których go na żadnej sprzeczności ani rusz było dotąd wyłapać — taka była szelma na cztery nogi kuta!!

Tak im już święcie był wmówił tego Władysławskiego z Krakowa!

Krótko trwała sądowa procedura.

Sprawa, jak wół!... jasna, jak słońce!

Pułkownik Osipow świadczyć musiał, oczywiście, i świadectwo to jego rozstrzygnęło o wyroku.

Mógł być tylko jeden: na powieszenie... Oficer carski, zdrajca, dezerter...

Pisały coś długo, pisały zielone mundury... skrzypiały pióra po papierze...

Przez okna sądowej sali patrzył więzień w padające gęsto płatki śniegu, i mówił sobie, że trudno!... że widać już tak mu było przeznaczone... i że ostatecznie, raz kozie śmierć!

Nim odczytali Minos, Eakes i Radamantes w złotych akselbantach, co tam napisano, rozległ się w tej ciszy głos pułkownika Osipowa, dziwnie schrypnięty, przerywany ciężkim oddechem.

O dawnych czynach i zasługach tego oficera, swego podwładnego... o zasługach wobec rosyjskiego państwa...

Ośm lat walki na Kaukazie, rana, krzyż carowej Anny za waleczność...

»Pod moją komendą cztery pełne lata, jej Bohu! sławno stawał, czestne słowo!«

Podnieśli głowy, niezważając, ci trzej tam, niby trzej piekielni sędziowie... Środkowy odczytał głośno, co Jeżewski wiedział na amen, że odczyta, co wiedział, że za moment padnie w ciszę tej sali...

Na degradację i na powieszenie!

...»Ja tę waszą degradację!!!...« — i jakimś mimowolnym śmiechem, podobnym do łkania, skazaniec się zakrztusił.

Za oknami białe płatki wirowały, wirowały... Święta były za pasem, wigilijny dzień!...

Zeszłoroczna wigilja... Maryjka... jazda z Maryjką saniami na pasterkę, w tę miesięczną noc...

Raz kozie śmierć!!!

Odprowadzono go do więzienia.

Wieczorem odwiedził go w więzieniu pułkownik Osipow.

Mundur »pełnego« pułkownika, krzyże i medale, zrobiły swoje, otworzyły drzwi zaklęte.

Paszoł!!! krzyknął stary z nagłą złością na sołdata, co go tu wprowadził, i sołdat wystrachany znikł jak cień.

Osipow przed Jeżewskim stanął, ręce załamał:

»Jeżewski! Jeżewski! co wy też najlepszego!!...«

»Coby na mojem miejscu każden uczciwy człowiek... coby na mojem miejscu sam pan pułkownik!...«

»Jeżewski, nie gadaj! Jakże... jakże honor? Mundur przecie, przysięga!! carowi przysięgałeś! Wszystko ty, w błoto!... wszystkoś podeptał!«.

»A czy mnie się kto, panie pułkowniku, pytał, kiedy w ten mundur rosyjski ubrali, czy ja chcę, czy nie chcę?... Czy dobrowolna była moja przysięga???«

»Wy Polaki!... wy Polaki! Nieszczęście... wieczne nieszczęście! Nu, ja z wami Polakami nie pierwszy raz... a ja wam nie wróg, na moju duszu! ja was w 31-szym... wot, pamiątka! Wasza polska panna jak brata leczyła... a potem, kiedy u nóg leżał i żebrał dobrego słowa, jak psa odtrąciła,

mnie, Moskala! Panna Aniela... kare u niej warkocze, oczki kare... oj, wspomnieć lubo, a żałośnie! Wot, stary durak!...«.

Za łeb się chwycił i desperował:

»Że to ja, ja was zdradził!! nie opamiętał się... widzę, toż i wołam: Jeżewski, co wy?? To my nie rok, nie dwa tam z czortami Czerkiesami!... nie raz, nie dwa śmierci patrzyli w oczy razem! Jeżewski! bodaj kark ja był skręcił sto razy, nim wam tak temi rękami prosto stryk na szyję!«

»Trudno!... stało się, panie pułkowniku! Wiem, że pan pułkownik nieumyślnie mnie wydał... że rad byłby zamilczał, wiem... To też za to wszystko, co przez tamte lata... a i za to, co pan pułkownik do mnie teraz... jak człowiek do człowieka, nie jak przełożony do dezertera!... wdzięczną pamięć zachowam!«

Naraz zaczął się śmiać; nie mógł się całkiem a całkiem wstrzymać od śmiechu.

»Co prawda, to nie długo zachowam, bo mnie powieszą!«

Szlochanie pierś Osipowa rozdarło.

»Słuchaj! jutro, pozajutro ciebie jeszcze nie powieszą! wasza polska wigilja, wasze Gody... my nie pogany, coż, u czorta! Słuchaj! Ja do Berga do Warszawy, dziś jeszcze, do generał-gubernatora, za tobą prosić! U mnie siostra cioteczna jest za Berga bratem. Jeżeli, słuchaj... ułaskawienie... to wiedz, że to tobie twój stary pułkownik!...«

Chwycił Osipow skazańca i przycisnął do piersi, a po srogiem jego obliczu, straszliwą blizną przeciętem, leciały łzy jak groch.

. . . . . .

Czterech ich siedziało razem w celi Jeżewskiego, skazanych na powieszenie, w ostatni wieczór przed egzekucją, raczej w ostatnią noc, bo już północ dochodziła.

Dotąd trzymano ich w osobnych celach, ale już dzisiaj, zważywszy na jutrzejszy dzień, pofolgowano im i pozwolono się zejść.

Kapitan Malinowicz, przełożony więzienia, Polak niestety a najgorliwszy z gorliwych w służbie carskiej, taki zwykle formalista nieubłagany, na ten wieczór odstąpił od litery prawa. Na wspaniałomyślność jakoś widać zebrało się szelmie!

Siedzieli tedy razem. Byli już zaopatrzeni na śmierć, po spowiedzi i przyjęciu Sakramentów — dziś rano, w więziennej kaplicy...

Już po rozpisaniu listów do rodzin, kto tam jaką rodzinę miał — po zakończeniu wszelkich rachunków ze światem.

Już jakby z »tamtej« strony...

Noc była czarna i głucha.

Czterech ich było.

Był Węgier, rotmistrz Bornemisza, któren austryjacki mundur cisnął o sosnę, by iść do polskiego powstania i w niem dał piękne dowody przysłowiowej węgierskiej waleczności — a teraz, choć obcy poddany, skazany był na śmierć, iż jako komendant oddziału kazał powiesić rosyjskiego oficera, któren się nieludzko znęcał nad powstańcami.

Byli i dwaj bracia Wolińscy, starszy żonaty i ojciec dwojga dzieci, młodszy student Szkoły Głównej. Ci w powstaniu należeli do tak zwanych »żandarmów wieszających«, wykonywujących wyroki Rządu Narodowego, a więc stosownie do obwieszczenia generał-gubernatora Berga, również podlegali karze stryczka.

Czwarty Jeżewski, carski oficer dezerter i »zdrajca«...

Bim! bam! — wybiła dwunasta na pobliskiej kościelnej wieży...

»Koledzy! zaczyna się nam ten dzień, dzień uroczysty, którego końca nie zobaczymy — chybaby cudem szlag trafił cara, Berga, Malinowicza i całą zacną kompanią!! A że się na ten cud nie zanosi niestety, więc na intencją toast wnoszę i piję, żebyśmy się trzymali chwacko aż do końca!« — rzekł młodszy Woliński z przesadną, chełpliwą swobodą, nalał z butelki wina, kieliszek podniósł i wypił.

Nawet wina kazał im dać Malinowicz na dzisiejszą uroczystość. O! Malinowicz to dżentelmen!

Starszy Woliński, którego widać myśl o młodej żonie i dzieciach maleńkich dręczyła nad wyraz, bo ponury był okrutnie, milczał, choć tamci jeden przez drugiego gadali jak ludzie w gorączce — drgnął nagle, oczy mu zapłonęły nienawiścią straszliwą, i swój kieliszek, wypiwszy, o ziemię rzucił i roztrzaskał.

»Na zgubę Rosji, na zemstę i na sprawiedliwą karę!!!«

W ręce Jeżewskiego spełnił toast Bornemisza:

»Za zdrowie Polski, bracie! Eljen Lengyel! Polak, Węgier dwa bratanki, od wieków i na wieki!«

»Jakże wam rotmistrzu, jakże?... — wypytywać począł go naraz niemogący znaleźć spokoju młodszy Woliński, jakby rękami natrętnemi, ciekawemi sięgał naraz do dna serca tamtego — jakże wam tak za cudzą ojczyznę umierać?... Bo my, to choć wiemy za co, to i nie żal!«

Krępy czarny Węgier o zadzierzystym wąsie odbił z miejsca:

»A wy, to nie umieraliście za naszą w 49-tym? Dziś nam się zrewanżować, bassama!«

W powstaniu 63-go sporo było Węgrów, tych zawsze wiernych Polski »bratanków«, zwłaszcza z pośród uniwersyteckiej młodzieży, i bili się oni dzielnie, żeby i za swoje Węgry nie potrafili lepiej!

»Eljen Magyar!« — zawołał nagle powstając Jeżewski, któren tylko te dwa słowa umiał po węgiersku.

Ucałowali się wszyscy z dubeltówki, potem napowrót na krzesła opadli.

I na dusze wraz z tą nagłą ciszą opadł im jakby ciężar podwojony...

Niechno na chwilę tylko zamilkli, nie silili się już na tężyznę, na przesadzanie się wzajem w tężyźnie, ciężar ten stawał się wprost nie do wytrzymania!!

»Zagrajmy w karty, bracia« zaproponował naraz Bornemisza, i dawniej, i »za życia«, jak się wyraził, wielbiciel kierowej damy. Konwersacja nie idzie, jakoś tak lżej czas...«

Na żądanie wystarał się skądś o karty wartujący żołnierz. Stare, zatłuszczone, żeby rosół wygotować!...

I grali. Grali w djabełka, ci czterej skazani na śmierć, trupy jutrzejsze... nie, dzisiejsze! bo przecież już północ wybiła....

Partja była ryzykancka, to się rozumie! Co kto przy duszy miał, to stawiał, nie namyślał się! Ułożono, że kto wygra pieniądze te pozostawi na nabożeństwo za dusze wszystkich czterech...

I wnet między Wolińskiemi podniosła się sprzeczka, czy Malinowicz pieniądze te ukradnie?...

Starszy, czarny pesymista, jak najgorzej trzymający o ludzkiej naturze, utrzymywał, że naturalnie!! Młodszy, widać niepozbawiony jeszcze złudzeń, protestował.

»Przecież i świnia nawet będzie świnią tylko do pewnej granicy!!«

I grali... Nad tymi ludźmi młodymi, zdrowymi, pełnymi życia i sił, którzy przecie ludzie umierający!... gdy tak we czterech nad stołem pochyleni, śmierć jako wielki nietoperz się ważyła, rozpinała tam w górze skrzydła czarne, mrozem wiejne...

Co chwila, to któryś spojrzał nagle poza siebie, jakby tam, za plecami, kogoś czuł... coś stało, niewidzialne...

Rozeszli się o drugiej nad ranem. Do drugiej było pozwolenie. Warta odprowadziła Jeżewskiego gości, każdego do swojej celi, i Jeżewski został sam, na te ostatnie godziny.

W pierwszej chwili odetchnął z ulgą, że już koniec złowrogiej komedji nareszcie, którą jeden przed drugim grał. Że nareszcie teraz będzie mógł być sobą!

Ale już za chwilę zrobiło mu się straszno, że odeszli.

»Już nigdy, nigdy więcej nie będę mówił z człowiekiem żywym!...«

Pan Jeżewski o tej nocy opowiadał nieraz później, po dziesiątkach lat:

»Państwo wystawiacie sobie najpewniej, że człowiek w takiej pozycji cierpi srożej, niż to prost sobie ludzki umysł zdolen imaginować! Zaś nie, dobrodzieju mój! Jak Boga kocham, nie łżę, ani się chwalę!

Ale w ten sposób to sobie, wiecie, rozperswadowałem, przypominając tę noc chyba setki już razy, że dusza ludzka tylko do pewnego stopnia cierpieć potrafi — a poza tę kreskę, trafia ją paraliż!

Ot co, ja tej nocy nic innego, tylko paraliżem byłem na duszy ruszony. Tak to już widać zrządził Bóg litościwy! Mówiłem sobie: tak a tak, za parę godzin cię powieszą, zamordują, ciebie coś zdrów jak ćwik i mógłbyś żyć ośmdziesiąt lat — i być szczęśliwym jak w niebie, z twoją Maryjką!

O Maryjce przez tych jedenaście miesięcy, upłynionych od wybuchu powstania, miałem przecież wiadomości coś trzy razy czy cztery... pantoflową pocztą, to się wie. Ja też pisy-

wałem skwapliwie, ile się razy taka pantoflowa okazja nadarzyła. Wiedzieliśmy oboje nawzajem i mocno wierzyli, że choć nas teraz rozłączyła ta bieda, to się przecież zawsze równo wiernie kochamy, i czekać będziemy na siebie choćby i dziesięć lat, choćby i niewiedzieć co!!

Jużem dziś tę moją dziewczynkę listem na wieki pożegnał... nie, nie na wieki, bo przecież jest, Bogu chwała, życie przyszłe i nagroda za krzywdy tutejsze! Oho, tam my będziemy górą w szczęściu i radości, a w płaczu i zębów zgrzytaniu nasze katy, car, Murawiew, Berg i Malinowicz, perekińczyk, na dokładkę!

Tak sobie rozmyślałem... ale wszystko to myślałem tylko, a nic nie czułem... Nawet wspomnienie Maryjki nie potrafiło mi tego strętwiałego serca zbudzić, ani matki, ani ojca wspominanie. Człowiek był poprostu jak ten kamień... A tu godziny na wieży biły jedna za drugą, i co jedna znów wybiła, mówiłem sobie: jeszcze trzy... jeszcze dwie... już tylko jedna... bo o szóstej zwykle, o siódmej najpóźniej, odbywały się egzekucje. Tę ostatnią, jakem o tem święcie był przekonany, godzinę przed śmiercią, przepędziłem na gorącej modlitwie. Nie był tam znów ze mnie wielki pobożniś za młodu, i w pułku na Kaukazie to i owo się zbroiło, krew nie woda, człowiek nie żył jak kapucyn, co się państwu mam zapierać!... Ale co wiarę w Boga i w święty nasz katolicki kościół tom nietkniętą uchował, jakąm z domu wyniósł, że nigdy mi nawet przez myśl wątpliwość żadna o Bogu, o wiecznem życiu!... Prost tak w tej sprawie ja, wojak, co go się różne wichry dość nanosiły po świecie, jakby dziecko małe! »Nie mój rozum!!« mówiłem sobie zawsze, gdy jeszcze n. p. w pułku na Kaukazie koledy moi filozofowali, ten się i ów niedowiarstwem popisywał... I teraz też, w tę ostatnią noc, było mi lżej, bom wiedział, że ze wszystkiem nie umrę i nie zgniję jak pies! bom ufał, że tam w górze spotkam przecie po latach Maryjkę i radował się będę stamtąd kiedyś Polski zmartwychwstaniem!

Tak dobrodzieju mój, czas płynął i płynął, już świt, już dzień, nie przychodzą i nie przychodzą. Szósta godzina, siódma, ósma... Ciągle mi się zdawało, że słyszę, jak po mnie idą... jak kroki sołdatów w ciężkich buciskach... uderzenia kara-

binowych kolb o ziemię... — a to tylko mnie tak w uszach szumiało.

Aż w końcu powiedziałem sobie: Wciórności!! niech raz już przyjdą, bo psiakrew, dłużej człowiek nie wytrzyma i zacznie krzyczeć w głos z całych sił, jak szaleniec!

O dziewiątej — właśnie przedzwoniła dziewiąta na kościele — wszedł do mojej celi Malinowicz. Elegant, jak zawsze, wyglansowany na ostatni guzik, z wąsami wysmarowanemi fiksatuarem, uperfumowany paczulą, aż w nosie wierciło. Jakaś taka dziwna mina, nibyto ucieszona, uśmiechnięta, a fałszywa, że nic, tylko dłoń swędzi!!...

Prosto z mostu pytam: »Cóż to? już chyba dzisiaj nie będzie egzekucji?«

A perekińczyk ten zatracony:

»Ciesz się pan! Udało się panu! Tamci trzej o świcie zostali straceni. Dla pana jeszcze wczoraj wieczór nadeszło ułaskawienie z Warszawy od generał-gubernatora. Nie powiadomiłem pana wcześniej, bom wczoraj zajęty był... wesoła się u mnie kompanja zebrała... karteczki, dziewczęta, no, pan rozumie!...«

I coraz fałszywszy, zjadliwszy ten uśmiech.

»Ale, ale, tak ja myślę... że przez tę noc pan odpokutował dużo grzechów!...«

Boże!! byłbym dał ochotnie kilka lat życia, teraz, com już miał rozdawać z czego, żeby tak tę szelmę w gębę!!!

»Ma tam pan w górze, widać, mocne jakieś plecy! Osobistą depeszą Jego Ekscelencji Berga ułaskawiony pan na dwanaście lat katorgi na Syberji i dożywotnie posielenie!«

Moi państwo, nie będę wam łgał, żem się mimo wszystko nie ucieszył, bom się setnie ucieszył, i błogosławiłem w tej chwili starego mego, poczciwego Osipowa z całej duszy! Bądź co bądź, zewsząd wrócić łatwiej jak z tamtego świata!

Ale że przez tę piekielną noc tyle mi się już w duszy nazbierało, nazbierało, że koniecznie potrzebowało wybuchnąć, inaczej udusiłoby mnie najpewniej! — i żem wiedział, jako mi teraz łajdaki nic już gorszego nie wymyślą, tom i wsiadł na Malinowicza, jak na tego burego psa:

»Niech was piorun trzaśnie! Niech was djabli wezmą z taką waszą łaską!! Bodajeście się nią udławili!!!...«

Zapatrzył się gdzieś stary, rozpowiadając, zapatrzył się całkiem w krwawe, zbiegłe dzieje.

Chociem wiedział, że żyć będę i że mnie już nie zabiją, miałem w tej chwili uczucie jakiegoś końca wszystkiego.... jakiegoś końca świata! Jakby wkoło mnie wyrastał nagle wysoki pod niebo mur, taki ślepy, głuchy mur »kazionny«, odgradzający od wszystkiego... od Maryjki, rodziny, kraju od samego życia!!...

...Już bo i z powstaniem, łaskawcy moi, był wtedy tak jak koniec... już ostatnie prawie oddziały, Bosaka, Chmieleńskiego, zniesione... Chmieleński rozstrzelany... na Litwie ksiądz Mackiewicz, co ostatni tam się bronił, powieszony przez Murawiewa... W Warszawie dyktator Traugutt, święty człowiek, dusza ze stali i kryształu! stał jeszcze na czele Narodowego Rządu... ale dziś ten Rząd... to, co się pozostało z powstania, to już nie wojna, lecz napowrót jakby spiskowanie tylko! Po lasach gasła już, jak ten pożar wytlony, orężna walka... ostatnie płomyki!

Europa z założonemi rękami przypatrywała się, jak Polskę mordował Moskal.

Ze współczuciem, jak powiadali, Napoleon III., — ale po djabła nam to współczucie!

Anglik z nieporuszoną flegmą, bo cóż? to nie jego business przecie, czy jak się tam nazywa!

Zacierając ręce z radości Bismark, że mu od uciechy te trzy ostatnie włosy sztorcem stawały na łysym łbie!

Austrja zaś, kochani wy moi, prawdziwie po austryjacku!! Póki się nam wiodło, noty pisała, przymykała oczy na to, że się w Galicji tworzą nasze oddziały, popierała pocichu... a gdy z nami już źle, gdy nas tak Europa pozostawiła na pastwę i umyła ręce jak Piłat: dalejże Austrja poddanych swoich więzić i prześladować za udział w powstaniu, a rosyjskich poddanych, jako lojalna sąsiadka, wydawać z za kordonu w pazury rosyjskiemu »kuzynowi!«. Niejednego tak na Sybir, na szubienicę, judasze!! Tak nie grozą, nie krwawo własnemi rękami, ale tchórzliwie jak zawsze, głupio i podle: dokumentnie po austryjacku!!!

X.

Jak śnieg pada, pada!... Zawieja jaka nad światem! Przez wielkie okna wileńskiego muzeum widnieją, jak cienie, domy i wieże miasta, białym tumanem zasnute.

Pan Jeżewski po wielkich, zimnych salach muzeum, całkowicie dziś pustych, i przeraźliwie jakoś martwych i białych, przechadza się niestrudzenie tam i sam, wysoko podniósłszy kołnierz wiecznego swojego płaszcza i w kieszeniach ukrywszy ręce zgrabiałe.

Panu Jeżewskiemu dzisiejsza ta zawieja stare, złe czasy przypomina (nawet już dzisiaj tak dalece złymi wydawać się przestały, takie bo stare, umarłe, przedalekie!) — Sybiru przypominają się zimy i śniegi.

Ach ten Sybir! ten Sybir! ta niby druga jego bolesna ojczyzna, przeklinana tysiąc razy, w której przecie więcej lat życia strawić mu wypadło, niż wszystkiego razem przeżył w ojczyźnie tej prawdziwej, na Litwie!

Przed pana Jeżewskiego oczami śmiertelnie biały ten Sybir dziś staje, polski cmentarz, polski czyściec i Golgota — ten co go w pełni życia wziął i pochłonął, a oddał po latach trzydziestu pięciu tą oto smutną ruinę...

W tumanie śniegowym dzisiejszym pan Jeżewski zda się łowi słuchem dźwięki ponure, znajome, — nadto znajome brzęki łańcuchów...

Na łańcuchu szedł na Sybir w 63-cim, za rękę skuty i za nogę z towarzyszem powstania i niedoli.

Długi pochód, nieskończony!... lodowate, zaśnieżone gościńce Rosji i Azji czerniejące od tych polskich pogrzebnych pochodów!

Na północ daleką, do domu niewoli, tam, gdzie kto wchodzi, żegna się z nadzieją, idą polscy morituri, a kajdany dzwonią, dźwięczą...

...Po piekle pochodów w mrozy straszne, śmiertelne ostatkiem, ostatkiem już sił!... pod knutem brutalnych sołdatów, pod szyderczemi wyzwiskami oficerów, sytych, wódką spitych, we futrzane szuby zakutanych aż po uszy! — piekło etapów, prost szałasów tylko naprędce zbitych, gdzie szparami wył wiatr sybirski i sybirski mróz kąsał, a potrójne rzędy nar aż pod powałę od robactwa się roiły.

Na te nary obrzydliwe, na gołą ziemię śliską od brudu i błota, walili się więźnie jak nieżywi...

Ośm miesięcy caluteńkich, jak obszył, szedł tak pan Jeżewski na Sybir, nim doszedł, gdzie mu przeznaczono, do katorgi w kopalniach Nerczyńska.

Dwóch kolegów od łańcucha zmarło mu po drodze — jemu nic! wytrzymał!!

Dwóch innych współwięźniów-powstańców w cuchnącej norze etapu pozbawiło się życia, męki nie mogąc znieść: jeden się zarżnął kozikiem, drugi kajdanami udusił...

On wszystko wytrzymał — twardy był!

Może miał jeszcze nadzieję, że przecież kiedyś, kiedyś?... bo gdyby tak już całkiem nie miał nadzieji, to kto wie, czyby nie tak, Boże odpuść, jak i tamci?...

...Pod polarnemi zorzami się wlekli, jaśniejącemi na niebie, jak apokaliptyczne światła cudowne i straszliwe i głoszące światu sąd.

A gdy się tak otwierać zdały nieba przepaście, że myślałeś, mgnienie jeszcze, a Bóg wyjrzy z głębokości, w tych słupach się objawi ognistych, w gorejącej umarłym szafirem tęczy, w świateł złotych, szmaragdowych, rubinowych zawierusze — ku górze, ku górze, ku świętemu misterjum odprawującemu się ponad ziemią, zwracały się oczy i serca łańcuchami skutych, cudu czekające...

Ale światła na niebie gasły, umierały, a cud się nie spełniał, nie zstępował na ziemię...

Rozmaitych ludzi dano im spotykać w tej tysiącmilowej wędrówce, tak od siebie różnych, ale tak! że jak nieprzymierzając człowiek właśnie różny od bydlęcia!

We wsiach niektórych tak Rosji jak Sybiru, zwłaszcza tych najbardziej zapadłych, wylegał naprzeciwko polskiemu pochodowi lud litościwy, darzył paczkami herbaty, flaszkami wódki, połciami słoniny i bochnami chleba, ciskał im z daleka te swoje dary mimo ofukiwań sołdatów i odpędzania nahajkami. Nierzadko też załkał nad nieszczęśliwymi płacz kobiecy, święty płacz litości. Dla tych ludzi żyjących za borami i nieprzyuczonych do nienawiści, niewiedzących najpewniej, jako istnieje na świecie nienawiść narodu do narodu, ci nędzarze w kajdanach to byli tylko »neszczastnyje«, o których winy pytać ani im w myśli nie postało!

Zato w pobliżu większych miast, środowisk »cywilizowanych«, o! tam to wcale inaczej!

Wprost jak za tym wściekłym psem, gdy w opłotki wiejskie wpadnie, za pochodem katorżników goniły z kijami wyrostki zajadłe, rzucały kamieniami, grudkami śniegu czy błota. Baby czarownicom podobne wodą oblewały, lodowatą czy ukropem!... Dzieci nawet małe, jak te złe pieski!!...

»Miatieżniki!... Miatieżniki!!...« — goniło długo jeszcze za Polakami rozwydrzone wycie...

Ostatnie były dni grudnia kiedy z Polski wychodzili, a koniec już lipca i w całej pełni krótkie, nocy nieznające, upalne sybirskie lato, kiedy zaszli do Nerczyńska, przeklętej Syberji najbardziej przeklętego miasta! Gdzie klimat zimą zabójczy od mrozów a latem od upałów i komarów jadowitych — gdzie straszliwe żywego srebra kopalnie, do których wyłącznie »politycznych« przeznaczano, nigdy, broń Boże, zbrodniarzy i morderców! bo w tych katorgach nie wyżył nikt nad dwa, trzy lata — jeszcze się nie przydarzyło!

Pan Jeżewski przecie zadał temu kłam i sztuki dokazał, że wyżył w nich sześć lat, połowę swojej kary; taki był twardy!! Tylko, że gdy wyszedł, nie miał ani jednego już zęba, wszystkie był utracił wskutek trującego działania rtęci wdychanej dniem i nocą — i choć trzydziestopięcioletni dopiero, siwy już był zupełnie i wyglądał niemal jak starzec.

Z tych, co z nim razem tu byli zeszli, w śmiertelne te podziemia, nie żył już ani jeden.

. . . . . .

Podziemia te śmiertelne, grób ten żywy! Kurytarze czarne, duszne, krecie, gdzie trudno stanąć wyprostowanemu, a miejscami na czworakach pełzać trzeba!

Ośmnaście godzin na dobę, ni mniej, ni więcej, kucia młotem w kamień, skałę, albo pchania ciężkiej taczki, do której za gruby łańcuch przykuta dłoń katorżnika — tak, że i w nocy, w krótkich godzinach snu, trzyma go ten łańcuch, jak psa na uwięzi!

Przykaz był, by więźniowie i na noc pozostawali w kopalni. Zresztą tam nad kopalniami, na Bożym świecie, nie było dla nich nawet szałasów, więc już z konieczności tak!...

Niedzieli nie było w katordze ni święta. Wszakże nie prawosławne to ludzie, sprawiedliwej russkiej wiary, ale heretyckie jakieś »rzymskie« pogany!

Raz im przecie na miesiąc coś jak Niedziela i święto. Dzień bani czyli łaźni. Przykaz taki był. Raz na miesiąc windowano ich z pod ziemi, rozkuwano, wiedziono do parówki-bani, strzyżono, golono, pozwolono się wykąpać i z robactwa oczyścić — po tej zaś procedurze, nanowo w łańcuchy, i paszoł pod ziemię z powrotem, niewolniku!

Pan Jeżewski żył w ten sposób, jako się rzekło, całych sześć lat. Tylko z przykucia do taczki zwolniono go już po roku i to z okazji takiej, że prawie na śmierć zatłukł dozorcę. Ha!... trzeba tylko mieć szczęście!... do wszystkiego na tym świecie szczęście potrzebne!...

Tak tedy od początku, ab ovo:

Tuż zaraz obok niego pracował w kopalni chłopczyk siedmnastoletni, Kazik Sielski, studencik z Warszawy, jedynaczek matki wdowy, wychuchany, wypieszczony... a teraz, pożal się Boże! Słabe to było jak komar; miało zdaje się już początki suchót, bo kaszlało nieustannie — po całych nocach, rozdzierający ten kaszel budził towarzyszów w podziemnej komorze! A czasem, obok kaszlu, i płacz, co zaniósł się w nocnej ciszy, jak dziecka małego serdeczny, nieutulony!...

Odrabiali za Kazika inni, ile się dało, bo do ciężkiej, zabójczej pracy coraz mniej miał sił. Zwłaszcza Jeżewski odrabiał, któren mizerotę polubił był bardzo, a sam dotąd końskie miał zdrowie i siły.

Aż jednego dnia.....

Chłopczyna, naglony nahajem przez dozorcę (pies bo ten też był, jakiego świat i korona polska nie widziały!) upadł pod nadto wielkim ciężarem, cały ładunek zwalając na ziemię...

I rzucił się wtedy dozorca na niego jak ten zwierz dziki, nahajem tak wyciął przez twarz okrutnie, że, strach wspomnieć! Kazikowi oko wypłynęło w strumieniu łez i krwi!...

Na to Jeżewski, i on przy taczce, i on na łańcuchu, jak wściekły chwycił kata za gardło. Nie zapamiętał się bynajmniej, o nie! wiedział dobrze co robi, i chciał, chciał go zabić! Na ziemię obalił, kajdanami w mordę walił, ciężką taczkę uniósł w górę i walił nią co sił!! Wiedział, wiedział, że za to śmierć czeka, ale już wszystko było mu jedno!!!

Nawpół żywego dozorcę, z połamanemi żebrami, z dziurami w głowie, zdruzgotaną szczęką, wyrwali mu z rąk.

Z podziemi wywiedli, przed majora, komendanta katorżnej osady przywiedli na sąd... Gdy go prowadzili, tak był jeszcze wzburzony, że śmiał się jak w obłędzie i wołał zuchwale: Zdechnę, ale się zemściłem!!

W milczeniu słuchał raportu major zachmurzony. Nowy był tu przybysz, nikt o nim nic nie wiedział, miękki-li, czy srogi? Wysłuchawszy, dość szorstko kazał wynosić się sołdatom i czekać za drzwiami. Potem wyszedł nagle do sąsiedniego pokoju, dokąd go wzywał błagalny jakiś kobiecy głos...

Głos kobiecy przemówił po polsku... Przez drzwi słyszał Jeżewski jak długo coś przedkładał, prosił, cichy i słodki; i majora skłopotane wykrzykniki: Mania!... Mania!... duszinka!!!...

Jeżewski był zupełnie przygotowany na wyrok na jakie trzy, cztery tysiące pałek, równoznaczny ze śmiercią i już mu nie szło o nic, tylko żeby trzymać się ostro do końca, — gdy zasłyszał przecie piąte przez dziesiąte tę polską z poza drzwi rozmowę, wszystka uchodząca go już fantazja sama powróciła odrazu, i powiedział sobie jeszcze raz po nie wiedzieć już który w życiu: jakoś to będzie!

Jezus! Jezus! Jak to człowiek pazurami, zębami trzyma się nędznego życia tego, zawsze, wszędzie, nawet w katordze!

Chwile upływały i major nie wracał. Wreszcie drzwi się otwarły i weszła kobieta młoda jeszcze, jeszcze ładna, z twarzą dziwnie słodką i smutną, i po polsku wypytywać go zaczęła,

kto on? z jakiej dzielnicy Polski? czy dawno z kraju?... czy to za powstanie?... i jak to dzisiaj tam było: naprawdę dozorca biedakowi temu oko wybił?...

Polka była, żona majora Wasiljewa, która dla niego porzuciła rodzinę i ojczyznę, a teraz tęskniła niewymownie, i radaby widać choć coś dla swoich, choć coś, by okupić!...

...Major tylko patrzył żonie w oczy, by ten wierny pies, jakby ją wiecznie za coś przepraszał — więc, dla niej już pokierował wszystko tak!

»Kazionnemu« lekarzowi, stale nieprzytomnemu od wódki, spisać kazał świadectwo, jako katorżny Jeżewski w ataku nagłej nerwowej gorączki dozorcę pobił, Mordiejewa!

Mordiejew łotr się nazywał — nomen omen! Wyżył przecie szelma. Takiego prędko djabli nie wezmą! Pysk mu tylko krzywy pozostał na wieczną rzeczy pamiątkę, bo doktór, jak zwykle pijany, źle szczękę złożył w szpitalu.

Jeżewskiego także, jako rzekomo chorego, odesłano do szpitala, i tam, dzięki opiece majorowej a smarowaniu łap doktorowi, przetrzymano, ktoby uwierzył, blisko pół roku!

Po gehennie kopalni, szpitalna ta izba rajem mu się zdała!...

W pierwszych czasach nic tylko spał i spał, we dnie, w nocy... zmordowane ciało odwet brało za straszliwe wysiłki katorgi.

Aż po kilku miesiącach, już nie dało się przeciągnąć dłużej! jak na złość, przyjechać miała do Nerczyńska przeklęta jakaś figura o wysokim »czynie«, wobec której major był niczem! Wrócić znów musiał Jeżewski do taczki. Tylko z łaski Wasiljewa już nie został do niej przykuty; tyle choć zyskał!

Gdy ostatni raz przyszła go odwiedzić w szpitalu majorowa, gdy jej dziękował wzruszony głęboko — chcąc nito z serca z duszy wszystkie błogosławieństwa swoje zlać na tych co jej drodzy, zapytał: Czy pani ma dzieci?

Wtedy Polka, co Rosjanina poślubiła na wieczne serca rozdarcie, na powracającego do katorgi swej rodaka wzrok podniosła nieskończenie smutny:

»Nie, nie mam... dzięki Bogu!...«

Gdy Jeżewski wrócił do kopalni, nie zastał tam już Kazika. Jeszcze przed dwoma miesiącami nagły krwotok go za-

bił. Umarł tam pod ziemią w kajdanach i przy taczce, wołając, jak dziecko: Mamo! mamo!... w przedśmiertnym lęku.

Dopiero po śmierci zdjęli mu kajdany.

. . . . . .

Ze wszystkiego, co cierpiał, najstraszniejsze mu było, że Maryjka dla niego stracona!

Długo, bardzo długo, z jakie dwa lata, to prost sobie rady dać nie mógł z tęsknotą... I z buntem całej swej istoty przeciw potwornemu temu, co go spotkało, co z nim zrobiono!!!

Potężny, szczęścia łaknący egoizm młodości, szczęścia przedewszystkiem, za wszelką cenę! — w tych pierwszych czasach bezgranicznej niedoli zgłuszał wszystko inne... Zagłuszał myśl o rodzinie gromem trafionej, rozproszonej... nawet, Boże mu przebacz, o Polsce!!!

Głód szczęścia wołał głośno, rozpaczliwie, w obliczu ziemi i nieba, że spełniono zbrodnię nad zbrodniami nad dwojgiem co się kochali i nie zawinili nikomu, — zbrodnię okrutniejszą od morderstwa!

Przeklinał, przeklinał swoich katów!... Rosję klął całą wściekłością bezsilnej rozpaczy!...

Byłby wtedy sprzedał duszy zbawienie, skazał się na piekła męczarnie, byle na chwilę jedną, nim skona, zobaczyć tę Rosją w pyle — splugawioną krwią i błotem niewolnicą!!

Boże! Boże! wszystkoś mi odebrał! daj mi choć to! choć tego doczekać!!!

Tak we dnie w jarzmie katorgi, w nocy na więziennym barłogu, szarpała się straszliwie dusza niewolnika!

Przychodziły i dnie takie, kiedy do buntu, do rozpacznej wściekłości już zda się brakło sił...

I wtedy brała jego duszę w moc swoją tęsknota, taka tęsknota!... że wyłbyś człowieku tak z żalu, jak pies!

»Maryjko!... moja Maryjko!... czy to już doprawdy na zawsze?... Czy ty nawet nic nigdy o mnie się nie dowiesz, o mojej męce, ani ja o tobie?

Dziewczynko, dziewczynko, czy i tobie tam bezemnie tak źle, tak... jak mnie tu bez ciebie?«

Sierotka ta jego najmilejsza, złotogłówka, rudogłówka! Sama tam Maryjka biedna, sama samiuteńka! Skoro i babuni

już nie ma!... Bo cóż ci jacyś krewni? Czy chociaż dobrzy będą dla niej? Przygarną do serca?

Och Boże! Boże! gdyby to choć rodzicom swoim mógł ją oddać, polecić!

Gdybyż choć słówko przesłać z błaganiem!

W krótki czas nocnego spoczynku, w podziemnej tej norze, na madejowem swem łożu, nieraz nie śpiąc, tak szeptał, zapatrzony przed siebie w ciemności:

»Ojcze! matko! weźcie wy ją, serdecznie, serdecznie przytulcie, jakby po mnie wdowę!«

Niewolno listu wysłać, niewolno dać znaku! Jak z tamtego świata!... Wszystkiego »nie lzia!!« Katorżnik umarły za życia, wszelkich praw ludzkich pozbawiony! Trup ot, któren jeszcze czuje i cierpi, nic innego...

Przychodziły też chwile i dnie dziwnego, prost ekstatycznego podniecenia ducha, religijnej egzaltacji, kiedy niczego już nie pragnął i nikogo nie przeklinał, kiedy mówił sobie, że niczem, niczem jest to życie, a niebo wszystkiem! i już tylko Boga prosił, aby prędko śmierć... jak najprędzej! a po śmierci tam w niebie na wieki, z Maryjką!

...Czasem, to tak się już z wszelkiego ziemskiego uczucia wyzuwał, zdawało mu się przynajmniej, jakoby się już wyzuł — że gorąco, natarczywie Boga prosił o męża dobrego, kochającego dla Maryjki, aby nie była w życiu sama, aby miała opiekę... skoro jego już tu pogrzebali!!!

A wnet znowu byłby wolał raczej, żeby Maryjka umarła!

To, bywało, mówił sobie: Może wrócę?... do krocset piorunów, przecież i z Syberji, z tego piekła, wracają ludzie! Może ucieknę?... może amnestja?... może jakaś rewolucja? zabije ktoś cara jak psa???

...Jak przypływ i odpływ morza! Jak straszliwa jakaś huśtawka! Duszy tej nieszczęsnej kołysanie, z pod gwiazd na dno przepaści z powrotem, na samo dno to nędzy!

Aż póki nie przyszło to, co przyjść musiało — stępienie ostateczne...

»Serce bólem w kamień obrócone, serce umarłe« — to nie frazes tylko i komunał, ale prawda wielka, kryjąca w sobie mądrość odwieczną, ale konieczność nieunikniona, jak

noc po dniu, jeśli człowiek albo umrzeć niema albo łba roztrzaskać o ścianę!!

...Jakie to dziwne, jakie dziwne przecie! że gdy już dawno, od miesięcy, od lat, w tej tępej pogrążony rezygnacji i zda się Maryjki już zapomniał, odżałował — w snach nito budziła się dusza, we dnie poniewierką katorgi stępiała, zabita, i w sennych marzeniach Maryjkę widywał, a zawsze niby w cudowny jakiś sposób odzyskaną, spotkaną naraz po straszliwie długiej rozłące...

Albo czasem, to jej szukał w tych snach, z lękiem, z niepokojem okrutnym, i nie mógł znaleźć; wiedział, że tu być miała, powiedział mu ktoś, że ją tu zastanie... i on przybiegał z sercem bijącem szalonem wzruszeniem — a Maryjki nigdzie nie było!

Już tylko w tych snach odnajdywał teraz w sercu to dawne swoje umarłe kochanie i tę swoją serdeczną, serdeczną tęsknotę!

Może w nich była prawda jego duszy — a rzeczywistość letargiem tylko i zmorą?... Budził się nieraz z tych snów z twarzą zalaną łzami.

Z czasem, z czasem, i to się zatarło... i z tej miłości i z tej rozpaczy nic nie pozostało, prócz dalekiego, coraz to dalszego i bledszego wspomnienia...

Najsmutniejsze na ziemi, to nie śmierć, to zapomnienie! a przecież, gdyby nie ono, najżałośniejszy ten dar Boga miłosiernego, człowiek nie mógłby żyć!...

Pan Jeżewski nigdy już, jako żywo, ani teraz na Syberji, ani później po powrocie do kraju nie dowiedział się, co się stało z Maryjką, czy żyje, czy umarła, czy za mąż kiedy poszła... nigdy nic!

. . . . . .

Coś we trzy lata po przybyciu do nerczyńskich kopalni, w dzień »bani« uroczysty, i wyjrzenia katorżników z pod ziemi na Boży świat, zawezwano go do naczalstwa dla odebrania listu.

Wypadek był w katordze niesłychany i odpowiednie też sprawił wrażenie!

List był rosyjski, z Kazania, a podpisany: Ignatij Stiepanycz Jeżewskij, podpułkownik sztabu przy 88-ym nowgorodzkim pułku dragonów.

Od brata, na miły Bóg! zaginionego przed piętnastu laty!

Przez kogo i jakim sposobem podpułkownik Ignatij, syn Szczepana, Jeżewskij, dowiedział się, co z bratem, i gdzie go szukać, to już na wieki pozostanie okryte tajemnicą! Ale widocznie te długie lata niewidzenia, nie wygasiły do szczętu uczuć jego braterskich, gdyż, litując się Władysława losu, posełał mu 300 rubli, których, naturalnie, w liście ani śladu nie było, gdyż je po drodze ukradli — jako to zwyczajnie w państwie białego cara!

Litując się jednakoż, ostro go równocześnie strofował: »żeś podniósł rękę przeciw carowi, najmiłościwszemu naszemu monarsze, na władzę od Boga uświęconą, więc tak, jakbyś porwał się był na samego Boga, i sprawiedliwa ci mój bracie, choć surowa kara przypadła!«

Następowała obietnica dalszej łaskawej pomocy:

»Chętnie ciebie pieniędzmi wspierał będę, ile razy zapotrzebujesz, bom ci bratem być nie przestał, i serce mnie boli nad twoją dolą, mimo żeś się na złej i grzesznej drodze obłąkał!«

Na zakończenie rozpisywał się o własnej świetnej karjerze, o wysokich protekcjach i splendorach.

»Dzisiaj, w wieku lat trzydziestu siedmiu, mam czyn podpułkownika sztabu i najpiękniejsze na dalszy awans widoki. Ożeniłem się z córką generała gwardji Garszyna, szczególnie dobrze położonego u Jego Carskiego Wieliczestwa, tedy protekcji mnie u samego dworu nie braknie. Do jakich czterech, pięciu lat, tuszę, będę pełnym generałem. Chresty mam św. Jerzego i Włodzimierza za Sewastopol i Almę. Żona moja posag mnie piękny wniosła; sama śliczna kobieta i elegantka najpierwsza, Paryżanka prosto! Synkowie dwaj Kola i Wania, rozkoszne malczyki! Córeczkę nazwał ja Masza na pamiątkę naszej mamy. Za mamą naszą długo mnie serce bolało, a tak i nie napisał, zaciął się! Czy choć jeszcze żyje ten prosto anioł z nieba? Napisz ty mnie co o rodzicach, o braciach i siostrach! Nie spodziewał się ojciec, aa? gdy mnie z domu parobkami wyganiał, na jaką karjerę, powiedz? Dałże ja sobie radę na świecie niezgorzej, aa?«

Wyjątkowo, w dowód wielkiej łaski, że to list od wojskowego dygnitarza, pozwolono »politycznemu« przesłać odpowiedź.

Jeżewski odpisał:

»Nie potrzeba mnie twoich pieniędzy, i tylko żałuję, że ci tych 300 rubli odesłać nie mogę, bo w drodze »zwarowali«. I pokrewieństwo między nami, tak mi się zdaje, już dzisiaj zgoła niepewne, boś ty, jako widzę, nazwisko zmienił, a ja się nazywam zawsze tak, jak moi ojcowie, dziady i pradziady!«

Potem sucho, bez żadnych komentarzy, a z okrutną jakąś, mściwą rozkoszą donosił »Ignatijowi Stiepanyczu« co w domu, co z rodziną. Że Klecka Wola spalona, ani kamień na kamieniu! i skonfiskowana przez rząd, a rodzice na bruku. Dziadek staruszek okrutnie zamordowany, brat Piotr zginął, szwagier jeden zginął, siostra zaś od rozpaczy obłąkana, do dziś już pewno poszła za mężem!...

Wszystko! wszystko! niech wie ten... niech wie!!

Gdy list kończył przecie, rzuciły mu się z oczu łzy gorące, bo wspomniały się młode lata z Ignasiem tym spędzone, tak miłym wówczas i kochanym — i bo własną ręką potargać musiał tę nitkę, wyciągającą się dzisiaj ku niemu po latach, ku niemu, co jak w grobie!... ostatnią niteczkę, mogącą go jeszcze z kimś ze swoich połączyć!

»Żegnam cię bracie, jak umarłego, i smutniej jeszcze! Bo już nie tylko na tym świecie, ale i na tamtym, gdzie każdemu, pamiętaj, będzie oddane wedle uczynków jego, tak myślę, że się nie spotkamy — ty wkrótce generał w chrestach i ja katorżnik w kajdanach!«

W swoich kajdanach, w swoich łachmanach, tak uczuł się przez chwilę dumny, jak król! i prawie że szczęśliwy, gdy los swój z losem porównał tamtego...

Najpiękniejszy chrest na piersi, to męczeństwo za ojczyznę — najwspanialszy »czyn« i ranga, Ignatiju Stiepanyczu!

. . . . . .

Już tak, widać, było napisano, że wszystkiego miał pokosztować w życiu, nawet, któżby przypuścił? zbójowania!

Bo siłą rzeczy na zbójowanie poszła nieszczęśliwa, zbuntowana partja katorżników, która w kopalniach złota w górach nad Amurem przez »naczalstwo« okradana niemiłosiernie, żywiona gorzej psów, zgniłą tylko kapustą, po której pływały robaki! — z głodu, z rozpaczy, z wściekłości pozabijała swoich

strażników i poszła gdzie oczy poniosą, w sybirskie puszcze nieprzebyte!

Jeżewski od roku już nie pracował w podziemiach, w nerczyńskich kopalniach rtęci, — pracował teraz na ziemi i pod niebem, łamał skały w poszukiwaniu żył złota w nadamurskim kraju, żwir rzeczny płukał szukając złotego piasku...

...Gdyby wiedzieli, tam na szczęśliwych świecie, gdzie oddychają swobodnie i stroją się i bawią, wiele do tego złota, co się im przez ręce toczy, przyległo ludzkich łez, krwi i potu, ile przekleństw straszliwych!

Gdyby przypuścić mogły kobiety!... paliłyby je, jak ogniem z piekła, te pierścionki, naszyjniki, bransolety!

W kopalni złota, prócz politycznych, znajdowało się i sporo pospolitych zbrodniarzy. Wspólna nędza, wspólna dola porozumieniem złączyła męczenników idei i morderców. Mieliż czekać, aż po jednemu z głodu wyginą? Już słabszych wielu nie wytrzymało, już kilkadziesiąt grobowych kopców na skraju boru wyrosło...

Na czele sprzysiężenia pięciuset blisko więźniów stanął Polak, Celiński, komendant oddziału z powstania, człowiek niezwykłej determinacji, prost djabła gotów chwycić za rogi!

Spiskującym, szum borów Sybiru do uszów szeptał kuszenie: chińska granica... chińska granica!... tam już, żadnego naczalstwa! tam już koniec mocy cara!...

Och ten miraż wolności, wolności odzyskanej!... tysiące dzieli, tysiące wiorst, puszcze i bagna, skały i zawały, przecie warto, warto iść ku niemu, choćby sto razy zginąć po drodze!

Rzucili się jak wściekli na sołdatów pewnego ranka, broń wydarli — ni jednego nie zostawili przy życiu, by gdzieś tam dał znać!

I poszli, brodiagi już i »chodziki« sprawiedliwe, na włóczęgę i na zbój...

Jeść nie było co, więc gdy do wsi jakiej wśród lasów przyszli, rabowali — cóż bo mieli czynić?

Przydarzyło się, że katorżni zbrodniarze (nie polityczni i nie powstańcy, chroń Boże!) zabili gdzieś mużyka czy babę dla »dieńgów« albo wieś puścili z dymem — to Celiński wódz srogi i twardy jak skała, jakim być musiał dla panowania nad tą dziką tłuszczą! sam własną ręką jak psów za-

strzelił winowajców z pistoletu, wprzód im samym wykopać kazawszy groby...

Jedna krwawa zmora te miesiące włóczęgi! Przecie jakie upojenie tą wolnością znowu, po latach, dziką tą wolnością!

Jeżewskiemu miło było później przypomieć sobie i lekko na duszy, że niczyjej krwi przynajmniej nie miał na rękach w tym »zbójeckim« życia swego okresie!

...Błąkali się po lasach, po lasach, i coraz było głodniej, i coraz jakoby dalej tá przeklęta, ta upragniona granica! i jesień nad karkiem, ta sybirska, nieutulenie rozpłakana... deszcze, deszcze, deszcze... Cały nadamurski kraj w słocie, błocie i we mgłach zatopiony...

Wytropili ich wreszcie... nie to, żeby do rąk dostali! Broń mieli przecie, i za plecami puszcze! ale wiedzieli już, psy te carskie, gdzie ich szukać, więc różnych ludzi poczęli nasyłać, posieleńców, — a namawiać zbuntowanych, a obiecywać, a migotać amnestją przed oczy...

Właśnie się wtedy pono następcy tronu syn był urodził, czy jaka tam inna się narodziła carska kukła! więc amnestja, naturalnie, z powodu radosnego wydarzenia!

Celiński nie chciał, nie wierzył. Do końca się opierał. Lepiej, mówi, w puszczy zginąć! Ale cóż, kiedy i jego nawet już teraz nie bał się nikt! Przecie trudno tak ciągle terorem... przecie nie mógł wszystkich wystrzelać!!

Głód i zima za pasem gnały napowrót w obrożę...

Wyszli z puszcz, głodem wzięci — wrócili do klatki, jak te nieszczęsne w menażerji zwierzęta!

I odrazu okazała się amnestja, aż miło!

Celiński, prowodyr, do szpaleru!!

Cóż bo takiego »szpaler«, zapytacie?

O, wynalazek to istinno-russki, nieznany na zgniłym Zachodzie!

Rota żołnierzy w dwa szeregi ustawiona, z kańczugami o żelaznych gałkach — środkiem skazańca pędzą, nago, jak go Bóg stworzył, tam i z powrotem, tam i z powrotem, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto razy!

Kańczugi świszczą, gałki żelazne drą ciało, — aż całe ono, jedna masa krwawiącego mięsa! Pada nieszczęśnik, podnoszą, pędzą dalej... gdy inaczej już się nie da, podpierają,

prowadzą troskliwie! A biją, biją bez odetchnienia, aż ciało odpada strzępami, aż bieleją nagie kości — aż się śmierć ulituje!...

Tak przez szpaler przewiedziono Celińskiego na Jeżewskiego oczach. Widział go, jak do człowieka już niepodobny, zwalił się wreszcie i skonał; jak ostatnich coś dwieście pałek, brakujących do czterech tysięcy, odgrzmocono już na trupie!

...Aby się wypełniła sprawiedliwość!!

Pospolitych buntowszczyków na zdziesiątkowanie! Co dziesiątego na stryczek! Ustawiali rzędami i liczyli. Czasem, który oficer pijany był, źle liczył, mylił się, zaczynał na nowo.

Tak Jeżewskiego przez omyłkę już byli naznaczyli jako »dziesiętnika«, w tem sierżant jakiś, biegły snać w arytmetyce, zwrócił nieśmiało uwagę kapitanowi mało przytomnemu, z pękatą flaszką wódki w kieszeni, że ten, dopiero dziewiąty.

Skierowano go do kopalni z resztą »ułaskawionych«.

Zawsze już takie miał szczęście! W czepku się, widać, urodził!

. . . . . .

Czy to w katordze, czy później na posieleniu, nie tracił nigdy w to wiary, co Sierakowski wyrzekł umierając, że nie na zawsze ta Polski niewola!

Że się Bóg zmiłuje i Królowa Korony Polskiej!

I przyjdzie kiedyś wybawca - bohater, co go Mickiewicz narodowi prorokował!

Jeżewski tu na Sybirze, nie miał, to się rozumie, Mickiewicza dzieł, w któreby się wczytywać tak rad — nie miał wogóle żadnej polskiej książki — ale że pamięć od dziecka miał nadzwyczajną i dzisiaj powtórzyć mógł jeszcze całe z wieszczów naszych ustępy, to też powtarzał je sobie często, nieustannie — w niedoli dzisiejszej serce nimi krzepił!

Zwłaszcza to widzenie księdza Piotra, rozdzierające przyszłości zasłonę...

»A imię jego czterdzieści i cztery....«

Do tej zjawy zbawcy-rycerza wyciągnął wygnaniec stęsknione ramiona, duszę mu słał pod stopy!...

Przyjdzie, przyjdzie w gromach dział, w polskich szabel błyskawicach, w purpurowym płaszczu sławy!

...Może już jest?... może jest gdzieś na świecie? Może się już nam urodził Mściciel — a my cierpimy, męczymy się, błądzimy w ciemności, którzy do Ciebie Boże, z głębokości wołamy, z głębokości naszej nędzy, bo nic, nic nie wiemy!

W tego Czterdzieści i Cztery, co sam bez korony, na trzech koronach stanie, wskrzesiciel narodu — pan Jeżewski, romantyk stary, wierzył święcie!...

Tylko gdy lata płynęły, płynęły, a coraz potężniejsza nad światem moc carska i szatańska, że zda się, niezwyciężona, i coraz głębszy Polski grób — tak mówił sobie w sercu zbolałem: Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje!

. . . . . .

Po trzynastu dopiero latach wygnania — tak, po całych trzynastu! otrzymał pierwszą od rodziny wiadomość.

Bo policzyć tylko: dwanaście, jak obszył, prześlęczał w katordze, gdzie człowiek prawnie umarły — a po wyjściu, nim napisał że żyje i gdzie go szukać, nim odpowiedź z kraju przywędrowała na Syberję.....

List był zbiorowy, od tych co pozostali: od Broni Turowiczowej, od Pawła, dzisiaj wziętego adwokata w Warszawie i Zosi czyli siostry Rozalji w Staniątkach w klasztorze.

Rodzice już oboje nie żyli i nie żyła nieszczęśliwa Jadwisia, która zmarła po paru latach obłędu, nie odzyskawszy przytomności. Synka po Jadwisi wychowywał Paweł.

Co się to porobiło... co się porobiło, z tą szczęśliwą niegdyś, taką liczną rodziną!

Wspomniał ten pierwszy dzień po powrocie swoim z Kaukazu, gdy się wszyscy do Kleckiej Woli zjechali go powitać.

Dzisiaj tam Moskal jakiś panem, czynownik czy generał, nagrodzony za zasługi w »usmirjeniu polskawo miatieża!«

Nie, nie chciał myśleć o tem! I o zmarłych swoich drogich wolał nie myśleć, nic już nie wspominać — tak samo i o żywych, co ich pewno nigdy nie zobaczy! Przemocą serce opancerzał twardością i chłodem, byle tylko nie bolało... byle tylko nie cierpieć, bo już dosyć, dosyć!...

Jedynie ten pancerz znieczulenia pozwolił mu po dziś przeżyć, przebiedować, nie oszaleć...

A jednak długo i po wiele razy odczytywał list rodzeństwa i potem na piersiach nosił za kożuchem, aby przy pracy każdej chwili móc sięgnąć i czytać jeszcze...

Tak ten list, jak ze ziemi na tamten świat!

Pytał był o Maryjkę... w każdym razie pragnął się czegoś dowiedzieć... Odpisali, że im nic nie wiadomo, że wprędce po powstaniu urwała się była jej korespondencja z narzeczonego rodziną.

Jak kamień w wodę!...

Przez następnych coś dziesięć czy dwanaście lat korespondował z rodziną. Z początku często, później coraz rzadziej.

Wspomagał go nieraz materjalnie Paweł, któremu nieźle się działo. Nie można powiedzieć!... pamiętał, jak dobry brat. Tylko w listach jego Władysław, z latami wyczuwać począł coś dziwnego, niewymówionego wyraźnie, a co wzburzało do dna duszę wygnańca...

O trzeźwych jakichś prądach, które w kraju górę biorą teraz po klęsce... O nieszczęsnym politycznym romantyźmie, winowajcy katastrofy, a realnej »organicznej pracy«. Pan Jeżewski jeszcze sobie nie zdawał sprawy jasno, co to takiego i co oznacza; że oznacza: kark zegnijmy przed przemocą i tylko wzbogacajmy się! ale instynktownie tej jakiejś »organicznej pracy« nienawidził!

Turowiczowie, którzy po skonfiskowaniu im wioski dzierżawami chodzili, wypełniali stale listy narzekaniami na ciężkie czasy i opłakane warunki gospodarowania na wsi, na trudność wychowania i wykształcenia dzieci...

Jak gdyby z góry chcieli się zabezpieczyć, aby nic od nich nie żądał!

Czuć się to dawało wyraźnie w tych nieustannych skargach siostry... Dobra była kobieta, wzorowa żona i matka, ale taką już zawsze miała naturę, że za rublem wskoczyłaby do piekła!

Może zresztą i naprawdę im tam ciężko... Niech będą spokojni! o nic ich prosić nie będzie!!

Listy Zosi-zakonnicy, to naprawdę jak z zaświata! Pisała, że szczęśliwa i spokojna, znalazła w murach klasztoru przystań, jakiej widzi, że świat nie daje! Katastrofa ojczyzny i rodziny otworzyła jej oczy na marność wszystkiego co ziemskie.

Zapewniała brata-wygnańca, że modli się za niego nieustannie i wszystkie tutaj siostry-zakonnice również się modlą — pocieszała, że widać go Bóg bardzo umiłował, skoro doświadczył tak srodze — i mówiła z wiarą gorącą i anielską pogodą: do widzenia kiedyś w niebie!

Czytanie tych listów, to była istna modlitwa i podniesienie duszy do Boga; te jedne prawdziwie miłemi mu były, najmilszemi ze wszystkich!

W swoich wędrówkach za robotą i chlebem, co w nich Syberji szmat olbrzymi przemierzył — raz tu, raz tam, to nad Amurem, to nad Bajkałem, nieraz sposobności nie miał listu wysłać i rok i więcej — oni tam w kraju nie wiedzieli gdzie go szukać...

Jednak co jakiś rok, dwa lata, jeszcze krążyły listy, aż w końcu z obopólnej winy, prawdę rzec trzeba! przychodzić zupełnie przestały, i nić się urwała...

Wygnaniec, stary już dziś i strasznie znużony, z apatyczną rezygnacją zasnuwać się dozwalał, zasnuwać coraz bardziej szarą pajęczyną niepamięci...

Niby ten Krasińskiego »Ostatni«:

»Pamięci ziomków coraz niewidomszy,
»Tym co go znali, coraz nieznajomszy,
»Od kochających coraz mniej kochany,
»Aż w końcu pewno całkiem zapomniany!«

. . . . . .

Co nie wyjdzie mu z pamięci po grobowy dół, to kiedy w dwadzieścia pięć lat pierwszą książkę polską dostał do ręki, a tą był »Potop« Sienkiewicza!

Mieszkał wtedy na wsi u chłopa; zwykle tak teraz przepędzał zimy, a letnie miesiące na pracy w kopalniach złota, już jako »ochotnik«, co się znaczy, że na wolności, i z latami »postąpił« nawet na dozorcę! Co w lecie zarobił, w zimie przeżył, i tak w kółko: Maciek zrobił, Maciek zjadł.

Na tegorocznych zimowych leżach (bo istotnie przeważnie się leżało i spało, w te sybirskie noce bez końca!) odwiedził go rodak-posieleniec, kupiec z najbliższego miasta, i tę oto mu książkę zostawił.

»Tak a tak, (powiada)... Nic ci nawet przychwalał nie będę, sam, (powiada) zobaczysz!... Ho, ho, ale ten jakiś

młody pisarz, panie, to ptaszek! samego Kraszewskiego zakasował, zapędził w kozi róg!«

Pan Jeżewski z nabożeństwem, ze wzruszeniem, książkę otworzył drżącemi z radości rękami. Jakże! pierwsza polska, odkąd on tu z Polski!

Zaczął czytać... i z tą chwilą przepadł! Nie czuł nic, nic nie widział, nic nie słyszał! Armatami możnaby walić tuż za ścianą, nie byłby się poruszył!

Gdzieś tam z pod boru płynął dziki chór, posępne wilcze wycie, zwykła sybirskich nocy muzyka; cichła na chwilę, znów się zrywała i zawodziła, jakby smutna beznadziejnie pieśń tej ziemi przeklętej od Boga...

Gospodarze chaty chrapali na przypiecku, aż się rozlegało! — w kącie przed złocistym ikonem migotała świeczka. Do tej świeczki pan Jeżewski przysiadł się z książką blisko, — jedna się wypaliła, drugą w mig zaświecił, po drugiej trzecią i czwartą, i tak aż do skutku! aż wszystkie świeczki ikonowi przeznaczone, do ostatniej chłopu wypalił!

Byłby i chałupę spalił, jak mi Bóg miły, gdyby innego światła nie dostał — tak się zacietrzewił!

Nie czytał: połykał, pożerał! Jak zagłodzony dawno nędzarz, któremu podadzą chleba, jak ginący z pragnienia w upale, gdy usta przytknie do zdroju żywej wody!

Nibyto oddawna na wszystko w świecie zobojętniał, tak mu się zdawało! — a przecież, teraz, czytając, i śmiał się, i płakał, i płonął zapałem jak pochodnia — całą, caluśką noc czytał, książki błogosławionej z rąk nie wypuścił, co mu cały świat z przed wieków, kontuszowy i rycerski przed oczy stawiła cudem w tej sybirskiej chacie!

...Pod śniegu kożuchem Żmujdź święta — dwór szlachecki na Żmudzi. Cudna panna o jasnych warkoczach i czarnych brwiach surowych, Billewiczówna, w czeladnej z prządkami śpiewa...

Do czeladnej rycerz wpada, od którego łuna bije, junak nad junaki!

Jazda szalona saniami »zdobycznemi«... Niech żyje radość i kochanie, Oleńko ty o jasnych warkoczach, niech żyje fantazja szlachecka, wichrze ty Kmicicu!

...Najazdy i zajazdy, rąbanina, strzelanina, pojedynek i panny porwanie. Dech zapiera, gdy człek czyta! Panno! nadtoś niezbłagana! Miałabyś też miłosierdzie nad junakiem!

...Mały pułkownik Wołodyjowski, szermierz najpierwszy w Rzeczypospolitej, i Pacunelki z zaścianka; w czambuł wszystkie doń wzdychają, a przekornie wyśpiewują:

»Nie kodź do lasu czypać bzu!
»Nie wierz kłopcu, jako psu!«

...Uczta w Kiejdanach u Radziwiłła; cały kraj wpatrzon w niego jak w zbawienie! Nad Polską szwedzka burza... Moskwa... Chmielnicki... potop cały! Na uczcie w Kiejdanach Radziwiłł wstaje, wielki zdrajca, i Karola Gustawa zdrowie, jako króla polskiego, wnosi!! Świat się wali!! Świat się wali!!...

...Naraz pan Jeżewski śmiechem wybucha, ogromnym, niepohamowanym, serdecznym, jakim się nie śmiał już całe lata — aż mużyk z babą przeckną się na przypiecku, przewrócą na drugi bok, zamruczą coś gniewliwie!

Zagłoba, ten kochany, niezrównany, fortelny, Rocha Kowalskiego na hak przywodzi.

»Mów mi wuju!«...

...»A czy wiesz ty, co to wuj?!«

...»Patrzajcie waćpanowie! Czysty Ulisses! Zdjął opończę z tego kpa, i umknął na jego własnym koniu!!«

Roch zaś wyspawszy się, biada: Gdyby mi to choć nie krewny uczynił! Ale krewny!!...

Pan Jeżewski naprzód jedzie, jak w butach siedmiomilowych.

Już, już Kmicic przejrzał, Bogusława Radziwiłła porywa!

»Do krocset tysięcy piorunów!! — posieleniec stary pięścią w ławę bije. Umknie ta szelma!... Trzymaj! łapaj! kto w Boga wierzy!«

Już, już, Częstochowy cudowna obrona i cudowne narodu obudzenie! Święty przeor Kordecki, kolubryna, i łotr Kuklinowski...

Z wygnania król wraca! W górach Kmicic króla ratuje, sam na bigos zesiekany!...

Ostatnia łojówka zgaśnięciem grozi. »Jezus Marja! — zapamiętały czytelnik woła, rękami burząc siwą czuprynę: Kmicic zginął!!!«

Łojówka wybłysnęła jeszcze raz. Pan Jeżewski w tym błysku stwierdził, że Kmicica dobyto z pod trupów żywego — i odetchnął głęboko: No!... chwałaż Ci Panie Boże!

Świeczka naprawdę już teraz zgasła, a on pozostał w ciemności. Ale w duszy miał zorzę, i Bogu dziękował, że stworzył pana Henryka Sienkiewicza!

...Błogosławiony dar z nieba, większy, większy niż królestwo!...

I błogosławion ty czarodzieju, coś tam o mil tysiące w cichej pracowni tęcze te wyczarował i słońca, by rozświetliły sybirską noc nieskończoną!...

Coś w struny spiżowe uderzył i wygrał Polsce pieśń zapomnianą o mieczu, o starej sławie!

...Mościpanowie!!! Sursum corda!!!

XI.

Dwóch carów przesunęło się nad Rosją i w nicość zapadło, nim jemu wrócić do Polski, »do domu...«

Aleksandra II, liberalizmu pozera, co jedną ręką uwłaszczał chłopów, drugą na polskie powstanie puszczał Murawiewa, jak wściekłego psa! — bomby nihilistów poszarpały w krwawe strzępy...

Aleksander III. nastąpił z kolei, mużyk ukoronowany, »istinno-russki czełowiek«, noszący w kwadratowej o nizkiem czole głowie na olbrzymim niedźwiedzim kadłubie całą brutalność, fanatyzm i tępotę rosyjskiego chłopa.

Po wstąpieniu na tron, pierwszy odruch jego, pierwsze »dieło«, to potarganie własną ciężką łapą kacapa, wygotowanej już dla Rosji konstytucji przez ojca jego z Loris-Melikowem.

Loris-Melikow, to się rozumie, poszedł »w duraki«, a najczarniejsza reakcja otoczyła nowego cara.

Trzynaście przeszło lat nie rządził, a panował, za murami carskich pałaców, za potrójnym rzędem straży ukryty i we wiecznej przed »nihilistem« trwodze! Za niego rządzili inni, co zręcznie podsycać umieli ten strach i z niego płynącą rozżartą przeciw wszelkiemu wolnodumstwu zawziętość. Przedewszystkiem oberprokurator »świętego« synodu, wskrzeszony ów Torquemada, co to:

Pobiedonoscew: dla Synoda!
biedonoscew: dla naroda!
donoscew: dla carja!
noscew: dla siebia!

który w 19-tym wieku wznowił światu widowisko, zapomniane od stuleci: prześladowanie za wiarę!

Krew unitów Chełmszczyzny, Podlasia, żmudzkich Kroż, świadectwo prawdzie dała!...

Na warszawskim Zamku Hurko się rozsiadał z Marją Andrejewną!

...„i coraz podlej na tej ziemi było!!"

Aż wśród triumfów białego cara, przyszła po niego śmierć. Nie od bomby, nie od kuli, przed którymi drżał! Ot, z kosą zwyczajnie, jak chodzi po świecie, bez hasła, bez »bumagi« przez straże się przedarła, roztrąciła lekarzy falangę, i za mużycki łeb tępy i uparty ułapiła mocarza wbrew rewerencji wszelkiej!

Jak w szopce, z końcem widowiska, Heroda uprowadza jasnokoścista ta pani — a świat się dalej swoim torem toczy...

Car umarł: niech żyje car!...

Po Aleksandrze Mikołaj, drugi z imienia. Do tego, jeszcze za życia ojca, Bóg wie skąd, a on sam pewno najmniej wiedział, przylepiła się była etykietka jakiegoś liberalizmu, ideowości, i t. p. Chyba na mocy jedynie tej tradycji starej, wedle której każden następca tronu liberalny, jak każda panna dobra, a wikary każdy gorliwy?

Mikołaja tego pan Jeżewski widział przejeżdżającego przez Tomsk przed dwoma laty, w powrocie z podróży do Japonji. Podał mu wtedy nawet suplikę o pozwolenie powrotu do kraju, bo tak mu doradzono — podałby ją i djabłu samemu, gdyby ta nadzieja!!...

Carewicz cherlawy i »nikczemny«, jakby go nazwał polski chłop, nie zwracał nawet uwagi na przemowy i powitania, strzelał tylko oczami trwożnie w prawo i lewo, i wyglądał, jak zadecydował pan Jeżewski: »całkiem jak okradziony!«

Wiózł on sobie z Japonji na własnej carskiej skórze pamiątkę: bandaż czarny na ciemieniu.

Gdy bowiem przed kilku tygodniami wszedł był ze swoją świtą do japońskiej świątyni, wszyscy zupełnie pijani! — i tam Jewo Wieliczestwo raczył się zabawić, popiół z cygara w nos wydmuchując bożkowi Lisowi — rzucił się na świętokradcę stróż pagody i krzywą japońską szablą tak poczęstował po łbie, że o włos nie zabił! Grecki następca tronu, uczestnik zabawy, napastnika ubezwładnił, carskiemu kuzynowi uratował życie.

Jak się później okazało, symboliczne to wprost a prorocze, że Mikołaj II od Japończyka tak w łeb!... I to, jako najprawdziwiej w ciemię bity!...

Podaną sobie suplikę wielki książę wziął, i nie czytając, nie patrząc na starca co ją wręczył, oddał adjutantowi.

»Szkoda było papieru, atramentu i roboty!« — gromił siebie później pan Jeżewski.

I słusznie, gdyż odpowiedziało mu tylko grobowe milczenie...

Po wstąpieniu jednak na tron, Mikołaj II udzielił amnestji »przestępcom« z 63-go roku, onej reszcie starców, dożywających na Syberji ostatków lat — i pan Jeżewski był teraz wolny i mógł się udać gdzie chciał. Jednej mu brakło bagatelki: pieniędzy na drogę do kraju!

Zaczął więc zbierać, zbijać ruble łapczywie, pracować, jako nigdy jeszcze nie pracował i by Harpagon na wszystkiem skąpić sobie. Chodził głodny jak pies, nakształt dziada obdarty, obiad jadł co trzy dni, dziesięć razy buty łatał — no, ale mieszek pęczniał i rosnął, i coraz bliżej, coraz bliżej Polska!

Minęły jednak jeszcze prawie trzy lata, nim sobie powiedział, że dosyć: nietylko na drogę, ale, bardzo roztropnie, i na to, by tam zajechawszy, z miejsca zaraz nie chodzić po żebrach.

Z tysiącem rubli, zaszytych dla pewności za podszewkę płaszcza, i z modlitewną, świętą radością w sercu, wracał sybirak po trzydziestu pięciu latach »do domu«...

Ach Boże! ach Boże! gdzież ten jego dom przecie?

Wszędzie i nigdzie, jak Polska szeroka i długa!...

. . . . . .

Powrócił do Wilna — i zastał zmienione do niepoznania, zatopione moskiewską falą. Wszędzie napisy wyłącznie rosyjskie, polskiego nie dojrzeć! wszędzie rozbrzmiewa przeklęta mowa! Nad miastem na strażnicy dwa szatany, śpiżowe, marmurowe: Murawiew i Katarzyna!

Co polskie, jakby się kryło w najgłębszym cieniu; tylko, jak zawsze, koło Ostrej Bramy!... Tam dusza Wilna męczeńska, na zawsze już, zda się, moskiewskim butem w ziemię wdeptana! do srebrnej Bogarodzicy po staremu zanosi łzy i polskie pacierze...

Zresztą jedno bezbrzeżne, tragiczne milczenie, cmentarne milczenie!...

Powrócił do Kleckiej Woli — i z trudem miejsce nawet odszukał, gdzie stał niegdyś dwór, gdzie szumiały lipy ogrodu...

Dzisiejszy właściciel, generał, nie mieszkał tu i nie dbał nie odbudował spalonego dworu; parkowe aleje, cudne, stare, wyciął i sprzedał rządzący się tu ekonom, czy z wiedzą, czy bez wiedzy dziedzica...

Warzywny ogród dziś w miejscu stuletnich drzew: praktyczność niechaj żyje!

Jedno jeszcze tylko w tem zniszczeniu, w tem starciu z oblicza ziemi wszystkiego co było, odszukał sobie pan Jeżewski stare, znajome drzewo.

Lipa była odwieczna i dobrze pamiętna, bo najwspanialsza z wszystkich drzew w ogrodzie, co, by ją objąć, trzeba ludzi sześcioro! i choć już przed pół wiekiem piorunem rozdarta, królowała dziś jeszcze jak i wtedy przebujną, przepyszną koroną, na pięćdziesiąt kroków wkoło roztaczającą baldachim szmaragdowy!

Starzec podszedł do weteranki ogrodu, co jak on wszystko i wszystkich przeżyła, i została ostatnia, sama jak palec, albo jak on! — długo patrzył, kiwał głową...

»Nas dwoje niedobitków... nas dwoje! Wszystko się minęło!« — tak szeptał, jakby do człowieka, jakby zrozumieć go mogło stare, prastare drzewo.

Nagle objął pień ramionami i zaszlochał... Taki bo żal! taki żal!

Gdzie stał dwór, jeszcze znać. Kopiec z gruzów nigdy nieuprzątnionych, ot tak pozostawionych, trawami porósł od lat, od lat! porósł zielskiem wysoko i wygląda jak ogromna mogiła. Wśród zielsk szkarłatne maki zasiały się obficie, a że teraz lato, świętojańskie dni, więc płomienią się, płomienią ku słońcu, jakby wielkie krople tej krwi, przelanej tu w starym dworze.

»Dzieciństwo to moje jasne! O moje młode lata! I gdzie wy, gdzie wszyscy straceni oddawna, zapomniani tyle lat, kiedyś tak kochani! Jak widmo po tych gruzach ja chodzę, i po tym świecie!«

...Jak widmo! — dobrze on rzekł... i tu i w Wilnie, po całej Polsce i wszędzie!

Po całej Polsce rodziny szukał — przecież mogli jeszcze żyć?? Tęsknił do tego teraz, pragnął całą duszą! Szukał i nie znalazł śladu; ani Turowiczów, którzy przed kilkunastu pono

laty wyprowadzili się byli z Litwy na nową dzierżawę, gdzie? nikt nie wiedział! — ani Pawła w Warszawie śladu znaku.

W Warszawie spotkał się natomiast z opryskliwem przyjęciem pewnego szeroko znanego »organicznego« działacza, do którego pójść, jakaś mu dobra dusza poleciła, że ten może będzie coś wiedział, bo stosunki ma rozległe, wszystkich w kraju zna!

Na pierwszą wzmiankę o tem, że interesant, wygnaniec co z Syberji powraca, zatrząsł się organicznik, jakby djabła zobaczył, albo gorzej, »fijoła« — potem kolejno ze strachu wpadł w złość.

Nic nie wie, o niczem nie chce ani słyszeć! Z takimi panami, co z Sybiru, on do czynienia niema nic a nic!!

»Zgubiliście kraj w 63-cim!! spiskowcy! powstańcy! czerwoni!! Dajcież choć nam żyć spokojnie!!«

Aż sapał z irytacji ugodowy ów mąż, i ocierał pot z łysiny, zroszonej gęsto na samą już myśl, że ten czerwony kolor przeklęty jeszcze i teraz nie zniknął ze świata! Że jak nie na ziemi, to pod ziemią!...

Po chwili dopiero zdecydował się spytać, czego gość sobie życzy właściwie? a widząc wytarte ubranie, już do kieszeni sięgał łaskawie. Możeby jaką maleńką zapomogę? (Z tymi ludźmi zawsze lepiej w zgodzie!).

Ale stary plunął mu pod nogi, wypowiedział jeden krótki wyraz, wprawdzie pod Waterloo wsławiony, jednak do powtórzenia w słowie czy druku niesposobny, i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Jeszcze na schodach i na ulicy tak szpetnie klął, aż się ludzie oglądali!

Z Warszawy pojechał do Galicji, gdzie wiedział, że w Benedyktynek klasztorze pod Bochnią Zosia zakonnicą była przed laty. Tutaj już miał przynajmniej jakąś nić przewodnią — i jechał otuchy pełen i z sercem niecierpliwem, bo czemużby siostra o 15 lat odeń młodsza żyć już nie miała...?

Spodziewał się napewno tedy, że żyje, i że on ją zobaczy — a na myśl o tem spotkaniu tak mu było, ale tak, jakby ktoś z blizkich jego wstać miał z grobu za chwilę...

Wspominał Zosię w tem ostatniem mgnieniu, kiedy pociąg ruszał z Wilna, i ona wychyliła z wagonu jasną swą

główkę podlotka znaki dając bratu jeszcze... obok niej Maryjki włosy złote i w czarnej rękawiczce łapka Maryjki, chusteczką wiewająca, na ostatnie pożegnanie!...

W staniąteckim klasztorze, starożytnym i pełnym wspaniałej powagi (jeszcze bo to budowan za któregoś Bolesława, Kędzierzawego czy Wstydliwego, pan Jeżewski już nie pomniał!) wprowadzono go do parlatorjum, gdzie długo musiał czekać pod sklepieniem gotyckiem, wyniosłem, w szkarłatno-złotobłękitnym mroku, przesianym przez barwne okna wąskie i strzeliste.

Już się ku zachodowi dzień nachylił, i cienie napływały coraz gęstsze, już wniosła maleńką oliwną lampeczkę milcząca zakonnica, i znikła — kiedy z za groźnej kolczastej kraty, dzielącej parlatorjum na połowę, głos jakiś przemówił, choć nikogo pan Jeżewski nie widział: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Za kratą, jak cień, stała ksieni.

Bo ten klasztor średniowieczny jeszcze zgoła, o którego mury odbiły się wieki, i dzisiaj jeszcze nie przełożoną ma, a dożywotnią ksienię, co w wielkie święta strojna mitrą i pastorałem jak książe kościoła — i, jako reguły każą przedwieczne, musi być panną szlacheckiego rodu.

»Przewielebna matko ksieni! o Zofję Jeżewską zapytać przychodzę, która tu w klasztorze, jako siostra Rozalja.... Brat jestem, Władysław, co z powstania na Sybir wzięty... teraz powracam, nie zastałem nikogo!...«

Odpowiedział z ciemności głos:

»Siostrę Rozalję przed rokiem jeszcze wziął Pan Jezus do Swojej chwały — a śmierć jej była świątobliwa taka, że ku wszystkich sióstr zbudowaniu! Wieczne jej odpoczywanie!«

»Wieczne odpoczywanie...« — powtórzył stary jak echo, i padła wielka cisza....

Tęczowe okna już zagasły, tylko złoty płomyk lampki po strzelistem sklepieniu pląsał, po murach potężnych, po czarnej kracie oddzielającej od świata.

»Matko ksieni przewielebna! o jednę łaskę proszę: czy mógłbym na grób siostry?«

Na klasztorny cmentarz zawiodły go dwie zakonnice, jak dwa cienie.

I tutaj, pod niebem, dzień już gasł, jakby się popiół sypał z nieba.

Rzędy maleńkich, biednych grobów, rzędy nieskończone. Od stuleci bo, od stuleci!... Cicha ta przystań wśród burz, klasztor ten i ten cmentarz... Na grobach tylko zakonne imiona, i data śmierci. Z wszystkiego się wyzuły, które tu weszły, za tę bramę, za tę kratę!...

Pan Jeżewski idąc czytał: Siostra Agnieszka, w wieku lat 22... Siostra Weronika, przeżywszy lat 90... Siostra Jadwiga od Krzyża, 34 lat...

A przy tej ostatniej mogiłce rzekła z zakonnic jedna: »Ta wdową była i wielką panią na świecie... przywdziała habit po śmierci męża, któren zginął w powstaniu, w pół roku po ślubie... A że przez krzyż Pan Jezus ją pociągnął do Siebie, przybrała imię siostry od Krzyża...«

Druga zakonnica przystając wskazała:

»Oto grób siostry Rozalji, panie...«

Uklęknął i czytał na białej płytce ledwo już widoczne w mroku: 1849 — 1898.

Przed rokiem dopiero!... gdyby wcześniej był przyszedł, zastałby ją jeszcze, tę ostatnią!...

Długo patrzył w milczeniu na zakonny grób ubogi, gdzie pod ziemią tuż u jego nóg krew z jego krwi i kość z kości... ta siostra znana tak mało i rozłączona z nim przez całe prawie życie — jednak w tej chwili tak zda się bliska, tak swoja!

Tę jedną smutny pielgrzym odnalazł, idący z daleka — jeden ten grób!

. . . . . .

Zatrzymał się w Krakowie kilka dni w drodze powrotnej. Raz tylko był tam poprzednio, w czasie powstania, kiedy szukał Maryjki i nie znalazł.

Jak cień włóczył się po Wawelu, po kościołach, po mieście, i tak mówił sobie: czy jeszcze mija mnie może kto z tych na ulicy, com z nimi wtedy, za tamtej bytności, zetknął się przypadkiem? Czy już i z tych nawet wszystkich ludzi, nikogo?...

Na drugi dzień po przyjeździe, zwrócił uwagę jego afisz teatralny: »Dyktator«, dramat z 63-go roku, przez Jerzego Żuławskiego. Przystanął i czytał spis osób, w sztuce występu-

jących: Langiewicz, Jeziorański, Bentkowski, Śmiechowski, Henryka Pustowojtów... Jezus Marja! i Czachowski, jego stary wódz!!

Zobaczyć tak ich wszystkich na teatrze!...

»Żebym miał buty sprzedać, pójdę!!!«

Nie potrzeba było nawet aż tak heroicznej ofiary, bo bilety teatralne w owe czasy wcale były tanie, zwłaszcza, że pan Jeżewski przecież się nie pchał na miejsca najdroższe!

Przyszedł, kiedy teatr jeszcze zupełnie był pusty, tak się bał spóźnić.

Przygasły elektryczne lampy, i w świetle tych tylko niewidocznych, płonących u stóp sceny, na tle kotary ciemnopurpurowej stanęła postać Nieznajomego w czarny płaszcz odziana, i do skrytej w cieniu publiczności mówiła:

»Z narodu łez i krwi, ze sławy blasków,
»Z krzyków triumfu i z rozpaczy wrzasków,
»Z tego co wielkie, i święte, i krwawe,
»Gwoli potomnym czyni czas zabawę!...
»I na teatru deski malowane
»Wpędza widziadła z mogił wygrzebane...

...Z tych, co tu przyszli i patrzą, iluż przyszło, ilu, jak ten sybirski wygnaniec, z duszą we łzach i tęskniąca za tem, co dziś w grobie?...

Kto z tych, jak na święty obrządek za umarłych, nie na widowisko?...

Prolog w dalszym ciągu drwi gorzko i płacze.

Kto dziś wspomina jeszcze? Kto?

Już tylko gdzieś czasem, w starym jakim dworze...

Starzec jakiś, gdy zawyje smutno wichr jesienny...

»A ty... śmiej się do rozpuku!!...
»Z dziadowskich szaleństw śmiej się, trzeźwy wnuku!
»I klnij te ojce, te ojce szalone
»Co ci spuścizną zagony czerwone....
»Gorszą niewolę, i... wielkości brzemię!!«

Widmowa postać w czarnym płaszczu znak daje:

»Kurtyna w górę! Ty się baw, narodzie!

Zeszły się cienie zeszły na deski teatru...

Pan Jeżewski z tchem zapartym, wychylony z balkonu trzeciego piętra, że ledwo równowagi nie straci, oczami, słuchem, całą duszą, dramat pije, pochłania!

Dla niego, co ich widział, co ich znał, wszyscy oni jak z grobu dziś powstali: powstańcy! Langiewicz, Jeziorański, Śmiechowski, Bentkowski... I starzec groźny, żelazny, co tak padł naostatek, jak padli ci pod Termopilami, w kawałki rozsiekany, pułkownik jego, Czachowski!!

Gdy aktor przedstawiający Czachowskiego wszedł na scenę, pana Jeżewskiego prost dreszcz przeniknął, bo nic, tylko widział przed sobą ducha!

Jak się ta szelma ucharakteryzowała, na Boga! Skąd wiedział?... Z jakich wizerunków?... Jak żywy! jak żywy!

Po twarzy sybiraka łzy płyną rzęsiste.

»Że mnie też go jeszcze zobaczyć było!!«

Ta starszyzny narada na plebanji w Małogoszczy, stanowiąca o dalszych losach powstania — jak on ją był z bijącem sercem śledził, ściany byłby chciał przeniknąć, a wiedzieć!! Pamięta, po całej plebanji chodził i chodził jak ćma, jak pokutująca dusza tłukł się tu i tam, spokoju nie mogąc znaleźć...

A teraz, w lat trzydzieści kilka, tajna ta narada zmartwychwstała na teatrze, przed jego oczami, przed wszystkich oczami...

Pan Jeżewski już chwilami nie wie, czy śpi i śni, czy też to naprawdę?...

Akt drugi, trzeci...

Adjutant-Pustowojtówna z twarzą drobną, chłopięcą, pod zuchowatą czupryną ciemną (podobna nawet, jak mi Bóg miły) — oczami palącemi wpatrzona jak w tęczę w dyktatora, spojrzeniem tem błagająca: Ratuj Polskę! Bądź wielki!!

»A jeśli nim będzie Marjan Langiewicz?« —

pyta wódz dziewczyny.

»Pójdę za nim wszędzie!
»Na trud, na boje, w grób i na wygnanie!
»Tylko ty bądź mi bohaterem, panie!!«

Czwarty akt.

Runął posąg bohatera. Za Wisłę precz, zbawco niedoszły i nieszczęśliwy, za Wisłę w smutnym odwrocie!...

Na widowni garść straceńców pozostaje, arjergarda co odwrót słoni, gdy tuż blisko biją bębny, tarabany zwycięskich Moskali.

Tym śmierci żołnierzom wschodzące słońce oświeci za Wisłą zjawę Wawelu na niebie.

»Ave Patria! Te salutant morituri!!«

»Nie! — resurecturi!!« — drugi głos woła.

Zapada Siemiradzkiego kurtyna, z piękną Tragedją w żałobnym peplosie, wiecznie łamiącą dłonie. Publiczność hałaśliwie opuszcza teatr. Pan Jeżewski spłakany jak bóbr, a zawsze dokładny, do swego sąsiada z balkonu tak się zwraca:

»Śliczna byłaby ze wszystkiem sztuka, panie dobrodzieju, tylko że ten pan Żuławski bardzo wiele nakłamał! Bo ja tam byłem, panie, jak mnie pan tu widzisz, na tej plebanji w Małogoszczy! Jaka tam znów była ładna siostrzenica proboszcza, narzeczona powstańca? ? Faramuszki, dobrodzieju! Żadnej tam takiej! Była tylko stara, brzydka jak noc gospodyni!!«

Wracał do trzeciorzędnego swego hoteliku w noc jesienną, w miesięcznem świetle i we mgle skąpaną, i jakby bajkową, nierzeczywistą, do teatralnej dekoracji podobną. Suche liście na plantach, jak dywan z umarłego złota, szeleściły pod nogami.

I mówił sobie, że co ten czarny ludziom w oczy rzucił tam w teatrze, prawda gorzka i okrutna, ale prawda święta!

On sam, odkąd powrócił do kraju, widział i odczuwał, że to tak...

Że najlepsi nawet kochają Polskę już tylko jak matkę umarłą, której śmierć się przebolało i zrezygnowało na nią.

A inni! o tych i gadać niewarto!!...

Gdzież są, którzyby wierzyli, że ta Matka żywa jeszcze w swoim grobie?

»Jeszcze drugie pięćdziesiąt lat takiego błogosławionego pokoju, takiej organicznej pracy i »trzeźwej« polityki na dobitek, a znikniemy z obliczności ziemi!«

...Może tam gdzieś pod ziemią, w ciemnościach głuchych, kuły, kuły młoty, wykuwały polski miecz na jutrzejszy bój?...

Ale pan Jeżewski nic o nich nie wiedział, więc dusza jego smutna była bez granic.

Co będzie, co będzie, gdy przyjdzie Wielki Rycerz, wyleci wcwał z płomienistej zorzy, jak w ostatniej Anhellego pieśni, wołający że już czas!! że czas żywota dla ludzi silnych!! że oto zmartwychwstają narody, i gdzie był żołnierz, niech wstanie!!!

Czy na głos jego zbudzą się umarli?

Czy wstaną i pójdą za Rycerzem?

. . . . . .

Życie pana Jeżewskiego obfitowało, jako się widziało, w różne różności i rozmaitości najrozmaitsze, i los wciąż jeździł po nim jak po tym łysym koniu! — atoli to, co teraz nań padło, przechodzi już wszelkie dozwolone granice!

I gdyby to romans był albo powieść, wzięte ot poprostu z głowy, czy z powietrza, skąd pono biorą często gęsto temata swe pisarkowie — każden zarzucićby miał prawo, iż tu już pisarek grubo przeholował, czy tam przesolił, i że co zanadto, to niezdrowo.

Ale że to historja prawdziwa, najprawdziwsza, że pan Jeżewski istotnie żył i wycierpiał ponad zwykłą ludzką miarę, więc kronikarz jego smutnych dziejów takiemi je spisał poprostu, jakie były, nic tylko nie ujął — bo co dodawać i dokłamać autorskim obyczajem, to jak mi Bóg miły, nie było potrzeby.

Zaznaczyć jednak wypada, że tutaj już, i w tym razie, los wykroczył przeciw wszelkim dobrego smaku prawidłom, dopuścił się nieartystycznej przesady!

Powracającego z Galicji, zaraz za stacją Granica, capnęły pana Jeżewskiego »fijoły«.

Co? skąd? jak? Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie babińska karczma??

»Nic ty się, staryk, nie wykręcaj, bo nie wykręcisz! My to wiemy, że ty nie żaden Jeżewski, jako nam oczy mydlisz, i nie ze Syberji — a Deljanow, nihilist, co należał do spisku na cara jeszcze Aleksandra II., i tak się zatracił, swołocz, że go żandarmi przez 18 lat szukali nadaremno! Nu, ale tak i chwycilim ciebie wreszcie, Deljanow!

I pchali mu pod oczy triumfująco fotografją onego »nihilista«, carobójcy, Bogiem a prawdą tak do niego łudząco po-

dobną, że gdyby nie okoliczność rozstrzygająca, jako się już od czterdziestu lat blisko nie fotografował, nie mógłby był w żaden sposób sumiennie zaprzysiądz, że to nie jego wizerunek!

Nieprawdopodobne, ale prawdziwe — jest gdzieś jakaś powieść pod tym tytułem, napisana przez angielską lady, i tak jest czasem w życiu...

Starego zataszczono bez zwłoki do Warszawy, do cytadeli, strasznej tej kamiennej skrzyni, co pod bokiem tętniącej życiem stolicy wyrasta, grób dla żywych!

Nie pozwolono na nikogo się powołać: miał przecież znajomych już garstkę we Wilnie, u licha, i ci mogliby zaświadczyć!! — tłomaczeń żadnych nie raczono słuchać, papiery, co je miał przy sobie, świadczące, kto on, że z wygnania wrócił przed rokiem, a więc że siedział gdzieś nad Bajkałem w tym czasie, gdy Aleksandra II ubili, za sfałszowane uznano — i paszoł, dziadu, na Sybir z powrotem! a bezpowrotnie, bo wyrok brzmiał: W braku stanowczych dowodów na dożywotnie osiedlenie na Syberji.

Trzy tygodnie trwała droga. Tylko tym razem koleją, i nie w kajdanach. Zawsze w każdym razie był to już jakiś postęp! Mimo tych udogodnień, tak myślał, że żywy nie dojedzie i pragnął śmierci, i cieszył się na śmierć, bo co tego, to już zawiele!...

Roztoczyły się znów przed oczy starca białe rozłogi Sybiru, jeszcze raz...

Nad Sybirem srożyła się straszliwa zima-macocha, przeklinana od mieszkańców, gorzko przeklinana...

Przeznaczono go do Maryńskiej gubernji, Kamenskoj obłasti — na wieś, pięćset tylko wiorst od kolei.

Pieniądze, jakie miał przy sobie w chwili aresztowania, zabrali — obiecali zwrócić po przybyciu na miejsce, ale gdzie!... na drogę, powiadają, wyszły!

Zamieszkał we wsi z drugim posieleńcem.

Ksiądz ten był, jeszcze niestary, i krajan, bo z pod Wilna, Wołk się nazywał. Zesłany był administracyjnie na pięć lat, za nawoływanie parafijan z ambony, by się nie żenili z prawosławnemi. Złoty był człowiek i z sercem gołębiem, ale raptus, i często się też z panem Jeżewskim kłócili ząb za ząb.

Bo jeśli prawda, że i mucha głodne małżeństwo pokłóci, to cóż dopiero dwóch przygodnych towarzyszów niedoli, wygnanych na kraj świata i również często głodnych?

Po kilku już jednak tygodniach, przypadkowi koledzy stali się przyjaciółmi od serca, że jużby jednemu bez drugiego ciężko było, bardzo ciężko!

Zarabiali, ucząc dzieci mużyckie czytania, pisania, rachowania; mużyki znosiły im za to chleb, słoninę, herbatę — i tak żyli.

Pan Jeżewski zaraz po przybyciu rozpisał rozpaczliwe listy do tych wszystkich, których teraz w kraju poznał: ratujcie! ofiarą jestem strasznej pomyłki! Zaświadczcie! dopomóżcie! niech się wyjaśni, na Boga! Niech choć umrzeć powrócę do kraju!...

I właśnie szczęśliwie tak się zdarzyło, że jeden z adresatów, człowiek dość wpływowy, miał znajomego na wysokiem społecznem stanowisku w Warszawie, a ten znów osobiście znał Imeretyńskiego księcia, generał-gubernatora.

Imeretyński był najporządniejszy jeszcze człowiek z generał-gubernatorów, jakimi Rosja obdarzała Polskę w ciągu kilkudziesięciu lat, zarządził rewizję sprawy, dochodzić zaczęli i badać — i wybadali, że istotnie omyłka, że on, Jeżewski, na Syberji pokutował za stare grzechy, podówczas gdy Deljanow, zagubiony ten i nieodnaleziony! spiskował na życie cara.

W ciągu lata, Jeżewski otrzymał od naczalstwa wezwanie do najbliższego (o 100 wiorst!) miasta.

»Oszibka zdiełałaś« — pomyłka się stała — możesz pan wracać do kraju!

»A za co wrócę? nie mam grosza przy duszy! Nie prosiłem was, byście mnie tu przywozili, tak i za darmo odstawcie z powrotem!«

Dygnitarz powiatowy ramionami ruszył.

»Nie moje djeło!«

I wtedy pierwszy raz odkąd chodził po świecie, zrzucił pychę z serca, i zdecydował się o pomoc pieniężną prosić! Wszystko, wszystko raczej, niż umrzeć tu, w przeklętym tym kraju! Uciekać stąd, wyrwać się, bo widać, jakieś zaczarowanie, że go ten Sybir wciąż w łapy chwyta — że go pochwycił i drugi raz!!

Ksiądz Wołk go sfukał, że w zabobony wierzy, jak jaka stara klucznica, co człowiekowi z olejem w głowie, a co ważniejsza, katolikowi dobremu nie przystało — i skłócili się tego dnia na piękne i cały wieczór nie mówili do siebie, gdy pan Jeżewski ostentacyjnie plecami odwrócony do przyjaciela, zasiadł i koncypował list do wileńskich znajomych o pieniądze na podróż powrotną.

Niech się nikomu nie zdaje, że to jak w Europie! Pięćset wiorst od kolei, ni mniej, ni więcej! Nim list dobrnął i odpowiedź z pieniędzmi nadeszła, minęły trzy miesiące. Gdy nadeszła, ksiądz Wołk leżał właśnie ciężko chory, i pan Jeżewski dałby sobie raczej rękę uciąć, niż tak opuściłby przyjaciela! Pielęgnował go więc jak rodzonego brata, i dopiero gdy ksiądz wyzdrowiał, wyjechał.

Żegnali się okrutnie serdecznie, choć poprzednio tylekroć skakali sobie do oczu. Ale to pożegnanie nie było znów takie smutne, i nie tak już na śmierć! bo księdzu na rok przyszły kończyła się administracyjna kara, i miał zamiar powrócić do Wilna. O tem, aby na dawne probostwo powrócił, ani śnić, ani marzyć!

Rozstali się, mówiąc sobie: do widziska! do obaczyska! Rzadko tylko słyszy słowa takie Sybir, gdzie wszystko bywa: na zawsze i na: nigdy!

Pan Jeżewski dniem i nocą, bez odpoczynku, tysiącmilową sybirską koleją jechał do Wilna. Już mu tam po tylu włóczęgach, przeznaczony nareszcie etap jego życia ostatni.

. . . . . .

Lepiej późno, jak nigdy, to w każdym razie! Miał teraz nareszcie, chwalić Pana Boga, swój kąt, co choć ciasny, ale własny!

Miał jako nadzorca muzeum pensyjkę całkiem wystarczającą na jego skromne potrzeby, w kamieniczce pani Podraziny, właścicielki wypożyczalni książek pokoik czyściutki choć maleńki, i książek wbród!

Sąsiedztwo bowiem szanownej onej wdowy (honny soit qui mal y pense!) rozbudziło w starym drzemiącą snać głęboko a w ciągu całego życia niezaspokojoną namiętność; do czytania, naturalnie! Niech będzie co chce: powieści, history-

czne dzieła, pamiętniki... na wszystko był łasy! Co na placu, to nieprzyjaciel! Jeden tom na dzień, to przeciętne było jego zapotrzebowanie.

Czego nie lubił, to książek zbyt cienkich. »Co to z tego, raz do gęby i już!« — i zawsze też, wchodząc do czytelni, na objętość je oceniał: »Pani dobrodziejko, jeśli łaska, prosiłbym coś z tych grubszych!«

Naturalnie przedewszystkiem i nad wszystkich Sienkiewicz stał się jego ukochaniem! Przeczytał go całego od deski do deski, potem znów, jeszcze raz da capo al fine...

Następnie pogodził się na nowo z Kraszewskim, którego z początku dla Sienkiewicza zaniedbał i trochę zlekceważył. Dwieście tomów najpracowitszego z polskich pisarzy wystarczyło mu na pożywienie nieomal na rok.

Dla najnowszej literatury mniej miał zrozumienia. Ot poprostu, był już za stary! Nadaremnie panna Podrazianka, nosząca niebiańskie imię Serafiny, a przez matkę pospolicie nazywana Fińcią, panna z aspiracjami, starała się rozbudzić w nim zainteresowanie dla kierunku modernistycznego, nastrojowego i t. p.

Panna Fińcia była to wogóle natura bluszczowa, i zanim stała się modernistką, była przez lat dwa zagorzałą melomanką, w czasie, kiedy wszystkie swe nadzieje położyła w mieszkającym naprzeciwko nauczycielu muzyki. Wszystkie myszy z kamienicy precz wyemigrowały w muzykalnym tym okresie, tak od rana do wieczora bębniła bez miłosierdzia na fortepianie! Za myszami wyprowadziły się też aż dwie partje lokatorów! Gdy miejsce niewiernego muzyka (który się ożenił po upływie tych dwóch lat, ale nie z panną Fińcią!) zajął w matrymonjalnych tejże widokach profesor hołdujący najnowszym prądom literackim, panna Fińcia z pogardą jęła mówić o Sienkiewiczu-filistrze, a smakować nadewszystko w Przybyszewskim i satelitach jego.

Pana Jeżewskiego jednak jakoś nie udało się jej nawrócić; polecane mu przez nią książki brał i wprędce oddawał, przyznając się szczerze: »Ani w ząb nie rozumiem, dobrodziejko moja! Zwykręcane to jakieś, jak we wielkiej chorobie....«

Gdy już dekadent jaki nadto mu dojechał, charakteryzował go jednem energicznem określeniem: Złodziej!!

Raz wielce zgorszony, odniósł samej pani Podrazinie do rąk własnych »(bo pannie Serafinie tobym się wstydził, jak mam siedmdziesiąt lat!!)« powieść jednej z najmłodszych naszych autorek, specjalizującej się w rodzaju pornograficznym.

»Różnem rzeczy na tym świecie widział, i sam za młodu wcalem nie był święty, ale czegoś podobnego, wydrukowanego czarno na białem, jeszcze nie! Złodziejka!... złodziejka!... co ona tu popisała! Tfu, do licha!!«

Po roku przyjechał z Syberji ksiądz Wołk i zamieszkał na drugiej zaraz ulicy. Przyjaciele ucieszyli się serdecznie do siebie, i nie mogli się nigdy dość o polityce nagadać. Zwłaszcza pan Jeżewski najśmielsze i najfantastyczniejsze czynił kombinacje!

Codzień o najwcześniejszym poranku odprawiał ksiądz Wołk mszę u Ostrej Bramy, a stary powstaniec, punktualny jak zegarek, codziennie na mszy asystował i modlił się o cud dla Polski.

Bo chyba cudu by trzeba!

Tak płynęły lata....

— Gdy wybuchła wojna japońska, i przyszły rosyjskie klęski jedna za drugą, jedna za drugą, pan Jeżewski wpadł w ferwor niesłychany! Jakby mu ubyło ze dwadzieścia lat! Z dziką radością czytał komunikaty, że tu pancernik rosyjski w powietrze wyleciał, tam za jednym zamachem trzy tysiące sołdatów od wybuchu miny! — chodził po ulicach z obliczem zwycięzcy, i już się nawet teraz laską nie podpierał, jeno machał nią w powietrzu zawadjacko; gwizdał nawet!

»Tylko patrzeć, a w konkury pójdzie do panny Serafiny« — podrwiwał ksiądz Wołk.

Wojowniczy animusz starego rósł z każdym dniem. Co się nie nagadał, nie naciskał, wszem wobec nie natriumfował!

Raz, pani Podrazina w swej wypożyczalni za ladą usłyszała na górnem piętrze krzyk, jakby się ktoś z kimś kłócił ząb za ząb. »Fińciu, moje dziecko, co się tó dzieje??« — »To nic mamciu, to pan Jeżewski z księdzem Wołkiem o polityce radzą, i niewiem nawet dlaczego tak krzyczą, bo obaj jednego zdania!«

Ale czasem, to aż reflektować musiał przyjaciela sam ksiądz Wołk.

»Chcesz się dobrodziej jeszcze trzeci raz na Sybir przejechać?... jeszcze ci mało?... jeszcze cię nie wystudziło?«

Panu Jeżewskiemu było tak, jakby od tego tam daleko Wschodzącego Słońca szła ku nam zorza, zorza nadziei!...

Gdy nastąpiła pierwsza walna bitwa nad rzeką Jalu, i skończyła się wspaniałem zwycięztwem bohaterskich wojsk mikada, stary poszedł zamówić u przyjaciela mszę śpiewaną na intencją, aby Moskale i nadal tak setnie w skórę brali!

Ksiądz Wołk jednak zaczął głową kręcić.

»Co innego, że się tam każdy Polak w głębi duszy raduje, co innego... ale na szkodę znów czyjąś, choćby hycla najgorszego, mszę odprawiać...: przecież to także, że tak powiem, bliźni...« — dokończył niezbyt pewnie.

»No to odpraw ksiądz nabożeństwo, żeby się tym kochanym Japończykom powodziło, i żeby zwyciężali; to chyba zdaje mi się, też bliźni, i myślę, lepsi trochę!! Jak już tak chcesz, niech będzie; nie kijem, ale pałką, byle skutek tensam!«

Równocześnie gdzieś z głębokości licznych kieszeni swego płaszcza, wydobywał srebrnego rubla.

»Wynoś mi się pan ze swoim rublem! Patrzajcie go, jaki miljoner!! Cóż to, od ciebie będę brał?? Odprawię, na taką intencją odprawię i z własnej ochoty, bez pańskiego głupiego rubla!«

»A cóż to ja, dziad? Potrzeba mi od księdza jałmużny, albo co? Jak Boga kocham, tak się już tego rubla nie tknę, pierwszemu dziadowi dam pod kościołem!«

Istotnie w chwilę potem wspaniałym gestem rzucił go trochę ślepej, trochę krzywej, złożonej we dwoje jak kozik babce pod Ostrą Bramą, która jednak na widok rubla skoczyła jak gazela, i ucałowała połę pana Jeżewskiego, nazywając go panem hrabią.

Tak co miesiąc regularnie powtarzał się spór przyjaciół, ten »pojedynek szlachetnych«, i co miesiąc ksiądz Wołk bezinteresownie mszę śpiewał za powodzenie Japończyków (rozumie się, nikt o tem nie wiedział, tylko oni dwaj, na intencją jaką!) — pan Jeżewski zaś na stałe już został hrabią u ostrobramskich dziadów.

Jakoś te intencje dobrze Japończykom robiły, bo co bitwa, to Moskal bierze cięgi, aż się ten głupi car skrobie!

Gdy w dodatku w 1905-tym wybuchła rewolucja, sybirak z radości ledwie nie oszalał.

»Początek końca! początek końca! — wykrzykiwał. Chciałbym, żeby aż tu przyszli, żółtogęby te morowe! Dawajcie mnie tu żółte niebezpieczeństwo!! Żeby z Moskwy nie został kamień na kamieniu!! Żeby Petersburg zburzyli, zaorali, i pszenicą zasiali! Tak, pszenicą, dobrodzieju!!!«

Wnet się nadzieje rozwiały. Już po wojnie, już po rewolucji, a tron cara jak stał, tak stoi.

Pan Jeżewski posmutniał okrutnie i odrazu postarzał o całe lata. Chodził teraz zgarbiony, z głową pochyloną, ciężko na kiju wsparty; już nim nie wywijał jak pałaszem, już nie gwizdał...

»Teraz to już »zdechł pies!« Ktoś tam inny zobaczy, ja już nie zobaczę!...«

I gdy często bardzo teraz śmierć w myśli stawała, bo ośmdziesiątka już na karku, tak się panu Jeżewskiemu nieraz z głębi duszy wyrywało ostatnie życzenie:

»Jak przyjdę na tamten świat, po wszystkich tych moich delicjach na tym — a spotkam tam gdzie Moskala, żebym mógł choć dać mu »w lampę«, aż mu siedm kościołów zaświeci!!!«

XII.

Aż przyszło lato 1914-go, roku wojny, roku urodzaju...

Co go długo będą wspominać, starcami jeszcze wspominać będą i nigdy nie zapomną ci co nań patrzyli młodzi... co o nim i w sto lat pieśń zagwarzy!

Jak o tym z przed stu lat, 1812-tym...

Znowu jak przed wiekiem, jak przed wiekiem!... aż strach serce ściska, ze słodką nadzieją pomieszany! Nic tylko jakby wstecz zawróciło się niepowrotne koło Czasu...

To błękitne lato, ociężałe złotym plonem, nad polską ziemią uśmiechnięte w ciszy, w takiej ciszy...

Cała ta ziemia, wszystkie żywioły, wichry i wody, jakby oddech wstrzymywały w oczekiwaniu tego, co przyjdzie, co idzie, o czem ludzie nie wiedzieli...

Przeciche lato, jak zaczarowane... ledwo, ledwo oddychała pierś ziemi... ledwo zaszeptać ważyły się drzewa... wiatr przypadł do pól, do lasów, utopił się w złotem zbożu, w złotem morzu, w czarnych uroczyskach puszcz, przyczaił się i spał...

W tem błękitnem urzeczeniu, wstała naraz nad światem Wielka Wojna.

Purpurowa, straszna Pani!...

Jak gdyby góry ruszyły z posad swoich, ruszyły przed siebie, na siebie, zetrzeć się w zderzeniu straszliwem, nieoglądanem ludzkiem okiem!

Jak gdyby wystąpiły z brzegów, zalać świat, oceany oszalałe!

Powstał naród przeciwko narodowi i królestwo przeciwko królestwu, jako prorokowane w Apokalipsie...

W tej rozgorzałej wojnie, największej w dziejach świata, kością niezgody przedewszystkiem między Moskalem a Niem-

cem — postawem sukna czerwonego, krwawego, które ten i ów drzeć będzie ku sobie — szachownicą na której wróg jeden z drugim zapasy zawiedzie: nasze, polskie ziemie!!

...«Wojna o Polskę, ale nie za Polskę? O nas, bez nas?? O, do djabła! Tak to znów nie pójdzie!! My, żywe ciało, u krocset piorunów, nie kość ogryziona, nie postaw sukna pod nożyce czy martwa szachownica! Choć nas krajecie, mordujecie od stu czterdziestu lat, my jeszcze żyjemy!!!«

Pan Jeżewski na pierwsze wojenne wieści odrazu znów stanął w ogniu cały, zapłonął po staremu jak pochodnia!

...Calusieńki dzień tłukł się teraz po mieście, jak ten Marek po piekle, zasięgać wiadomości, nagadać się z ludźmi o tem co się działo i dziać będzie — bo gdyby mu tak teraz milczeć przyszło, rozsadziłoby go chyba!

W nocy nawet spokoju znaleźć ani rusz! W nocy właśnie najprzedziwniejsze kombinacje do głowy przychodzą!

Przewracał się też z boku na bok, przewracał, od wieczora aż do świtu, takie historje rojąc niesłychane, że gdy nadchodził ranek, a z nim i otrzeźwienie, mówił sobie, że pewno w nocy musiał mieć gorączkę, nic innego!

...O jakiemś polskiem wojsku, co skąd? spadnie z nieba, albo wyskoczy zbrojne z ziemi, w której spoczywało uśpione, wyczekujące... o jakichś »powstańcach«, którzy teraz, korzystając że się świat naokół pali, wezmą i pójdą ot poprostu na Moskala, na niego w pierwszym rzędzie! (pan Jeżewski, przecierpiawszy tyle od Rosji, naturalnie przedewszystkiem carat miał na wątrobie, w drugiej linji dopiero Niemców, o których szelmostwach tylko słyszał z daleka, nie doświadczył ich dotąd jeszcze na własnej skórze!) A potem, gdy Bóg da, że się załatwią z Moskalem, hajże dopiero na Niemca jakiegoniebądź gatunku, pruskiego, czy austryjackiego!...

Tak oto roił nocami biedny, stary, szalony łeb...

...Niech tylko nikt nie mówi, że się nie dzieją cuda na świecie! Jak kto się gwałtem wzbrania widzieć, jakby przemocą pakował pięści w oczy, żeby nie widzieć, że słońce świeci, a potem krzyczał że ciemno!... no, to już jego własna wina, nie czyja!!!

Powiadają, że wszystko czego człowiek pragnie mocno, mocno, ale to tak, żeby za to dał się zabić! spełnia się zawsze

w życiu... czasem późno, zapóźno, czasem dopiero wtedy, kiedy śmierć do drzwi puka i człowiekowi nic już po niczem z tego świata...

Albo bywa, i to najsmutniej! że wtedy, kiedy dusza już nie pragnie, kiedy innymi tory już powędrowała... wszystkie jej łaknienia, tęsknoty...

Ale, powiadają, święcie się zawsze spełnia, prędzej czy później...!

Pana Jeżewskiego szalone marzenia o »powstaniu«, polskiem wojsku, polskim Wodzu, hołubione w duszy skrycie tyle lat, a dzisiaj równocześnie z wojenną burzą wybuchłe palącym strumieniem, jak strumień lawy, — patrzaj, oto stało się ciałem!!!

.....Czytał i oczy przecierał. Czytał i oczom nie wierzył. Ręce mu latały jak w febrze, a w tych rękach roztrzęsionych rosyjski dziennik wychodzący w Wilnie.

(W polskim wzmianki o podobnej »zgrozie« nie przepuściłaby cenzura!)

Czarno na białem stało drukowane:

»Banda polskich strzelców z Krakowa, w przeważającej liczbie rosyjskich poddanych, buuntowników i bojowców z 1905 jeszcze roku, pod wodzą niejakiego Józefa Piłsudskiego, dawnego również spiskowca i rewolucjonisty, wtargnęła samowolnie, idąc w awangardzie przed armją austryjacką, na teren Priwiślińja, zanim wojna jeszcze przez Austrję urzędownie Rosji wypowiedziana, i zajęła Miechów i Kielce, opuszczone przedtem planowo przez nasze sławne wojska!«

Następowały epitety jak »zdrajcy Słowiańszczyzny«, »pachołki Germańców« i t. p. — i groźby, że ci buntownicy i zdrajcy potraktowani będą z całą surowością, i w żadnym razie nie za wojennych jeńców uważani, ale karani doraźnie za bunt!

Poprzez obelgi, poprzez wyzwiska i pomawianie o służenie »Germańcom«, pan Jeżewski ujrzał jeden tylko fakt, który uderzył go w oczy jak błyskawicą, poraził od stóp do głów nakształt pioruna, że długo nie mógł przemówić słowa.

»Powstanie!!! jak Boga kocham! powstanie!!!«

Wtedy to po pierwszy raz, we wrogim rosyjskim dzienniku wyczytał pan Jeżewski nazwisko Józefa Piłsudskiego.

Gdyby był wiedział, czem dla niego, dla jego duszy stęsknionej, stanie się to imię -- czem dla całej Polski! Ale i ta Polska jeszcze nie wiedziała, nie przeczuwała!...

Wrócił wtedy z miasta »jak na skrzydłach«, jak później opowiadał księdzu Wołkowi — niosąc pani Podrazinie, pannie Finci i wszystkim swym w kamienicy sąsiadom wielką wieść, wieść o »powstaniu«.

Kto pod ręką, kto po drodze!... Pani Podrazina, jako mieszkająca na parterze, pierwsza była po drodze, a więc do niej jak w dym.

Ale ledwo zdumionym kobietom zaczął tłomaczyć »na ludzki język z tego tam baraniego« (kupił ten numer gazety, na dowód prawdziwości słów swoich) i z głośnemi komentarzami a energicznem wymachiwaniem rękami i laską kładł w głowę, jak łopatą, co się stało, że się stała taka wielka rzecz!!... — wnet wbiegł z drugą gazetą drugi lokator pani Podraziny, obecny a coś już czwarty z rzędu narzeczony panny Fińci, elegancki pan Klemens, zwany Kluciem.

»Czytaliście państwo odezwę wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, generalissimusa naszych wojsk? Coś nadzwyczajnego!!!«

Pan Jeżewski spojrzał koso, po pierwsze nierad, że mu przerywają, po drugie, bo cierpieć nie mógł pana Klucia, i odpowiedział przez ramię:

»Nie czytałem i nie ciekawym, co tam taki pisze!«

Tutaj o osobie pana Klucia słów kilkoro.

Ze społecznego położenia inteligent, (choć inteligencją skąpo go obdarzyła matka natura) z sympatji politycznych narodowy demokrata, vulgo endek, z zawodu administrator świeżego powietrza. Ptak niebieski, który nie orał, nie siał i nie prządł, a był zawsze syty i modnie odziany — najczęściej na kredyt, ot, jak dziś, w nowiusieńki tużurek w kratki i kamaszki w szpic, żółciejsze od jajecznicy. Pan Klucio nibyto zawzięcie szukał i szukał »pozycji«, ale jak dotąd, miał tylko piękne »widoki«, t. j. dwie kamieniczne ciotki, z których jedna miała otłuszczenie serca, druga cukrową chorobę. Lecz że mimo to żyły uparcie, i uparcie również zaciskały sznurki mieszka, pan Klucio, wyznawca trzeźwej polityki i w sprawach prywatnych, zdecydował się związać pierścionkiem z mocno już jesiennym

kwiatkiem, córką swej gospodyni, panną Podrazianką. Bo to jako narzeczony, rozumiecie, w płaceniu komornego miał wszelkie ulgi (wistocie nie płacił wcale) przytem tak się jakoś z czasem utarło, że i wikt i opierunek...

Pan Klucio ze szczętem już »przysechł« do tych pań. Ślub odkładano do pory znalezienia »pozycji«, choć panna Fińcia radaby przyspieszyć; ale jej sam narzeczony dawał przykład cierpliwości...

»Bardzo, bardzo gustowny kawaler!« — zachwycała się samaż mama Podrazina i wszystkie sąsiadki z kamienicy.

Dekoltowany á la Słowacki, w krawacie fijołkowym fantazyjnie zawiązanym, po angielsku wygolony, nieskończenie długi i chudy jak tyka, »bujający się jak topola«, określała go panna Fincia z mgłą zachwytu na oczach — kręcił się oto jak fryga po »bawialeńce« pani Podraziny, roztopiony w wykrzyknikach i zachwytach nad odezwą wielkiego księcia.

»Nadzwyczajne!!! nadzwyczajne! Po ulicach rozlepiają! Czytajcie! czytajcie! »Braterskie pojednanie się narodu polskiego z Wielką Rosją...« »Niech połączy się Polska w jedno ciało pod berłem cesarza Wszechrosji... swobodna w swojej wierze, języku i samorządzie...« »Nie zardzewiał jeszcze miecz, który pod Grunwaldem!!...« Nadzwyczajne! Co za człowiek, moi państwo! wielki człowiek! Prawdziwy wódz połączonej Słowiańszczyzny!!!«

Podrygiwał pan Klucio w paroksyźmie uczuć wiernopoddańczych i słowiańskich jak w tańcu świętego Wita, płachtą manifestu potrząsając przed oczami panny Fińci, »mamci« i pana Jeżewskiego.

Ale pan Jeżewski z miejsca jak lew ryknął:

»Co??? miecz grunwaldzki w obronie Moskala, najgorszego kata?? Pachołkami carskimi być?? Złączenie całej Polski w brzuchu niedźwiedzia? Tfu, panie, trzeba chyba nie mieć rozumu w głowie ani wstydu w oczach, żeby takie bezeceństwa po uczciwych domach obnosić!!!«

Pan Klucio, endek, jako się rzekło, uśmiechnął się zjadliwie i odrazu wytoczył zwykłe swej partji grube działo:

»Pan dobrodziej, jak widzę, usposobiony raczej germanofilsko?«

»Szczęście masz pan, panie, żem człowiek dobrze wychowany, bo inaczej, tobym panu tego germanofila napowrót w gardło wtłoczył!!! Ja tym i tamtym hyclom tak dobrze życzę, żebym rad, by się ten pański Mikołajewicz z tym pruskim Wilhelmem tak pozagryzali, pozjadali naostatek, ażby z nich tylko dwie pary butów zostały!!! Dobrze mówię, same buty, nic więcej!!«

Panna Fińcia, stając między zwaśnionymi jak anioł pokoju, zaświegotała głosem słodszym od fletni:

»Nie trzeba brać za złe panu Jeżewskiemu, jeśli się uniósł, panie Kluciu! Pan Jeżewski taki zdenerwowany wiadomością o tych powstańcach!...«

»Nie jestem wcale zdenerwowany! — stary weteran krzyknął, który takie posądzenie uważał za najgorszą obrazę, a nerwy, tylko za „grymasy, panie"! — Jestem uszczęśliwiony, jakby mnie kto na sto koni wsadził!! Czytaj pan, no czytajże, to trochę większa rzecz od manifestu jakiegoś tam kacapa!!!«

Pan Klucio przeczytał wzmiankę o strzelcach i Piłsudskim, i pogardliwie wydął wargi.

»Phi! jakaś socjalistyczna awantura... Nie rozumiem, że się pan tak dobrodziej przejmuje! Przecież wyraźnie stoi napisane. bojowcy, rewolucjoniści z 1905-go... No! już jeżeli w takich panach pokładać mamy nadzieję!... W każdym razie już ja wolę się trzymać obietnic wielkiego księcia, bądź co bądź prawowitej władzy...«

»Nie warteś pan butów czyścić tym rewolucjonistom!!! Wiesz ty, wiesz, kto są ci ludzie?? To nowi powstańcy!!! Przed nimi panie, czapkę ze łba!!! A ty co? Błazen! dudek! wąchałeś kiedy proch, co, wąchałeś??«

»Ależ panie dobrodzieju, doprawdy!!!...« — protestował pan Klucio, rejterując odruchowo ku drzwiom.

»Odpowiadaj: Wąchałeś??? Poniewierałeś się po Syberji?? Prali cię nahajami po cytadelach??? Prawowita władza! patrzajcie go!! Dziegieć moskiewski mu pachnie! Idź! liż twego wielkiego księcia po butach, czy gdzie tam!! Perekińczyk! Za moich czasów byliby takiego ananasa z każdego porządnego polskiego domu na łeb wyrzucili!!!« — wrzeszczał na całe gardło pan Jeżewski, zapamiętawszy się już na piękne, a wtórował mu spazmatyczny płacz panny Fińci, która

z wdziękiem złamanej trzciny opuściła się na kanapę, oznajmując mamci i wszem wobec, że umiera...

»Matko Boska Ostrobramska!!« — piała cieniuteńkim głosem przerażona pani Podrazina.

Ale pan Jeżewski wiedział doskonale, że panna Fincia nie umrze bynajmniej, i wyszedł nieporuszony, wielce jeszcze rozjuszony, rzuciwszy przeciwnikowi ostatnie zabójcze:

»Dziegciarz zatracony!!!«

Następstwem było, że się wyprowadził od pani Podraziny.

»Nie będę, panie, ani dnia mieszkał w takim domu, gdzie dziegieć moskiewski śmierdzi!!«

I nietylko się wyprowadził, ale i wszelkie stosunki dyplomatyczne zerwane z tymi paniami, które zgodnie stanęły po stronie »zjeżdżonego, jak ten bury pies«, pana Klucia.

Gdy je przypadkiem spotkał później na ulicy, przechodził profilem, patrząc gdzieś prościuteńko przed siebie i udając że nie widzi.

Wyrzekł się w ten sposób nawet ukochanych swoich książek z wypożyczalni pani Podraziny; ostatnią tę namiętność swych ośmdziesięciu lat złożył na ołtarzu przekonań politycznych!

Taki już był całe życie: „żadnych kompromisów, panie!!!"

Najgorsze to, że, jak się niestety przekonał, nietylko takiego pana Klucia, ale i mądrzejszych nawet od niego, manifest Mikołaja Mikołajewicza wielu wziął na kawał.

Precz słyszało się teraz po Wilnie, czytało w dziennikach: »nasze wojska«, »nasze sukcesy...«

W Warszawie arystokratyczne lafiryndy ofiarowały złotą szablę jenerałowi Ruzskiemu, »zdobywcy Lwowa«, a on im odpowiedział policzkiem, bo honorowego daru nie przyjął — mniej zaś arystokratyczne na ulicach Warszawy kwiatami obsypywały kozaków ciągnących na podbój Galicji!

Że pana Jeżewskiego wśród tego wszystkiego paraliż nie ruszył, krew nie zalała, to cud!

Pan Jeżewski teozofem nie był, broń Boże, i gdyby nawet coś zasłyszał o tak modnej obecnie teorji reinkarnacji, nazwałby ją z pewnością grzesznem jakiemś cudactwem, niczem wiecej! — jednakże, gdy oglądał w pismach ilustrowanych podobiznę Mikołaja Mikołajewicza, tę wyniosłą, groźną, sztywną postać, tę złą twarz i te straszne oczy, podobne do oczu dziada,

pierwszego Mikołaja... kiedy słyszał, jak podobno wielki książe w pasji takuteńko oficerów kułakami częstuje, szlify zdziera — zapytywał siebie z dreszczem zabobonnej trwogi, czyli się w tym może na zagładę Polski nie odrodził tamten czart?....

Pan Jeżewski był, widać, także indywidualistą, bo zawsze wszystkie swe ukochania jakiejś sprawy czy też jej nienawiść koniecznie musiał w kimś uosabiać sobie, »aby panie, wyraźniej to człek miał przed oczami!«

To też i nienawiść całego swego życia do caratu ześrodkował teraz na osobie carskiego generalissimusa, którego odezwa »tylu głupim przewróciła w głowie« — i kiedy ten na czele rosyjskiej nawały szedł dalej i dalej w polskie ziemie, wszystkie »połączyć!« — pan Jeżewski słał w ślad za nim i za jego »sławną« armją pobożne życzenia: »Bodajeś nogi połamał! bodajeś pękł i do domu nie wrócił!! Bodaj was wszystkich djabli wzięli!!!!«

Niech nikt przeto nie pomyśli, na miły Bóg, jakoby się pan Jeżewski skłaniał do germanofilskiej orjentacji, jak mu to w oczy rzucił pan Klucio, narodowy demokrata!

Pan Jeżewski takuteńkie serdeczne uczucia żywił dla niemieckiego kaisera jak i dla wielkiego księcia, tylko że przecież trzeba, aby ktoś Moskali zbił koniecznie, więc niech to już choć i Niemiec z Austryjakiem — a zato Niemca dopieroż na francuskim froncie Francuzi, Belgowie, Anglicy, i »wszelakie nacje!«.

Radował się też z serca, radował, kiedy Moskale w Prusach Wschodnich setnie w skórę wzięli i w mazurskich jeziorach wytopili się jak rude myszy, — ale uciecha mu też była okrutna, kiedy marszałek Joffre siarczyście Niemców sprał, że odskoczyli w tył odrazu o setkę kilometrów, niby te prusaki wrzątkiem zlane — kiedyto Francją uratował tylko bohaterski wysiłek i cud Boży prawdziwy, wspaniały cud Marny!

Jako się później okazać miało: bardzo, bardzo roztropna i głęboko polityczna ta pana Jeżewskiego orjentacja, żeby tak, klin klinem!

— Okropnie ciężka była ta jesień i ta zima!... Jak dwa rozwścieklone buhaje, zczepiwszy się rogami w boju zaciekłym,

wodziły się za łby, przewalały nieprzyjacielskie armje po naszej ziemi, depcąc ją i tratując.

Nadszedł Listopad. Rosyjska powódź zalała już prawie całą Galicją, podchodziła pod Kraków. W nocnych zmorach męczących pan Jeżewski tutaj we Wilnie widywał znienawidzonego Mikołaja Mikołajewicza i zwycięskie żółtoszare szynele na wawelskim zamku!...

We Lwowie gubernator Bobrinskij proklamował Galicję Wschodnią krajem istinno russkim, powracającym po wiekach na łono wielkiej macierzy... a w miarę powodzeń, w zuchwałej bucie przesuwali kolejno zdobywcy tę linję istinnej rosyjskości daleko na zachód, aż po Dunajec!

Zagłada szła. Już, zdawało się, przyrzeczone »złączenie« dopełnione, w paszczy niedźwiedzia!!

Łamała się dusza i upadała pod ciężarem rozpaczy w tym strasznym Listopadzie, w tym Grudniu czarnym jak noc.

A przecież, przez tę czarność, jęły przenikać i promyki... jasne promienie chwały!

Poprzez wojenny front, mimo przemilczeń urzędowych dzienników i obostrzeń cenzury, jęło przenikać coraz więcej o Legionach. O bohaterskich zapasach pierwszej brygady pod Komendantem Piłsudskim: Laski, Krzywopłoty, Łowczówek, Konary, jasne te rubiny w łańcuchu chwały polskiego żołnierza! I o epopei »żelaznej« brygady Zielińskiego i Hallera, zimowej kampanji na karpackich szczytach i w przepaściach Karpat.

Legjony!... rycerski ten sen o szpadzie, przez jednego człowieka śniony uparcie od lat, aż ten człowiek jak w bajce głową mur przebił, z piasku bicz ukręcił, zbudził śpiące pod ziemią polskie wojsko!

Żelazną wolą, nadludzkim trudem... i wielką Bożą łaską, która nad tą głową wybrańca!...

Z wileńskiej ziemi rodem Józef Piłsudski, z tej co w 63-cim najokrutniej spłynęła krwią...

»Zrodziłam ciebie, abyś był mścicielem,
»Synu popiołów...!

W sercu pana Jeżewskiego, gdy słuchał opowieści, ożywała wiara w cud, w przepowiednie naszych wieszczów, i zrywało się, jak łkanie szczęśliwości, wielkie wołanie: To On! to On!! to On!!!

Coś ze dwa czy trzy razy, w rosyjskich dziennikach, przepełnionych tendencyjnie fałszywemi pogłoskami, pojawiła się wzmianka, że Piłsudski zginął, że »polskie bandy« do nogi wybite.

Stary powstaniec nigdy takim wieściom nie wierzył.

Nie! On nie mógł zginąć, nim wypełni, po co się narodził! Oni tak przepaść nie mogli, na Boga! to nasze nowe powstanie!...

A jednak?... — szeptało zwątpienie w czarnych godzinach... najgorzej w godzinach bezsennych nocy.

Tyle to już razy w życiu widziałeś, stary, a rozumu jeszcze nie nabrałeś?... patrzyłeś temi oczami na upadek Szamila po 40 latach walki, tego co był jak Król-duch swego ludu... A my... a 63-ci?... A Sierakowski... Czachowski?... Może jeszcze raz, jak i my byliśmy, ci, tylko »kamienie, przez Boga rzucane ną szaniec!...«.

»Nie, nie! wszystko ma swoje granice!...« — pocieszał się pan Jeżewski. I z dziecinną jakąś, mocną, że aż zuchwałą ufnością w miłosierdzie Boże, tak się modlił na codziennej rannej mszy w Ostrej Bramie:

»Nie... Panie Boże! po tem całem mojem życiu... Tybyś mi przecież już tego nie zrobił!!... teraz, nad samym moim grobem!!«.

Skakał do oczu każdemu, kto takiej przeklętej pogłosce uwierzył — ale sam przez jakiś czas potem studjował dzienniki z trwogą okrutną — i gdy się okazało, że nieprawda, msze zamawiał na gorące Matce Ostrobramskiej podziękowanie.

Z początkiem maja, armje państw centralnych pod Gorlicami przełamały rosyjski front, i żelazny walec, który przed pół rokiem przetratował Polskę od wschodu na zachód, teraz potoczył się niepowstrzymanym pędem daleko, daleko ku wschodowi...

Przemyśl... Lwów... Warszawa!... już i Litwę, gdzie po dziś cicho jak u Pana Boga za piecem i tylko gdzieś tam ze świata dolatywały wieści o wojnie, objął pożar wojny...

Ha! trudno!... skoro inaczej być nie może!... klin klinem!!...

Ku jesieni przechylało się lato, kiedy Wilno w pośpiechu, w rozsypce, opuszczali Moskale.

Co się nie działo! co się nie działo, panie święty! Jak rzeka co płynie i nie spocznie, dwa dni i dwie noce odpływały przez miasto cofającego się wojska oddziały, wszystko skotłowane, pomieszane, jak groch z kapustą! A za wojskiem wozy, wozy, wozy, że końca nie zobaczysz!

Czterema naraz rzędami, co koń wyskoczy, pędziły ulicami furgony te oszalałe, jakby już tuż tuż »Germańcy« na piętach.

Za wojskiem, za wozami, ludziska te jakby na czysto poszaleli! Chwycił taki jeden, drugi, co pod ręką, ten kuferek, ten tłomok jakiś z pod którego prawie widać go nie było, ów worek, czy poduszkę... co przyłapał! Płakały głośno, przeklinały Niemców i zawodziły kobiety, niosące na rękach lub wlokące za sobą małe dzieci... Wędrówka ludów!...

Panikę najokropniejszą szerzyły same rosyjskie wojska straszące rzeziami, okrucieństwami »Germańców«.

Starą, wypróbowaną, tatarską metodą, ustępujące te wojska paliły wsie za sobą, dziesiątkami tysięcy, setkami tysięcy pędziły przed sobą ludność bezradną, steroryzowaną, ogłupiałą.

Gdzie oczy poniosą... w głąb Rosji... na najstraszniejszą poniewierkę... byle przed siebie... byle przed siebie!...

Od trzech dni, Wilno jak w ognistym wieńcu dookoła, w czerwonym wieńcu podpalonych wsi.

Szli precz z Wilna Moskale, precz po stu dwudziestu latach!

Widome znaki swego tu panowania zabierali ze sobą: pomniki Katarzyny carycy i Murawiewa.

Carskiej Rosji patrony, czczone ikony: nierządnica i kat!

Pan Jeżewski stał w tłumie i przyglądał się, jak w dół na sznurach ściągali z piedestału Murawiewa.

Deszcz lał jak z cebra, ale żeby nawet i nie deszcz, żeby same te z niemieckich grubych Bert »kuferki!«

Takie widowisko!! Dziesięć lat życia oddać za to widowisko!!!

Tyle razy, anibyś nie zliczył, widywał je pan Jeżewski w marzeniach swoich, zdawało się wówczas, szalonych!

Murawiewa na ziemię zwalonego, w błocie...

Nie chciał pan Jeżewski myśleć o triumfie Niemców! Nie chciał psuć sobie dzisiejszego święta! Dziś cieszył się

tylko całą duszą, że Moskali djabli biorą! Jutro ...? jutro dość będzie czasu trapić się tą nową biedą, co znów nad karkiem...

Twardo przywarł do piedestału śpiżowy Wieszatiel! Niełacno mu było opuścić wywyższenie! Aż powrozy grube jak okrętowe liny okręcić mu w koło szyi musieli sołdaci zziajani, spracowani, zwijający się jak w ukropie, popędzani nahajkami oficerów: prędzej! prędzej!

Jedzie już!... zjeżdża w dół Murawiew na sznurze! Nareszcie, nareszcie, stryczkaś się doczekał, co ci się tak święcie należał!!!

»Co?? a miło ci też tam, miło, na to co się tu wyrabia, patrzeć z piekła, Wieszatielu?? Bo że tam tobie już Belzebub raport o tem do kotła ze smołą!!... że uciekacie, patrz, z Wilna uciekacie jak zmyci!!!«

Pan Jeżewski w wyzywającej wprost postawie, z rękami po napoleońsku skrzyżowanemi na piersiach, w kapeluszu na bakier, jak mi Bóg miły! na bakier z djabelną fantazją! patrzał ostro jak jastrząb dziwnie w tej chwili odmłodzonemi, uszczęśliwionemi oczami na powalonego spiżowego wroga, na pomnik hańby, na symbol niewoli...

O! gdyby na tym potwornym łbie, który i ze ziemi spogląda jak żywy, jak zły pies, postawić mściwą, druzgoczącą stopę!!

I te uczucia starca musiały się na jego twarzy odbić jak w zwierciedle, bo obok stojący i rozbieraniem pomnika kierujący oficerek, biały i różowy jak panienka, i wcięty w pasie jak panienka, tak do niego śpiewnemi rosyjskiemi zgłoskami, świegotliwym, dziewczęcym niemal głosem, w którym był równocześnie jakby syk nadeptanego padalca:

»Ty się cieszysz... tobie radość, polskaja swołocz!!!«

Nahajka w ręku delikatnego praporszczyka spadła na twarz starca, jak ognisty wąż, że w oczach zawirowały zda się wszystkie gwiazdy niebios, i padł na bruk starzec krwią zalany...

Moskal uchodzący ze zrabowanej ziemi jak zbity pies, nahajką oto żegnał polskiego męczennika.

Takie było ostatnie pana Jeżewskiego spotkanie z carskim rzeczy porządkiem.

Następnego ranka wkroczyli Niemcy i rozpoczął się drugi akt tragedji Wilna i Litwy...

XIII.

Pan Jeżewski tak pocieszał księdza Wołka, okrutnie tem przygnębionego, co się teraz w Wilnie działo:

»Moskale, widzisz ksiądz, to byli jak ten rak, na który, powiadają, już niema lekarstwa, gdy się ludzkiego ciała uczepi! Niemcy, to jak tyfus plamisty: jak przyszli, tak i pójdą sobie do djabła!«

Nie zanosiło się jednak na razie, aby tak rychło pójść mieli do djabła!

Jak przyszli, tak i siedzieli; rok, drugi, trzeci...

Z ramienia kaisera rządził w Wilnie General-Gouverneur książę Ysenburg, który wnet u nieszczęśliwych mieszkańców okupowanej Litwy zarobił sobie na piękne nazwanie: pruskiego Murawiewa!!

Nie szubienicami, nie terorem... pfui Teufel!! niemiecki kulturmensch dzikimi carskimi metodami się brzydził! Działał środkiem bezkrwawym, ale w rezultacie równie skutecznym jak stryczek: głodem...

Jak te pająki, wysysali, wysysali Niemcy nieszczęśliwą Litwę! Zboże jej, bydło, wszystkie zasoby, jechały daleko na zachód żywić Berlin i niemieckie miasta, podczas gdy tu, w Wilnie, ludzie podobni do szkieletów słaniali się na ulicach jak pijani...

Pobok prinza Ysenburga, jak dwa knechty zaprzysięgłe: Głód i Mór.

Mór powiał nad Wilnem i Litwą. Tyfus głodowy zbierał żniwo, obfite żniwo!

W szpitalach epidemicznych już miejsca brakowało, budowano pospiesznie baraki za miastem...

Wskutek bezwzględnego, rabunkowego iście wywozu wszelkich środków żywności, drożyzna wzrosła do niebywałej

wysokości, tak, że tylko najbogatsi mogli pozwolić sobie na ten zbytek, żeby głodu nie zaznać.

Wszelkie najhojniejsze ofiary, wszelka humanitarna akcja, to była tylko kropla w morzu....

Przeciągały, przeciągały przez miasto pogrzeby o każdej porze dnia.

Opowiadano z tego powodu wielce charakterystyczną anegdotę o prinzu Ysenburgu!

Gdy i wśród ludności żydowskiej (choć żydzi naogół umieli sobie z okupantami radzić niezgorzej!) szerzyć się jęła wielka śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci, udała się do General-Gouwerneura deputacja kahału, rabiny, starszyzna w lisich czapach, w atłasowych odświętnych chałatach — i opisując opłakane położenie, zaklinała się wśród głośnych lamentów, jako konie kahału już nastarczyć nie mogą wywożeniu trupów na kirkut!

Wtedy Ysenburg, w swej kancelarji wielkorządcy rozwalony dostojnie, ucharakteryzowany na kaisera Wilhelma, z wąsami zaostrzonemi w szydła i silący się nadać małym, świńskim swoim oczkom sztyletowe spojrzenie oczu kaisera, — tak odpowiedział lamentującym:

»Potztausend! to wam każę dodać parę koni!!!«

Jak i miasta, tak i wsie niby od szarańczy, objedzone były doszczętnie. Nie to do ostatniej krowy, ale do ostatniej kury!

Litewskie puszcze, litewskie lasy, te »tak poważne i tak pełne krasy«, padały pod niemiecką siekierą, nito lud zwyciężony, naznaczony na zagładę — i nieprzerwanym łańcuchem pociągów jechały, jechały ins deutsche Hinterland...

W brutalną pięść chwycił Niemiec smutną krainę, co już od stu dwudziestu lat uśmiechać się zapomniała, i wyciskał z niej życie.

Zagładę polskiemu żywiołowi na Litwie zaprzysiągł Niemiec!

Komedją, karykaturą jakiegoś nacjonalno litewskiego niby-rządu, Tarybą, głaskał separatystyczne rojenia biednego ludu, ciemnego jak tabaka w rogu — gwałtem odrywał od Polski!

Przeżyło się jakoś, przemęczyło do końca rok 1915, po nim 16-ty, 17-ty...

»Co jeden to lepszy!!« — mówił pan Jeżewski z gorzkim śmiechem.

Pod koniec drugiego roku niemieckiej okupacji umarł ksiądz Wołk na tyfus plamisty, którego się nabawił opatrując na śmierć swoich parafjan — umarł nie doczekawszy, aby Niemców djabli wzięli, — i pan Jeżewski został sam jak palec na świecie.

Miał wprawdzie jeszcze w mieście znajomków garstkę ale to już nie to!

»Tak przy samym brzegu utonąć!!« — rozmyślał boleśnie sybirak o umarłym przyjacielu.

Bo nikt nie zdołałby mu tego wybić z głowy upartej, że ten »brzeg« już niedaleki!

To też choć bieda doskwierała, taka bieda co aż piszczy, i ta samotność... że inny na jego miejscu wzdychałby już do śmierci jak do wyzwolenia; on jednak nie chciałby teraz umrzeć za nic na świecie!

Póki ta wojna nierozegrana, nim jeszcze ten zaświtał, co weń on ślepo wierzył, że zaświta: wielki Dzień Zmartwychwstania!!!

Na Litwie zaś w dalszym ciągu, zda się już, jakby na zawsze, o Boże! z ramienia kaisera rządził się prinz Ysenburg — a przy nim, po prawicy, po lewicy, dwaj knechci wierni, nieodstępni: Głód i Mór.

. . . . . .

A na świecie tymczasem działy się rzeczy straszne.

A na świecie tymczasem działy się rzeczy olbrzymie.

Czterema czerwonemi rzekami czterech frontów, przekreślających Europę wszerz i wzdłuż — lała się krew narodów.

Tymi, co na mapie jakże niewinnie, niby zabawa dziecka, niby misterny ornament, purpurowe te sznureczki...

Czterdzieści miljonów ludzi na czterech tam frontach zmagało się w śmiertelnych zapasach.

Wśród olbrzymiego pożaru, niewidzianego jeszcze pod słońcem, czemże te nasze Legiony? tych naszych trzydzieści tysięcy walecznych?...

Iskierką tylko!

Ale ta iskierka w słońce rozpłonie, w słońce polskiej wolności!

Od chwili gdy stanęło to pierwsze polskie wojsko po pięćdziesięciu latach, głoszące, że »Jeszcze nie zginęła!« — przypomniała się światu żywcem Pogrzebana.

Od tej chwili zrozumieć musiał świat, czyby chciał czy nie chciał! — poczuł przyjaciel i nieprzyjaciel, jako Jej, przebudzonej, już nie można napowrót zamurować w grobie, zatłumić krzyku Żywej...

Z początkiem 1917-go roku, nieprzyjaciel i przyjaciel godzili się na jedno: że Polska być musi!

Rozmaicie wyobrażali sobie tę Polskę, jak któremu było potrzeba!

Niemcy i Austrja po 5-tym Listopada niby folwark jakiś i teren eksploatacyjny pod swoim bokiem, ogłoszony szumnie królestwem polskiem (bez króla) i podobnie jak królestwo niebieskie nieposiadającem granic i nic wogóle, co jest z tego świata...

Trzynasty punkt z czternastu prezydenta Wilsona przewidywał Polskę ściśle etnograficzną, amputowaną niemiłosiernie od wschodu, a za to łaskawie dopuszczoną do morza.

Nie za taką Polskę, pół niewolnicę, czy okrojoną i kaleką, trwał wyżej dwóch lat na froncie, na wyłomie, z »chłopcami« swoimi komendant Piłsudski, krwawiły się Legjony w bohaterskim boju z rosyjskim niedźwiedziem!

Aż niedźwiedzia dosięgnął śmiertelny cios.

We własnej jaskini, we własnem legowisku.

Runął carat tak niespodzianie, tak bezkrwawo na razie! Tak to wszystko poszło gładko, cicho i bez łoskotu, że prost jakby padł na ziemię olbrzym jakiś z gutaperki... zupełnie, jakby tylko jakaś firma »zwinęła interes«...

Nie zakrawał car strącony ani trochę na olbrzyma, choćby gutaperkowego! Mały, marny ten Mikołaj... Ostatni. Nieszczęśliwa ta figura, co na nią z trwogi przed zamachem wiecznie biły siódme poty — która z wybuchem wojny pisała płaczliwy manifest »do moich kochanych żydów« (tych wyrzynanych w pień przez czarne sotnie, gdy się jeno nadarzy!) — która »raczyła« mianować »najwyższym ukazem« proroka Eliasza patronem awiatyki z tego tytułu jako na wozie ognistym wzniósł się ongiś do nieba — i dziękowała »z przyjemnością« Panu Bogu za odniesione zwycięztwa.

Całą humorystyczną listę możnaby ułożyć z tych manifestów i przemówień Mikołaja Ostatniego!

Człowiek stworzony na to, żeby być komiczną figurą w historji — którego tylko później śmierć okrutna, męczeńska, ocaliła od wiecznej w dziejach śmieszności, a otoczyła nawet tragiczną jakąś aureolą nieszczęścia...

Gdy cara wywożono do Tobolska, zawzięty pan Jeżewski cieszył się jak dziecko.

»A dobrze ci tak! A pójdziesz na Sybir! a pójdziesz ty!!!«

Mroźnym szlakiem, śmiertelnym gościńcem polskich powstańców, polskich wygnańców, wiodła ostatniego cara nieprzebłagana Nemezis dziejowa.

»Jest przecież sprawiedliwość na świecie... późna, ale jest, panie!!!«

Sybirski wiatr wył za carem w ślad, wyła purga-zawierucha:

Za twoich dziadów, za ojców zbrodnie... za własne twoje zbrodnie!...

We wichrze głosy-jęki, groźby-głosy:

Za nas, zamęczonych, pałkami zatłuczonych, w katorgach pogrzebanych, pomarłych białą śmiercią pod śniegiem, w pustkach Sybiru!

...Jak my tęsknili i szarpali się w łańcuchach, że własne ręce gryźli od rozpaczy i głową bili o ścianę: tak tobie teraz carze!...

...Jak z nas patrzało tylu, tylu, na śmierć najdroższych, żon i dzieci, mordowanych od twoich sołdatów: tak ty patrzał będziesz carze!...

...Jak nam śmierć od kuli i tylko po nas na więziennym tym murze plama czerwona, i gdzieś w rowie przydrożnym niewiadoma mogiła: tak po tobie carze!...

Czy Mikołaj słyszał te głosy przeklętej ziemi, ziemi niewoli?...

Czy przeniknąć zdołały do jego biednej, na siedm pieczęci zamkniętej głowy? czyli też jak przesunął się przez życie i przez ten krwawy tron rosyjskich Atrydów nieświadomy zbrodni ojców jak i własnych mimowolnych zbrodni, tak głuchy i ślepy zapadł w przepaść krwawą i ciemną.....?

W rok niespełna po zawaleniu się caratu, wszystka wielka Rosja, jedno krwawe morze!

Od czarnej reakcji do anarchji czerwonej piorunem przebiegła drogę!

Cała wielka Rosja w ogniach pożarów...

Niewolnik spuszczony z łańcucha, oszalały swobodą, zawiódł taniec obłąkany na stosach trupów, na kałużach krwi...

Hulało, z głową się nurzało w tych czerwonych kałużach ludzkie zwierzę, pijane wódką i mordem...

Co w Rosji wpierw poniewierane, deptane, teraz przyszło do głosu: temu odwetu godzina!

Sołdat bity »w mordu« przez oficera — proletarjusz wiecznie głodny — chłop co w cuchnącej norze mieszkał gorzej bydlęcia — żyd co był pod stopą caratu jak robak rozdeptany...

Sądny dzis dzień wszystkiemu, co niegdyś w Rosji u góry, co panowało, używało, gnębiło... nadszedł dzień zapłaty!

»Stare zbrodnie świata, karane przez zbrodnie nowe...«

Nad falami bolszewickiego potopu, nad Rosją obłąkaną, szarpiącą własne ciało i ciskającą je krwawemi płatami krukom na żer, dwie złowrogie postacie wyrosły wysoko.

Jako że wola ludu, tysiącgłowego tłumu panowanie, zawsze tylko frazesem było i pozostanie, a od wieków w dziejach rządziła jednostka silna i śmiała.

Tak i Rosja, patrzaj! w nowej wnet niewoli, okrutniejszej niż carska była!

Nie jeden nad nią, a dwa »krasnyje cary«, dwa wielkie drapieżniki rosyjskiej rewolucji, Lenin i Trocki.

Lenin, jakoby ten z Nieboskiej Pankracy, »o żółtem, łysem czole«, fanatycznej, mongolskiej twarzy, duch ślepego, mongolskiego niszczenia, niszczenia wszystkiego, co było dotąd pod słońcem, aż pozostanie, jak określił rosyjski pisarz, »tylko nagi człowiek na nagiej ziemi...«

I djabelsko uśmiechnięty, błyskający szkłami okularów, czarny, kędzierżawy Trocki, niby piekielny jakiś żydowski Wallenrod, z rozkoszą wdeptujący w krew i w błoto Rosją pogromów i czarnych sotni...

Jak skorpion, powiadają, otoczony płomieńmi, własne żądło zatrute sam w siebie wbija, tak i dziś rosyjski naród w samobójczym szale!

Rozsypał się przeciwniemiecki front, jak gliniana zapora »Germaniec« szedł naprzód, triumfował! Już dla Germańca na wschodzie żadnej zapory!... za Dniepr pójdzie, aż ku Wołdze...

Po wycofaniu się Rosji z szeregu walczących, naprzeciw Polski został na razie jeden tylko wróg: Niemcy.

Bo Austrja z Niemcami, to jedno; jedna dusza, jedno ciało: jeden djabeł!

Niezdarna, niedołężna ta Austrja, z dziesięciu narodowości złatana, jak dziadowska kapota, sfastrygowana tylko od biedy nicią dynastji, do cna już przetlałą — raz uczepiwszy się poły śmiałego, potężnego sprzymierzeńca jak pijany płotu, zamknęła już tylko desperacko oczy i leciała z nim razem na najdzikszе awantury, za Dniepr, za Don, na złamanie karku!...

Gdy z Bestją caratu już koniec, a świeżo upieczona republika ogłosiła zrzeczenie się polskich ziem, wnet przez koalicję zaaprobowane, komendant Piłsudski złamał szablę.

Nie być mu niczyim kondotjerem!

Nie będą jego chłopcy przysięgi składali, podającej polskie wojsko w niemiecką niewolę!

Niemiec czuł się mocnym dostatecznie i na terenie okupowanej Polski wszechwładnym: uwięził Komendanta, wywiózł do Magdeburga.

Pierwsza brygada w obozach Szczypiórna i Benjaminowa w srogiej niewoli pokutowała za swą stałość, za oparcie się żądanej przysiędze.

Gorzko, gorzko płakał pan Jeżewski na swem biednem wileńskiem poddaszu, gdy wyczytał w gazecie o uwięzieniu Piłsudskiego.

Jakoby mu słońce za chmurę się skryło!

»No i cóż teraz... no i cóż?...« — szeptał, bezradnie rozkładając ręce...

Ale już za małą chwilę:

»Oho! nic jeszcze straconego! Wyleci on jak ten orzeł z za krat, wyleci, na większą jeszcze Polski i swoją chwałę, bo nad nim opieka jest Boża!

...Zza krat magdeburskiej fortecy spoglądał ku zachodowi Wódz więziony, tam, skąd mógł przyjść ratunek jedynie, skąd przyjdzie, jak Bóg na niebie, jako słońce wzejdzie po nocy!...

Tam za Ren, gdzie od morza po Wogezy, dwadzieścia narodów z całej ziemi przybyłych na nową krucjatę, z niemiecką »blonde Bestie« toczy wojnę świętą...

Za kratami czas straszliwie się dłuży, zda się nie płynie, zda się w miejscu stoi, jak ta śpiąca, ta bagnista, nieruchoma woda...

»Bezczynna moja szabla i złamana... A tam wojna, wielka wojna, która Polskę wyzwoli... a moje ręce spętane...!«

Nie brak przecie i tam polskiego oręża, na pociechę polskich serc, na pana Jeżewskiego pociechę!

Tam, obok bohaterskich obrońców Francji, która rok już piąty krwią spływa, a rąk nie opuści, a serca nie straci, a niezmordowanie walczy, walczy, walczy!... — ramię przy ramieniu błękitne wojsko jenerała Hallera...

Któren po haniebnym pokoju brzeskim pałasz swój Austryi cisnął pod nogi, aż na całą Polskę oddźwiękło echo! i na czele zbuntowanych legjonów poszedł w besarabskie, w ukraińskie stepy, od austryjackiej służby na wieki precz!

Któren pod Kaniowem stoczył z Niemcami krwawą bitwę, pierwszą w tej wojnie, gdzie legjonowej braci dano było iść na Niemca — bitwę, zakończoną klęską, zaszczytniejszą od zwycięstwa!

Potem przez Murmań i Ocean Lodowaty na francuski front odyseja...

...»dla Ojczyzny ratowania,
»Wrócim się przez morze!...«

.....Święta to wszelako prawda, że jak kogo Pan Bóg chce ukarać, to mu rozum odbierze!... — filozofował pan Jeżewski w listopadzie 1918-go, już po upadku kaisera, po pogromie Niemców.

Przeholował ostatecznie kaiser Wilhelm, ów junkra pruskiego typ najczystszy, w wyogromnionych tylko rozmiarach i na olbrzymiej działający widowni!

Oczadziły mózg mu do szczętu własna olbrzymia potęga i własne bajeczne szczęście, służące mu wiernie od samego początku panowania, całe 30 lat, i równo niezmiennie od początku tej straszliwej wojny.

Gdy armje jego, jak te żelazne maszyny, za sprawnem pociśnięciem sprężyny działające, te ślepo posłuszne, że zda

się myśli innej w tych milionach nie było, niż myśl cesarza Wilhelma, — zaszły tu nad Marnę, tam nad Wołgę — gdy cała Europa od Wołgi po Marnę na łup niemieckich wojsk wydana — szał pychy, szał panowania ogarnął władcę ich i pana...

Więcej! więcej jeszcze! wszystkiego jemu zamało!

Jakieś mu Święte Imperjum się śniło, uniwersalna monarchja, państwo Karola Wielkiego czy Napoleona!

Napoleońskie tymczasem przybierał kaiser pozy, po napoleońsku ręce zakładał, przed zwierciadłem, twierdzili złośliwi, jak aktor ćwiczył spojrzenie, brwi zmarszczenie i żołnierskie ruchy na podobieństwo Wielkiego Cesarza...

»Ohoho! za pozwoleniem!! Żebyś się i na głowie postawił, nie dosięgniesz!... za wysoko!!!« — odgrażał się Wilhelmowi pan Jeżewski ze swego wileńskiego poddasza.

...Panowanie nad Europą!

A co po drodze, co przeszkoda, choćby to i żywe ciało i krew narodów i dusza narodów, w proch zetrzeć, zdeptać butem żelaznym, wezwawszy wprzód na świadka »niemieckiego Pana Boga« że nie tylko prawo, ale i obowiązek miał tak uczynić zwycięski »übermensch«, głowa »nadnarodu!«

...Aż tam, na francuskim krwawym froncie, marszałek Foch, wódz krucjaty zjednoczonych narodów, straszliwie uderzył, uderzenie ponowił, i jeszcze, i jeszcze!!...

Aż skruszyły się stalowe bagnety, na których tron Hohenzollernów oparty, z wysokości tych bagnetów wzniesionych groził światu...

Miljony te niemieckich bagnetów połamane, jak słomiane źdźbła!...

Z łoskotem, od którego zatrzęsła się ziemia, runęła niemiecka potęga, i pyszny, butny cesarz, co opanować chciał świat.....

...»Nosił wilk, ponieśli i wilka!« — z okrutną satysfakcją powtarzał sobie pan Jeżewski, z ukontentowania ręce zacierając.

Przypominała mu się z okazji tej szopka, którą, będzie temu wyżej kopy lat, za dziecinnych i młodych jego lat, na Boże Narodzenie przychodziła do dworu w Kleckiej Woli.

Był tam też taki parobczak co wszystkich bijał — lalka na kiju z okrutnemi wąsiskami z końskiego włósia, w zielony spencerek ubrana; bijał kamratów i bakałarza i młynarza i niedźwiednika i żandarma, żyda grzmocił co się wlazło i żydówkę, także robiącą masło czarownicę; nawet płci pięknej zbój nie uszanował! I wszystkich tak wytłukłszy, tańcował sam, wielce rad, tańcował na kiju po całej szopce, aż z pod ziemi wyrastał djabeł czerwony, z rogami i z widłami, i ten dopiero dawał radę zabijace: za łeb ciągnął do piekła!

»Tak i Wilhelma przecie wzięli djabli na ostatku! Przyszła, panie, kreska na Matyska!«

A za Wilhelmem, jak na dany znak, jakby gruszki z drzew, posypali się gęsto króle i króliki, książęta i książątka Rzeszy: »rasch und schmerzlos« jak się wiedeński jakiś dziennik z iście wiedeńską »Gemütlichkeit« wyraził, niby o wyrwaniu zęba!

I równocześnie, jak stara spróchniała chałupa, jak dawno spękane naczynie, któremu się wreszcie ucho urwało, że w kawałki poszło z żałosnym brzękiem — po wielkiem praniu nad Piavą w trzy dni, literalnie w trzy dni, rozsypała się Austrja. Bez krwawej grozy, bez tragicznej wielkości, z którą po wszystkie czasy upadały w dziejach wielkie państwa. Nie, to zbyt byłoby z duchem Austryi niezgodne! Ot, wzięła i umarła. A wierna sobie do ostatka: jak najgłupszem była z państw Europy, tak też zginęła głupio i marnie.

Jeszcze raz: »wyrznij djabli po austryjacku«, jak mówił pan Jeżewski!

...Rozejrzeć się wkoło... a tu już żadnego z trzech zaborców niema! Wszyscy powaleni!!!... Polska ujrzała się wolną!

O tej dziejowej godzinie, którą Słowacki pisząc Anhellego oglądał oczyma widzącemi: kiedy »korony ulatują królom z głów, a Bóg rzuca pioruny na obnażone z koron czoła...«

I oto nagle, z płomienistej zorzy wystąpił rycerz... i przyleciawszy ów rycerz, zawołał grzmiącym głosem:

»Oto zmartwychwstają narody!
Kto ma duszę, niech wstanie, niech żyje!...«

Jak człowiek po długiej, gorączkowej chorobie, budziła się Polska z głową pełną jeszcze złych oparów, podnosiła ręce do głowy, jakby mało jeszcze przytomna... w oczach

jej majaczyły dotąd krwawe widziadła maligny... zdawało się, znów ją pochwycą, rzucą nieświadomą na rzeczy straszne i krwawe...

W takiej chwili przybył z Magdeburga, z pruskiego więzienia, Komendant Piłsudski, którego Bóg stworzył na Polski zbawienie, — przybył w samą porę! w tydzień, we dwa, jużby zapóźno było! — i władzę wziął w ręce, i uratował Polskę najpewniej od takiego nieszczęścia bez dna i bez ratunku, w jakie była popadła Rosja obłąkana...

»Kto ma duszę, niech wstanie, niech żyje!!!...«

Gdy Polska już doznała cudu, gdy już państwem wolnem i niepodległem, ze stolicą i Naczelnikiem w Warszawie, choć krwawo jeszcze granice wyrębywać sobie musi, kresy wrogom wydzierać, Ukraińcom wschodnią Małopolskę, z Wielkopolski wypędzać Prusaka, — Litwa, ta najnieszczęśliwsza, o której jakby Polska zapomniała... jakby zapomniał i sam Bóg na niebie! po raz trzeci w tej wojnie zmieniała pana.

Za ustępującymi Niemcami trop w trop szła na Wilno czerwona armja i żydowskie czerezwyczajki krwawe, całe bolszewickie piekło!

Pan Jeżewski już nie mówił: »klin klinem!« ale objąwszy dłońmi siwą głowę, skołataną głowę, tak biadał:

»Ani się nam tu cieszyć, bo jakże nam tu się cieszyć?... choć przyszedł dzień, do którego czwarty już rok gorąco wzdychamy, kiedy Prusaki pobite, łby pospuszczawszy w pikielhaubach, te, co je nosili tak hardo, do vaterlandu wracają, aż się kurzy za nimi!! Boże! Boże! czy ja myślałem, że taki koniec??... że zamiast naszych, teraz kiedy Polska wolna, ja przed śmiercią nanowo, jeszcze raz, Moskali tu zobaczę?«

Dla Litwy i Wilna rozpoczynał się tragedji akt trzeci...

XIV.

Po czarnej, wichrowej nocy, pełnej zmor krwawych, z ciężkiem westchnieniem budziło się miasto, nito człek zmordowany do ostatka, w dzień wielkanocny 19 kwietnia 1919-go, w dzień Pańskiego Zmartwychwstania.

W świt szary, popielaty, rzadkie ludzi gromadki ulicami się snuły, spieszące do kościołów na obchód rezurekcji o pierwszej zorzy; smutne gromadki pod ścianami domów sunące, trwożnie rozglądające się wkoło czające się i wystrachane, i wprost ściganej zwierzynie podobne.

Bo też w nieszczęsnem Wilnie, człowiek nie czem innem już zgoła, jeno zwierzyną wiecznie tropioną, na którą polował kto chciał, komu wola i ochota — krasnoarmiejec pijany swobodą i wódką, czy rozwydrzony żyd z czerezwyczajki...

Bo na ścianach tych domostw, tych parkanów, nierzadko krew ludzka, z mózgiem zmieszana, straszliwymi plamami przyległa — bo na bruku tu i ówdzie, wczorajszej egzekucji ślady, kałuże ciemno-czerwone...

Pan Jeżewski za innymi wlókł się do swej ukochanej Ostrej Bramy, Miłosiernej się Pani na to, co się wokół działo, z duszy poskarżyć, wyżalić...

Nędza ostatnich miesięcy wprost widmo ze starca uczyniła — że stary płaszcz, szary, wierny towarzysz od lat dwudziestu, dziś wytarty do ostateczności, zwisał jak na kiju, czy kościotrupie, twarz umarłego twarzy stała się podobna, a ręce trzęsące, szkieletowe, to murów, to latarni chwytały się co chwila.

Od długotrwałego głodu gięły się pod nim kolana.

Codzień to dalsza zda mu się i dłuższa ta droga do Ostrej Bramy, co jemu od tylu lat niby ten pacierz poranny! Dziś

to jeszcze mrok był sielny, kiedy ze swej suteryny omackiem wyłaził (mieszkał obecnie kątem u stróża) — a teraz różowość już niebo zalała, przecie drodze jeszcze nie widać końca!

»Spóźnię się na rezurekcją, ani chybi! Ha... nie mój grzech będzie!... Starość nie radość!«

Przystanie jednej chwili pan Jeżewski jak wryty, i słucha: w uszach szumi?... w głowie młoty biją?... że niby czyste strzałów salwy... u licha!

»Waryjacja się mnie chwyta, albo co?... Jużem też, dziękować Bogu, strzelaniny nasłuchał się w życiu dość, i chyba rozpoznam!«

Patrzy stary dokoła siebie, a tu i inni, i wszyscy przechodnie, jakby ich nagle w ziemię wryło: nadstawiają, nadstawiają uszu, powyciągali szyje...

»Panie dobrodzieju! — pyta prosząco pan Jeżewski pierwszego z brzegu mizeraka »burżuja« — panie łaskawco! czy i panu taksamo w uszach??...«

»Burżuj« nie odpowiada; oczy przed siebie w zdumieniu wlepił, gębę rozwarł jak stodolne wrota.

Od czterech blisko, okropnych jak zmora miesięcy, Wilno od Polski, od świata odcięte, niewiadomo co z Polską... to wiadomo, że wojuje z bolszewikami, którzy po zbójecku naszli jej granice, ale więcej nic, nic... żadnej wieści ze świata żywych!

...Jeszcze raz! i jeszcze! i jeszcze!...

»Salwy, jak Boga kocham!! wojskowe salwy!« — mówi sobie pan Jeżewski, drżącemi rękami na kiju oparty, niby wrosły w ziemię...

Bo to nie to, zwyczajne już miastu, rozbójnicze bolszewickie z rewolwerów, z karabinów palenie, na ludzi polowanie, jak w leśnym ostępie...

»Głupiemu to gadać, nie mnie!!«

...»Nic, tylko na wiwat salwy! A krasnoarmiejca nigdzie na ulicy ani na lekarstwo!... jak wymiótł!! Co się dzieje???«

.....Matko Boska Ostrobramska!!!... Święta Boża Rodzicielko!!!

Z ulicy, z przeciwka, jednej chwili burza wylata! Zawierucha szara, siwa, kraszona amarantem, świecąca srebrnemi orzełkami na czapkach!

Niosą się jak ptaki, rozpędzone konie, aże ziemia dudni! Palą się, by złote świece, ułańskie lance w rannem słonku! Oto właśnie słońce wschodzi nad Wilnem i wileńską ziemią...

Szarża ułanów! Beliny ułanów!!...

Jakby z rycin starych zeszli, wylecieli z konterfektów, przechowywanych po polskich dworach... Sto lat i więcej, w te się ryciny, w te ułańskie konterfekty zapatrywały oczy stęsknione: Kiedyż ożyją... kiedyż przylecą, mój Boże??

Bije cudu godzina!

Huczy, tętni jasna burza po wileńskim bruku, i pieśń popłynęła od siwych szeregów, chwacka i junacka:

»Jak to było ładnie, kiedy do Lublina
»Na karkach Moskali wjechał pan Belina!
. . . . . .
»Oj wy dzielne zuchy, wy polscy żołnierze,
»Niech was Matka Boska i Pan Jezus strzeże!
»Niechaj was prowadzi, by, jak do Lublina,
»Do samego Wilna wjechał pan Belina!!«

...Jakby ją śpiewała sama ta ziemia, co po długiej, czarnej nocy wolna się zbudziła!

Pan Jeżewski, ku tej zjawie niby z nieba, pieśnią grzmiącej a pędzącej wichrem, lotem, rzuca się jak oszalały, ręce wyciąga i woła:

»Polscy ułani! Polscy ułani!! Czy ja może już umieram, i wy mnie się zwidujecie w ostatniej godzinie?? Ja stary żołnierz, ja powstaniec! Zabierzcie mnie z sobą... Nasi ułani!!!«

Przeleciał, przetętniał huragan rozśpiewany...

I w jednej chwili, mrok się na starca oczy kładnie, jakby je przysłoniła ciężka dłoń czyjaś, w mózgu zagrały wszystkie świata dzwony...

Czuje pan Jeżewski, jako w znak pada, niby w przepaść jakąś leci, leci... a w myśli gasnącej przewija się nic tylko zdumienie:

To śmierć?... i to tak nic nie boli?...

. . . . . .

Zbudził się jednak po paru godzinach, i na tym jeszcze świecie. Na swoim tapczanie, w swojej suterynie, dokąd go

z trudem przytaszczyli jacyś znajomkowie, którzy przypadkiem widzieli starca padającego na ulicy.

Doktora sprowadzono mu w te pędy, i księdza. Doktór głową tylko pokiwał, bo widział, że się już lampa dopala, zapisał jednak jeszcze jakieś lekarstwo, po które nie posłano, bo nie było za co, i nie wspomniawszy o honorarjum, poczciwa dusza, eskulap poszedł sobie.

Na księdza spojrzawszy, młodziutkiego jakiegoś, pewno świeżo wyświęconego, który w komży i stule stał od długiej chwili przy tapczanie, czekający, aż się chory ocknie, pan Jeżewski wspomniał żałośnie zmarłego przyjaciela:

»Szkoda, że niema poczciwego księdza Wołka! Z tym, toby się dopiero człowiek ugadał!«

Potem odrazu, nie czekając namów ni księdza, ni stróżowej i kumoszek z kamienicy, które się wkoło zgromadziły wieńcem nietyle wdzięcznym ile szczelnym, że prawie nie przepuszczał powietrza! — poprosił sam młodego wikarego, by spowiedzi jego wysłuchał i ostatnich udzielił Sakramentów.

»Jeśli dobrodziejowi na czasie nie zależy, to radbym, panie, z całego życia... Nie zawadzi drugi raz wszystko, dla dokładności... ja bo dobrodzieju mój, zawsze wszystko lubiłem dokumentnie, nie po łebkach...! Więc kiedy mi już w drogę czas, dobrzeby wymieść do czysta stare śmieci, co tam się jeszcze z niedopatrzenia zostało...«

Ksiądz odszedł po godzinie, pana Jeżewskiego Wijatykiem na ostatnią podróż i Olejami zaopatrzywszy — i staruszek leżał sobie na wznak cicho, ukojony, rozradowany w duszy wybielonej, z wszech przewin oczyszczonej, jako po chrzcie dusza dziecka...

Polskie wojsko zwycięskie precz za Wilno bolszewików gnało, spłoszonych znienacka, że zmykało to jak wilków stado, od strachu wyjące, zmykało na łeb na szyję ku wschodowi! — a sybirak na piersiach splótłszy dłonie, takuteńko, jako rychło miał już leżeć w trumnie, uśmiechał się przed siebie i czekał na śmierć.

Musiał mieć jednakoż jakieś chwile nieprzytomności, choć przysiągłby, że nigdy w życiu nie myślał jaśniej, przytomniej! — bo n. p. z czasu absolutnie nie umiał sobie zdać sprawy: czy to dziś, czy wczoraj było, ta zjawa ułańska, to polskie wojsko,

o Boże! niby wojsko anielskie, zlatujące z nieba! albo wogóle może nigdy nie było, nie istniało, tylko w jego sercu tęskniącem?...

Godziny, czy zgoła doby może mijały jak chwile... czasu, zda się, już dlań nie było, jakby wpłynął był już we wieczności jasność i uciszenie bez końca...

W stróżowskiej ciemnej wilgotnej suterynie, leżał pan Jeżewski sam jeden i od wszystkich ludzi opuszczony (gdyż stróżowie z liczną progeniturą i kamieniczne kumoszki, wszystko to wyleciało jak jeden mąż, rozumie się, na miasto!) — kiedy wjeżdżał do Wilna Piłsudski zwycięzca, Naczelnik wolnej polskiej Rzeczypospolitej, wielki syn Wilna i tej ziemi, i dzisiaj, od moskiewskiej dziczy oswobodziciel!

Biją dzwony, grają dzwony, wszystkie dzwony, na uciechę, jakiej setki lat nie było, od Jagiełły, od Zygmunta i polskiego z Litwą ślubu!

Witaj nam, witaj, sto dwadzieścia lat czekany, od Boga zesłany, pogromco szatana, Zwycięzco!

Do pana Jeżewskiego suteryny dzwonów granie i warczenie samochodów na ulicy gdzieś nad głową, i tętent konnicy przelatujący co chwila, i te wytryskujące jak snopy iskier ku niebu dźwięki wojskowej kapeli, głoszące tu po raz pierwszy od stu lat we Wilnie, jako Polska jeszcze nie zginęła! — wszystko to, wszystko, dochodzi ze świata żywych niby jeden niezmierzony, nieogarniony krzyk tego miasta, budzącego się Łazarza, co nań Bóg dziś zawołał: Łazarzu, wstań!!!

Panu Jeżewskiemu na biednem żebraczem legowisku, z rękami zawczasu złożonymi jak do trumny, tak się oto śni, marzy, że widzi, widzi własnemi oczami, temi, co się wnet już na wieczność otworzą, jako całe to miasto z kajdan wrażych rozkute, wybawcy swemu do nóg się chyli, przed Piłsudskim w dziękowaniu klęka...

Jako kościelne chorągwie i obrazy barwiste, złociste, wyszły mu wprzeciw procesją radosną, błogosławiącą, roztęczoną...

Jako padają, padają kwiaty, wszystkie białe wiosny kwiaty, czeremchy, wiśni, jabłoni, do nóg się sypią oswobodziciela...

A on, nad tem miastem ukochanem, serdecznem, jak znak wolności widomy świeci, na ludu łkającego ramionach wznie-

siony wysoko, król tych serc i tych dusz, — Ten, któren miał przyjść od wieka!

Oto przyszedł: w armat huku, w szabel błyskach, w purpurowym płaszczu sławy, w siwym swym mundurze!

Siwy ten mundur, w pieśni, w legendzie już po wiek wieka! Jak Kościuszki krakowska sukmana, jak szary surdut Napoleona, jak Garibaldiego czerwona koszula!

...Pan Jeżewski tych głosów ze ziemi słucha już jak z pod ziemi. Jakby tam w górze, nad jego już grobem, śmiertelnie unużonego wędrowca, huczała i tętniała Polska zwycięska!

Jako topielec na dnie wody, poprzez wodę słyszy, słyszy, serce się biedne raduje...

Wszyscy żywi o nim do cna zapomnieli... on przecie szczęśliwy, jako nie był nigdy jeszcze w życiu!

On, urodzony w niewoli, okuty w powiciu!

Po starca twarzy łzy płyną i płyną, nie ustają. Jak źródło przeczyste, przeobfite, tak płyną...

»Panie! wziąłeś ofiarę! wszystkiego życia ofiarę! Teraz, Panie, gdyś dał doczekać, sługę Twego puść w pokoju!«

Że przecież serce to ludzkie, póki bije, nie ustanie, zawsze czegoś jeszcze spragnione, czegoś więcej jeszcze! i nienasycone zawsze, póki na tej ziemi — pielgrzym sędziwy, gdy do wrót już kołata, do wrót na ścieżaj na wieczność otwartych, ostatnie mu się w duszy utęsknienie zrywa, jeszcze go, jeszcze powraca ziemi...

Spojrzeć w twarz Piłsudskiego! Ujrzeć go raz jeden, com na niego czekał całe życie!...

I Boża Opatrzność, która przez 85 lat wiodła go po samych cierniach, dzisiaj u progu wieczności niczego już temu smutnemu dziecku swemu nie odmawia. Jakoby na ręce wzięła i kołysze, iście matka chore dziecko, od złych ludzi poranione...

Tak panu Władysławowi Jeżewskiemu jeszcze przed śmiercią dano Piłsudskiego zobaczyć.

. . . . . .

. . . . . .

»A dzień pierwszy wolności gdy radość roznieci
»Ludzie wesela krzykiem o niebo uderzą
»A potem długą ciemność niewoli przemierzą —
»Siądą — i z wielkiem łkaniem zapłaczą jak dzieci.
»I słychać będzie płacz ogromny zmartwychwstania!«

Czy Słowacki, na paryskim bruku słuchający emigranckich potępieńczych swarów, gdy obraz ten z głębi duszy wygnańczej wytęsknił, wymarzył — widział mocą tej tęsknoty krwawej daleką, daleką wiosnę 1919-go, i dzisiejszy dzień kwietniowy nad Wilnem?

Pan Jeżewski, z gołą głową, w płaszczu rozwianym, ledwo zarzuconym na ramiona, choć dzień wiosenny był sielnie chłodny, klęczał w tłumie ludu, w ludu mrowiu nieprzejrzanem, na ulicznym bruku przed Ostrą Bramą, gdzie się odprawiała msza uroczysta, Bogu i Ostrobramskiej Pani na podziękę — a podle ołtarza nabożeństwu asystował z jeneralicją, Józef Piłsudski...

Wiał wiatr, ostry wiatr litewskiego kwietnia, płaszcz starca niemiłosiernie rozwiewał, rozwiewał włosy długie, białe — on tego nie czuł, ani wiedział; nie czuł wichru, ani chłodu.

Gdy przed dwoma dniami czekał na śmierć, a śmierć nie przyszła, gdy owszem skrzepił się niespodzianie, powiedział sobie pan Jeżewski: »Mnie to i siekierą chyba nie dobije!« — i dziś, nadludzkim wysiłkiem woli wytężonej dźwignął się ze swego barłogu, aby tu być, aby zobaczyć!...

Szedł tutaj, coprawda, coś z godzinę, o ściany kamienic szukając oparcia, i już myślał, że nie dojdzie, że padnie, tak, co chwila w oczach czyniło się czarno a w uszach szumiało, jak od brzęczenia pszczół tysiąca.

Ale doszedł przecie, dzięki Bogu, i jest tutaj, a to grunt!

Oczy jego, już dzisiaj nie te mocno niebieskie, jakie były całe życie, ale mgłą jakąś białawą zawleczone, jako bywa u starych ludzi przed końcem, patrzą i patrzą jak zaczarowane, w górę, w rozwarte okno kaplicy...

W srebrnej łunie, niby słońce, obraz święty — przed ołtarzem świec wianek, jak gorejących kwiatów, i ornat księdza złocistością świeci...

Fala kadzideł błękitnych, modrawych, i fala śpiewu organów przemocna, przeradosna, jak krzyk ludzkiej piersi zwy-

cięski, triumfalny, tam od góry ku ludowi, ku miastu płynie i światu...

Przed Ostrobramską Matką Boską, jaśniejącą w glorji, jak słoneczny zwid, na kolanach ludu rzesze... jako piasku, jako liścia, jako gwiazd!... głowa przy głowie, głowa przy głowie...

Pana Jeżewskiego oczy szeroko roztworzone i niezdolne się oderwać...

Tam w ławkach, w kaplicy, po bokach ołtarza, jeneralicja, polscy wodzowie: siwiejąca, pańska głowa jenerała Szeptyckiego, dowódcy przeciwbolszewickiego frontu — młody jenerał Rydz-Śmigły, zdobywca Wilna — i major Orlicz-Dreszer, ów niby żywy Kmicic legjonów, o kmicicowej prost brawurze — i pułkownik pan Belina, ten co pierwszy wszędzie: pierwszy za rosyjską granicę, pierwszy wjechał do Lublina, i pierwszy oto do Wilna!

A nad nimi, nad wszystkimi, nad polskimi rycerzami, jako słońce nad gwiazdami: On!

Z marsową twarzą, jak matejkowskich królów i hetmanów, o brwiach potężnych i zawiesistym polskim wąsie, z tą spojrzenia niezmierzoną głębią, mocą, złożył Naczelnik na pałaszu ręce obie, i tak trwał nieruchomy, zatopiony w tajemnicę, która się spełniała: w cud Polski z Litwą zmartwychwstania!

...Matko Boska! Matko Boska! co w jego duszy w tej chwili?... co w tej duszy? Czyli możliwe, aby ludzkie serce przeniosło, udźwignęło taki ogrom, taki nadczłowieczy ogrom radości?

Pan Jeżewski, niby człowiek w ostatnich życia godzinach, widzi wszystko jasno, jasno, jakby dziś ludzkie dusze nawskróś przezierał — czuje wszystko, wszystko rozumie, to nawet, czego objąć i dopatrzeć nie umiałaby zwyczajnie biedna głowa...

I widzi, i czuje, i rozumie, że jakiekolwiek były już w życiu Piłsudskiego, w tem życiu podobnem do bajki, chwile szczęścia zwycięzkiego i triumfu bez granic, i jakiekolwiek jeszcze jemu przyszłość chowa! — ponad dzień dzisiejszy nie będzie sercu jego już nic, bo być już nie może, nie zdoła...

...Dawne dzieje, stare dzieje! te pierwsze lat dziesiątki w krwawym 63-cim na Litwie...

...Staroszlachecki dwór, pośród puszcz litewskich schowany... w zimowe wieczory, gdy zaspy odetną od świata a mocno zawarte okiennice jakby fortecę uczynią ze starego dworu, niedostępną szpiegującemu oku, siwa, ociemniała babka wnukom o powstaniu rozpowiada...

O kacie Murawiewie, o męczeństwie Litwy!...

...»Jak mnie w więzieniu przez Murawiewa trzymanej, z triumfem, z uciechą oznajmić przyszli, że ojciec wasz, dzieci, zamordowany, a dom spalony, stare naszego rodu gniazdo...

...O synu fałsz był! Bogu chwała!«

Słuchają dzieci opowiadań, a nad wszystkie mały, ciemnowłosy chłopczyk słucha, i oczy mu posępnie, niedziecinnie gorzeją...

Gdy spać pora, matka z rodziną, z domownikami wieczorne pacierze odmawia, a codziennie, nieodmiennie, kończy modlitwą za Polskę, Krasińskiego hymnem: »Będzie Polska w Imię Pana!«...

Żadneż ich przeczucie nie ostrzegło, że tak już blisko, o co prosili, iż Mściciel pośród nich?...

...Z tornistrem, pełnym książek, chodził sobie studencik po ulicach Wilna, w szkole prześladowany »za polski język« i do czarnego karceru zamykany co chwila. Chodził i w duszy śnił zemstę nad tą wrażą cara mocą, co się jak skir na ludzkiem ciele, nad Polską i Litwą rozsiadła... szalone roiło marzenia rycerskiej krwi dziecko, o jakiejś wielkiej, wielkiej wojnie, o jakiemś wielkiem, wielkiem zwycięstwie... Kto na czele polskich hufców cwałujących? On, Ziuk Piłsudski! Na karkach Moskali jedzie, zwycięzcą do Wilna wjedzie... a biją mu na sławę wszystkie Wilna dzwony!...

Biją dzisiaj, nie ustają!... sen spełniony... cud spełniony!...

Dzisiaj tę Litwę miłą, zbawioną jego szablą, na nowo z Polską ślubem łączy Naczelnik Piłsudski!

...Stary powstaniec widzi, widzi najwyraźniej, poprzez tysiąc mil, poprzez trzydzieści lat, samotnego młodzieńca w pustej jurcie nad Leną, w przesmutnych tajgach Sybiru, tych tak znanych, och! tak znanych, pięć lat żywcem pogrzebanego, pięć najpiękniejszych młodości lat!...

Jakby mu go na obrazie pędzlem kto wymalował i farbami najdokładniej!

Siedzi w głębokiej, w straszliwie skupionej zadumie, uderza oczami potężnemi, temi, co teraz tam, w kaplicy... dłonie splótł, jako teraz, twarz wsparł na dłoniach i czeka...

Godziny czeka, o której wie, że wybije!

Och! z jaką mocą, z jak przepotężną mocą tęsknoty!

Że zda się, dusza z niego się wyrywa! ponad śniegi w dal spoziera, oczy dłonią przysłoniła, wszystka wyprężona jako struna do lotu, do lotu!... ku temu słońcu co się kiedyś ma zapalić, ku Ojczyźnie dalekiej poprzez białe pustki leci, jako Anhellego dusza »po tym gościńcu złotym co na wodzie od księżyca«, uciekała w tamtą stronę jak człowiek co się spieszy.....

Jeno że to nie Anhelli wątły i blady i smutny aż do śmierci »przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca« Anhelli moriturus: to orzeł wspaniały, co trzykroć spętany, potrzykroć zerwie pęta, królewskie skrzydła rozwinie, i poleci, i doleci! Ten, resurecturus!!

Staruszek, gdyby dziecko, opowiada sobie bajkę, przenajdziwniejszą z wszystkich bajek na świecie:

»Był wielki car, najmocniejszy pan pod słońcem, w czapie Monomacha. Kłaniało mu się w pas stosiedmdziesiąt miljonów niewolnika. Miał na własność pustki Sybiru, cytadele i katorgi — miał katów na usługi, ilu dusza zamarzy! knuty miał i szubienice. Był gruby jak piec, mocny i zarosły jak niedźwiedź, a zły jak sam czart. I zły dlatego, by ten pies wściekły, bo śmierć nań czyhała zewsząd, wyglądała z każdego kąta, w dzień i w nocy, w domu i w podróży, a potężny car się śmierci gorzej ognia bał! Był niby to dzikie zwierzę w klatce uwięzione, nieszczęśliwe, wystrachane i wiecznie rozżarte...

I był onego czasu właśnie tam daleko, gdzieś na świata krańcu, za Uralem, za borami, za rzekami, za lodami, wygnany od złego cara, że to powstał przeciw jego mocy, polski student spiskowiec, któren czekał godziny.

Przewaliło się trzydzieści lat.

Olbrzymie cielsko cara, to o sile bawołu, a sercu zająca, dawno gnić poszło do carskich grobów — marny następca

jego skonał we krwi, ród Romanowych krwią się zadusił, na śmierć zachłysnął, — knut Romanowych w drapieżne ręce pochwyciła piekielna dwójca: Lenin z Trockim, i cmentarz czyni z Rosji potępionej od Boga, jedno wielkie cmentarzysko....

W Polsce zaś wskrzeszonej cudem, wolnej Rzeczypospolitej od Bałtyku aż po Litwy puszcze, w tej co spała tylko, nie była umarła! — włada oto dzisiaj i naród do zwycięztw prowadzi dawny polski student rewolucjonista!

...Czy była kiedy pod słońcem tej równa, i cudowniejsza bajka?

Nie na darmo przecie darowane wybrańcowi nad piekielną mocą zwycięstwo!

Ale wyrąbane syzyfowym trudem, trzydzieści lat w pocie czoła budowane i w męce!

Długa przedługa, oczom »rozsądnie« patrzącym zda się beznadziejna droga... i trud, co się porwał z motyką na słońce...

Kiedy czasem całe miesiące nie było gdzie głowy złożyć, kiedy ściganemu »wysoce niebezpiecznemu indywiduum«, jak głosiły tajemne żandarmskie instrukcje, schronieniem na noc to las, to ławka w miejskim parku czy niedokończona budowla, albo kościół o zmroku na głucho zatrzaśniony...

Lata nieludzkiej poniewierki, które, by przetrwać a nie ugiąć się, nie złamać, trzeba duszę mieć z żelaza.

Dziesiąty pawilon, skąd jedna droga: na szubienicę.

I tak całe miesiące, z tą wizją szubienicy i stryczka. W śmierci oczy się wpatrzyły źrenice więźnia nieulękłe, aż śmierć znajomką się stała i niestraszną.

Na stal, na stal zahartowała się dusza!.....

Jako u mickiewiczowskiego Konrada, kiedy z więziennej celi wołał do Boga o rząd dusz, żeby Polskę zbawić! — tak w tej mocarnej, czującej swą siłę, przewalać się musiały tytaniczne boje, o których nikt nie wiedział i nikt nigdy się nie dowie...

»Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!!
»Ludzie, każdy z was mógłby, samotny, więziony,
»Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony!«

Ucieczka... w okolicznościach niby z fantastycznego romansu! I znów żywot ściganej zwierzyny... dziś tu, jutro

tam, nigdzie wytchnienia!... bo psy carskie węszą, węszą... a za głowę rewolucjonisty nagroda suta przyobiecana...

Wojna 1904 roku, i szalona do Japonji impreza, do rządu Mikada.

»Dajcie broń w ręce, środków dostarczcie, a na tyłach rosyjskiej armji pożar wam w Polsce rozpalę, że spłonie carat, jak stos!!!«

Dwudziesty wiek, nie wiek epopeji, a mali, żółci, przemądrzy Japończycy realnie jeno obliczać umieją i odpowiednio też potraktowali awanturniczą propozycję...

O żółci, misterni spryciarze-ludkowie z Kraju Wschodzącego Słońca, zawiodły was cyfry i zdrowy rozsądek, które jedne pono n i g d y nie zawodzą! epopeja jeszcze żyje, epopeja nie umarła, chociaż wiek idzie dwudziesty! — i ten polski szaleniec, to Przyszłość, to Władca przyszłości!

Przegrzmiała, jak sroga burza, rewolucja 1915-go...

Przeklęty carat zatriumfował raz jeszcze.

Ale był to jego triumf już z ostatnich ostatni!...

Dawny sybirski wygnaniec, bojowiec świeży, naród ze snu cuci...

Naród w przedługiej niewoli zastygły, omdlały — i dzisiaj, już tak zda się, o Boże! w tej niewoli śpiący smaczno na oba uszy.

Młodzież budzić!! Budzić ducha!!

Związek Walki Czynnej w Krakowie, strzeleckie związki... pierwsze ziarno polskiego wojska i Polski zmartwychwstałej!

Noc 6 Sierpnia 1914-go, cudna i srebrna, jasna jak sen o wolnej Ojczyźnie, gdy Józef Piłsudski na czele trzechset swoich »chłopców« opuszczał Kraków i szedł do Królestwa na ziemię gorzkiej niewoli, na której od wieku z górą krwawo gospodarzył Moskal!...

Na Moskala! Na Moskala! choćby i z djabłem samym nawet, na Moskala!!!

Ci strzelcy siwi, ci straceńcy, z taką polską fantazją idący głową mur przebić, mgliste tylko, w najwyższym stopniu niewyraźne i po austryjacku wykrętne obietnice mieli od Austrji, i trochę karabinów najstarszego systemu, c. i k. ausschussów — a od własnego społeczeństwa nic jeszcze: nawet zrozumienia czem są i dokąd dążą...

Piłsudskiemu nie było czekać, aż społeczeństwo, przygięte do ziemi doznanemi zawodami i wiekową niewolą, na czyn się porwie, błogosławieństwem swojem zamierzenie jego uświęci, polski pałasz złoży mu w dłonie i powie: Bij wroga!

On ten pałasz sam zerwał ze ściany, stawiając odrazu cały naród przed faktem już dokonanym:

Jesteśmy! Żyjemy! Bijemy Moskala!

I stało się, że na ten zew zapaliły się jednej chwili serca najlepszych w narodzie, tym najbardziej rycerskim z pośród narodów świata — poleciały za strzelcami na krwawe bitew pola, że rosło, jak lawina, polskie wojsko, Legjony, to w polskim, nie w obcego pana mundurze... Łazarz wstał, »wstał z grobu ten, który był umarł, mając jeszcze ręce i nogi związane...«

»Hej bracia wraz! Nad nami orzeł biały,
»A przeciw nam śmiertelny stoi wróg!«

Pieśni strzelców, gdy wchodzili do Miechowa, wyszło naprzeciw słońce wschodzące, słońce pierwszego dnia wojenki krwawej!

O dniu! dniu radosny! kiedy wreszcie dano było ciemną, rozpaczną w podziemiach walkę przemienić na otwartą, na rycerską w polu wojnę, rzucić precz brauning i bombę, a na Bestję chwycić w rękę jasną polską ojców szablę!

Ta szabla, ta wojna... co o niej śniła od dziecka dusza urodzonego na Polski Hetmana!

Pana Jeżewskiego źrenice tam w górze na hetmańskiej postaci zawieszone, i drżące wargi szepcą cichuteńko mickiewiczowskie słowa:

. . . . . »Ciebie Litwa nasza
»Czekała długo, jako żydzi Mesjasza!
»Ciebie prorokowali dawno między ludem
»Śpiewaki... Ciebie niebo obwieściło cudem...
»Żyj i wojuj, o Ty nasz!...«

I w sercu starem, umęczonem, co łaknęło, co pragnęło całe życie, przewijają się tyle, tyle razy z utęsknieniem odczytywane, powtarzane jak modlitwa, proroctwa księdza Piotra.

O tych na północ pędzonych w śniegi polskiej młodzieży rzeszach:

»Ha! jedno dziecię uszło!
»To mściciel, obrońca!
»Przyszły wskrzesiciel narodu!
. . . . . .
»Nad króle i ludy podniesiony
»Na trzech stoi koronach, a sam bez korony« .

...Na trzech wrażych zwalonych w proch koronach?

Czy na trzech w jedno znowu połączonych: Polski, Litwy, Rusi?...

Bez korony: a król z ducha ponad wszystkie króle!!

»A życie jego: trud trudów;
»A tytuł jego: lud ludów.
»... Krew jego: dawne bohatery,
»A imię jego: czterdzieści i cztery...«
»Sława! Sława! Sława:

Józefowi Piłsudskiemu!!!

...Wielki wieszcz, co za miljony kochał i cierpiał katusze, gdy w bazyljańskiem więzieniu tu o ścianę od Ostrej Bramy w noc Bożego Narodzenia słuchał pieśni: »Bóg się rodzi, moc truchleje«, i jak Tytan zbuntowany, rozpacznem pytaniem szturmował do nieba: »Kiedyż wreszcie moc struchleje, ta wraża moc??« — snać mu wtedy Bóg miłosierny, rozpaczy jego się litujący, przyszłość odsłonił na chwilę, na błysk: dał ujrzeć za sto lat Polski triumf, i Polski Mściciela!

Tutaj o ścianę, młody Mickiewicz więziony siedział....

Pan Jeżewski czuje tej godziny, tej wielkiej, świętej, kiedy naród Ostrobramskiej Pani za cud wolności dzięki niesie — że i ci, którzy dla Polski żyli i niedoczekali, czy za nią zginęli, widzą dzisiaj, i słyszą, i wiedzą!... bo kto tak Polskę ukochał na ziemi, kochać ją musi na wieczność...

Bo poszła za nimi poza grób ta najwyższa z ziemskich miłości...

Bo jakżeby tych dusz istnienie w szczęśliwości wieczne, bez pamięci o Polsce, i bez tej miłości?...

Pan Jeżewski naprzykład przysiądzby gotów, że Zygmunt Sierakowski, niewidzialny kędyś blisko, patrzy na dzisiejsze święto...

I aż ogląda się stary za siebie mimowoli, czy tam, choć w biały dzień, cień nie stoi, cień z czerwoną na szyi pręgą...

...»Dzisiaj twoje nad Murawiewem zwycięstwo!...«

...»Wodzu! wodzu mój! twojego życia nie było szkoda! i niczego nie szkoda!! Wodzu! wszak tyś sam powiedział!!«

W grób iść musiał Zygmunt Sierakowski i powstańcy 63-go, w ziemię wsiane krwawe ziarna — aby się narodziły Legjony 1914-go, aby się narodził Józef Piłsudski, płomienny kwiat wolności!...

Jak triumfalna fanfara »Te Deum laudamus« zagrzmi z kaplicy.

Zajarzyła się słoneczna monstrancja, zazłocił się księdza ornat, jak złota błyskawica, zakołysały mocniej srebrne kadzielnice w błękitnej otoczy ciężkich, przewonnych kadzideł, zaświegotały, by ptaszków roje, kościelne dzwonki radośnie, radośnie!...

Pochyliły się ku ziemi wszystkie głowy... tam w dole, łan ludu, jak ścięty, na bruku w prochu leży, we łzach, w dziękowaniu...

Alleluja! Alleluja! Chrystus zmartwychwstał!

I Polska zmartwychwstała! I to miasto! I ta ziemia!... Alleluja!

Od ołtarza ksiądz się odwrócił w złotym ornacie, ręce wyciągnął ku Naczelnikowi, coś mówi, coś mówi, dzięki pewno czyni... jemu, co wszak mieczem Bożym... wybawicielowi!...

Co mówi, pan Jeżewski nie słyszy. Radość go zmogła. Twarz w dłonie trzęsące wtulił i płakał... że się tak wszystko, wszystko wypełniło!

A naród dokoła litanją loretańską jął śpiewać, do Panny Najświętszej, co jasnej broni Częstochowy, co w Ostrej świeciła Bramie, przez całą długą noc niewoli, aż uprosiła u Syna świt!...

Matko Chrystusowa!

Matko łaski Bożej!

...Łaskę nam zjednaj u Syna!

Panno można!

...Mocą Swoją tę Ojczyznę nakryj jak przemożną tarczą!

Panno łaskawa!

...Ulitowałaś się naszej niedoli!

Przyczyno naszej radości!

...Tobie za dzień dzisiejszy szczęsny dziękujemy!

Bramo niebieska!

...Otwarłaś Ty nam więźniom wolności bramę!

Gwiazdo zaranna!

...Zabłysłaś Ty nam, przejasna, po długich ciemnościach mogiły!

Uzdrowienie chorych!

Ucieczko grzesznych!

Pocieszycielko utrapionych!

...My chorzy byli, my grzeszni, my ciężko utrapieni, o Matko! a tyś nas zratowała!

W y z w o l e n i e n i e w o l n i k ó w!...

— intonuje zaraz starzec o długich, białych włosach, jakby zeszły z tragicznych Jacka Malczewskiego obrazów, w płaszczu do cna nędzą wytartym, na kiju wsparty i jak liść trzęsący — a za nim wtórzy wszystka narodu rzesza, i płaczem się zaniesie serdecznym.

I słychać płacz ogromny Zmartwychwstania.....

Królowo Męczenników!

...Którzy na Sybirze, którzy na bitew polach, którzy pod pałkami i na szubienicach!

Królowo Korony Polskiej!

...Koronę tę złącz z Litwą na wieki!!...

Nabożeństwo było skończone.

Z góry z kaplicy schodził Piłsudski z błyszczącym swym sztabem.

Przez tłum ludzki, zwarty murem, przeciskać się naraz począł pan Jeżewski... ludzi roztrącał i szedł przed siebie — temi oczami zamglonemi, przekrwionemi zapatrzony w Naczelnika jak w tęczę — coraz bliżej Naczelnika — aż się tłum rozstępował mimowoli przed starcem na szkielet wyschniętym, podobniejszym zjawie niż człowiekowi żywemu, i miejsce mu czynił, jako gościowi z innego świata.

»Puszczajcie mnie do niego! Puszczajcie!!«

Oto już przed Piłsudskim twarzą w twarz.....

»Panie! Panie! jam na Ciebie czekał całe długie życie! Nie wiedziałem ja o Tobie, a czekałem Twego przyjścia! W kopalniach Sybiru, Naczelniku... w łańcuchach, pod batem! Na Sybirze trzydzieści pięć lat!...

...Niczego mi dziś nie żal, niczego, i nic już nie trzeba! Umrę szczęśliwy, gdym Ciebie Panie doczekał! Ty Mścicielu! Ty Zbawco! Ty Ojcze Ojczyzny!!!«

I upadł starzec do nóg Naczelnika i pozostał nieruchomy...

Schylił się dźwigać go Piłsudski, nadbiegli jenerałowie i świta.

Przez ręce im leciał i ciężył jak kłoda — a gdy go obrócono twarzą ku niebu, patrzyły w ten błękit nad Wilnem radosny, oczy nic już nie widzące, zastygłe i wniebowzięte...

Pan Jeżewski leżał martwy u stóp Naczelnika.

Zabiła go, jak kula w serce, nadludzka i nieludzka wprost już radość, zbyt potężna, by ją znieść mogło to stare, skołatane serce!

. . . . . .

Piękną miał śmierć pan Władysław Jeżewski, powstaniec i sybirak, piękną, ani słowa! I pogrzeb wspaniały taki, o jakim w najśmielszych rojeniach nie byłby zamarzył!

Wojskowy, to się rozumie, z asystą żołnierzy i karabinów salwą, jak staremu weteranowi przystało.

A gdy go chowano na cmentarzu antokolskim, nad zielonym Wilii brzegiem, za trumną w sztandar z Orłem owiniętą szedł Józef Piłsudski, Wielki Hetman narodu, wskrzeszonej Polski głowa i miecz — szli jenerałowie Szeptycki i Rydz-Śmigły — szedł major Orlicz-Dreszer, z legjonowych junaków najdzielniejszy — a nad ułanami, co cwałowali po bokach trumny i nad grobem dali salwę, aż nad Wilnem zahuczało, komendę miał pan Belina, pierwszy ułan Rzeczypospolitej.

. . . . . .

Czy wypełniło się i ostatnie starca życzenie, kędyś po tamtej już stronie, której oko ludzkie nie oglądało, ucho o niej nie słyszało?...

Czyli wędrując przez czyścowe smutne wydmy i pustacie, tam w drodze ku światłości wiekuistej — napotkał może pan Jeżewski, jako ongiś pragnął, Moskala (takiego ançien régime, naturalnie!) i ulżył sercu zawziętemu, siarczyście waląc go »w lampę?«.

KONIEC.

5/4 1921 — 22/4 1922.

SIWA PANI.

Nazywano ją egzaltowaną, bo całe życie chętniej patrzyła w gwiazdy, niż w szary proch pod stopami, — i starą romantyczką nazywali realnie myślący ludzie, gdyż nad sprawami, przez nich oddawna zaliczonemi do kategorji szanownych już tylko pamiątek, czy nieuleczalnych marzeń! — ona i dziś, po pięćdziesięciu jeszcze latach, do porządku przejść nie umiała i nie chciała!

O niej to wyraził się dowcipnie, (we własnem przynajmniej rozumieniu) jeden z sąsiadów, poseł do petersburskiej Dumy i mąż przeraźliwie rozsądny, że od 63-go roku niczego się nie nauczyła i niczego nie zapomniała.

Tak jest, miał słuszność!... Nie nauczyła się, że szczytem praktycznej mądrości zgiąć kark, i »szanować władzę, jakąbykolwiek była«. Przez całe życie się nie nauczyła duszy zamknąć w ciasnym obrębie tylko szarych robót i dni życia powszedniego!...

Nie zapomniała zaś nigdy, o czem tylu wokoło, błogo zapasionych w dobrobycie, w świętym spokoju i użyciu, zdawało się całkiem zapominać: żeśmy niewolnikami, i to wszystko, co się z nami wyrabia, o pomstę woła, nie ustaje, do Boga i do ludzi!

Nie zapomniała tego, że ojciec jej na Syberji pokutował dwadzieścia pięć lat za udział w sprawie Łukasińskiego, wielkiego męczennika; że brat ośmnastoletni w 63-cim poszedł i padł pod Miechowem, w pierwszej bitwie, od pierwszej kuli.

...Niemą wymową, potężniejszą od słów, przemawiać się zdawały wizerunki tych dwóch, ojca i syna, w starym, pańskim dworze; i każdemu z gości w pięknej, poważnej bawialni, zapełnionej niby muzeum, włoskimi i flamandzkiemi obrazami i licznemi dziełami Matejki, które mąż siwej pani, w wielkim mi-

strzu rozmiłowany, gromadził całe życie, — każdemu, kto zasiadał pod wzrokiem tych portretów, przypominały uparcie o tem co było i co się minęło...

A o czem niejednemu nie myśleć wcale i milej było i wygodniej...

Aż czasem taki jeden, drugi, kręcił się, kręcił, jak na szpilkach, a czemu tak nieswojo, sam nie wiedział?... i później opowiadał, że w starym dworze, w królestwie siwej pani, »dziwnie ciężka atmosfera, coś zupełnie jak w kościele!«

Portret pana marszałka, sybirskiego wygnańca, wspaniałe dzieło Matejki, w które mistrz zda się włożył całą swoją duszę górną i chmurną, w tem rozkochaną, czego już na świecie nie ma...

Dostojna postać siwobroda na staroświeckiem karle pozłocistem, w kontuszu wiśniowym aksamitnym i mieniącym srebrnozłoto litym pasie; za senatorską postacią tło starej makaty o barwach spłowiałego złota i zagasłej purpury, i cudna broń staroświecka, kolczugi, karaceny, iskrzące klejnotami karabele...

Poprzez tę wspaniałość rycerską i pańską, co w niej bujny genjusz malarza jak ptak w słońcu się pławił, zda się dostrzegasz, ty co spozierasz, białe od mrozu ściany jurt lodowatych, i szynel aresztancki miast kontusza, a miast karabeli, kajdany...

Wycierpiał, wycierpiał stary pan, któren tu tak w blasku, tak bogato!...

Obok ojca portretu, pod szkłem, w całej figurze, duża owalna minjatura młodziutkiego powstańca: w ogromnej ciemnej burce, która całego okrywa, z twarzą drobną, prawie chłopięcą, w zuchowatej z piórkiem czapce, wspartego na szabli.

Wizerunków umarłych wymowne milczenie...

Świętą ci mieli racją, co gdy tu się zabłąkali akuratnie jak Piłat w credo, mimowolnie dreszczem ściągali ramiona, że w staroświeckiej bawialni »jak w kościele!«.

Córce sybiraka i siostrze poległego pod Miechowem upłynęło całe długie życie w tej atmosferze smętnej i uroczystej: w tym kościele pamiątek!

Młodziutką dziewczyną, ledwo z dziecka wyrosłą, przeżyła rok 63-ci — a choć później dopiero rozpoczęło się właściwe jej życie, życie kobiety, szczęśliwej żony i matki, ten 63-ci pozostał jej na zawsze punktem jakimś zwrotnym, czemś najwyższem, najgórniejszem, po wiek drogiem i świętem, choć opłakanem tak srodze!

Od czego się później rachubę czasu rozpoczyna, jak Muzułmanie od hegiry Mahometa: przed powstaniem... po powstaniu... Bo nigdy, nigdy już: »potem«, tak nie było jak »przedtem!«.

Na duszy pani ze starego dworu rok klęski i podniebnych wzlotów wycisnął pieczęć niezatartą: jak ogniem wypalił znamię!...

Lata szły, młodość mijała i minęła, męża śmierć zabrała, synów zabrało życie, jak po wszystkie czasy matkom zabiera — siwa już jak gołąb pani została sama w starym dworze z oczyma w przeszłość wpatrzonemi.

Przyjechał kto w odwiedziny, zastawał ją w bawialni przy czarnym marmurowym kominku niezmiennie, nad którym, portret starego pana marszałka, sybiraka, jakby domu tego patrona. — Na kominku stale zimą, a nierzadko latem, suty ogień, »znicz mój niegasnący«, żartem określała siwa pani, co jej zawsze zimno było, tak zimno, na tym chmurnym, chłodnym świecie...

W blasku płomienia, który w bronzowych lwach i gryfach mahoniowych mebli, w złoceniach ram i w stali karacen szkarłatne błyskawice zapala, pod portretami umarłych pani siwa, sama staremu portretowi podobna.....

Niby pastel delikatny, od lat wybladły, grottgerowski rysunek w dwóch tylko barwach żałobnych: srebrnowłosa, z loczkami przy skroniach, cała w czerni i w czarnej koronce na głowie, polska pani z Grottgera obrazu. Szczupła i drobna, a jak iskra żywa! wspomnieć, w bohaterskie i wielkie, wnet jak iskra zapłonie!

W bladej, pokrytej cienką siecią zmarszczek, drobnej twarzy o śladach wielkiej urody, czarne oczy jak aksamit, i palące, ledwo starością niby mgłą przyćmione.

Przy domowym zniczu, pod patrzącemi oczami umarłych, co dla Polski żyli i zginęli, siwa pani, jak świętego ognia ka-

płanka, westalka czy wajdelotka sędziwa, o starych, umarłych czasach młodym rozpowiada...

Byleś ty, młody, miał serce i uszy ku słuchaniu otwarte, byleś ty nie z tych, co to im się zdaje, »że się od nich dopiero świat rozpoczął«, jak mówiła nieraz o ludziach siwa pani, którzy widzą w życiu tylko dzisiejszy dzień a wszystko minione przekreślić by radzi, »na wszystkiem krzyżyk położyć!« — kończyła gestykulując żywo z oburzenia małemi, blademi rękami...

Od tych opowieści z dni klęski i chwały, od wiecznie płonącego znicza w starym dworze, niejedna się młoda, uśpiona po dziś dusza zapaliła jak pochodnia, i już więcej nie zagasła.

Że prost »podpalaczką« nazywał żartobliwie w żywe oczy, i zaraz potem w rękę całował na przeproszenie »tę naszą przezacną panią Marją« sąsiad polityk, ugodowy poseł do Dumy i gasiciel wszelkiego nieopatrznego płomienia!

. . . . . .

Lato było, napozór jak każde inne lato, bujniejsze tylko urodzajem niebywałym i słoneczniejsze w niezaćmionej, niebieskiej pogodzie.

U siwej pani pełno letników w staroświeckim dworze. Jak zresztą co roku. Polska gościnność rozszerzała ściany. Przeważnie młodzi goście: grottgerowska pani serdeczną przyjaciółką młodości! Chłopcy i panienki, dzieci czy już wnuki przyjaciół i krewnych, po całorocznej nauce w mieście używające teraz wsi do syta, konnej jazdy, rzecznej kąpieli i złotej swobody!

Z rówieśników bo siwej pani mało już kto na świecie; smutno na nim i coraz smutniej, gdy się tak wszystkich swego życia świadków kolejno pogubi w życia wędrówce!...

Nagle nad polską wsią swobodną, wsią wesołą, »pierwsze pomruki groźnej burzy«...

Nad światem pierwsze pioruny największej w dziejach świata wojny!

W domu siwej pani o niczem nie mówiono teraz, jak tylko o wojnie; trochę tak jednak, jak się o wilku gada, gada, ale nikt weń naprawdę nie wierzy: a tymczasem, wilk już tuż!

Tyle wiedziano w starym dworze, że kozackie posterunki, żandarmerja, znienawidzone te »fijoły« i graniczne straże przed

spodziewanem najściem Austryjaków pościągane na łeb na szyję, gdzieś odeszły: że pewnego pięknego dnia, gdy słońce zeszło rankiem, nigdzie już, nigdzie ani śladu nie dojrzano Moskala!

Ziemia nad Wisłą i nad Nidą pozostała bezpańska.....

Byli, którym to »zawieszenie wszelkich normalnych funkcji«, to »zawieszenie w powietrzu«, czemś prost nie do zniesienia się zdało! »Niechby jakakolwiek władza, byle przecież jakaś władza, bo znów się zacznie jak w 1905-tym!« — mówili drżący wciąż jeszcze przed widmem rewolucji, dobrze odżywieni, znakomicie we wszystko zaopatrzeni, o czem żołądek zamarzy, siwej pani sąsiedzi i współobywatele na dwadzieścia mil wokoło.

Ona zaś, wiecznie tasama, idealistka niepraktyczna i niepoprawna, utrzymywała, że teraz dopiero, pierwszy raz w życiu swobodnie oddycha!

»Ach Boże! gdyby tak już mogło pozostać! żeby jedno licho odeszło sobie od nas na zawsze, a drugie nie przyszło wcale!...«

Na co sąsiad-poseł, któren właśnie przyjechał w odwiedziny, uśmiechnął się z pobłażliwą wyższością i rzekł już trochę niecierpliwie:

»Łaskawa pani! nie mówmy o mrzonkach! Chwila zbyt poważna na to!«.

...Jednego dnia, czwartek to był, 6-go sierpnia, zeszli się wszyscy na śniadanie do jadalni starego dworu o godzinie późnej niesłychanie!

Źle, bardzo źle sypiało się teraz w starym dworze! W cudowne, srebrem malowane noce księżycowej pełni, z zapartym oddechem wsłuchiwano, wsłuchiwano się w dal, w tajemnicze głosy nocy, czy coś już stamtąd ku nam nie nadchodzi, z tej ciszy, z tej dali...

Pod świt czasem dopiero sen zmrużał oczy mieszkańców.

Tego czwartku, gdy wszyscy w krąg zasiedli przy długim jadalnym stole, panienki - letniczki w jasnych sukienkach, istne świeże kwiatki w tym wieńcu! — pani domu, bardziej dziś niźli kiedy w tych ostatnich dniach we własne myśli wsłuchana, tak oto gościom swoim powiada:

»Posłuchajcie dzieci, jaki tej nocy dziwny sen miałam!... a niech tam co chcą mówią tak zwani rozsądni ludzie, ja wierzę, że w wyjątkowych chwilach w życiu we śnie to przeczuć można, co się zbliża!... Słuchajcie! Śniło mi się, że ojciec mój zeszedł do mnie z portretu i tak mi powiedział: Dzisiaj przyjedzie ktoś wielki do naszego domu, przyjedzie... (tu siwej pani zadrżał głos) zbawca Polski!«.

...Nie!!... coś podobnego!! wierzyła w sen-banialukę, kochana ta, stara romantyczka! w jakiegoś Czterdzieści i Cztery! W dwudziestym wieku!!!

Słuchacz medycyny, wnuk dawno zmarłej przyjaciółki, uśmiechnął się niepostrzeżenie pod młodziuteńkim wąsem, a śliczna blondyneczka, studentka z pierwszego roku przyrody, tedy osóbka wielce pozytywna, przytuliła się do siwej pani pieszczotliwym ruchem, jak do starego dziecka:

»Oj! ciotusia!... ciotusia! zawsze tasama! Ale ja taką właśnie ciotusię kocham... stylową!!

Kończono zapóźnione śniadanie. Mało kto się odzywał. Każdemu na myśli wojna i tylko wojna, wisząca nad głowami...

Młodzi nawet, od tych kilku dni, niepodobnych do niczego, co dotąd przeżyli, zaprzestali flirtów i żartów...

Stary dwór w stuletnim parku jak pałac zaczarowany, od wsi daleki, od ludzkich gościńców daleki; żadnych głosów ze świata, prócz szumu królewskich dębów i sosen parku, prócz gwaru ptaków rozświegotanych gdzieś pod niebem i w gałęziach drzew.

...Otwierają się drzwi. Na progu ktoś staje... nie sen, nie mara, staje w pełnym blasku dnia. W siwym mundurze, w niewidzianym mundurze, na czapce polski znak: orzełek biały! Rycerska postać, jakby ożyła i zstąpiła która z tych, w bawialni, na płótnach Matejki. Z oczu moc bije hetmańska.

Po wojskowemu salutuje przybyły zebranych, tak mówi:

»Jestem komendantem związków strzeleckich... Tej nocy wyszliśmy z Krakowa i przeszliśmy granicę, jako polskie wojsko«.

W mroku drzwi do sieni otwartych, majaczeją za nim inne siwe mundury, orzełków srebrnych cały rój, jak gwiazd...

Zerwali się wszyscy od stołu, bez tchu stoją, oniemiali, romantyczka stara i sceptycy młodzi... jasnowłosa studentka przyrody pobladła z wrażenia jak płótno...

Jakby im nagle piorun pod nogi.

»Mój sen...! mój sen! widzicie dzieci«? —

I podbiega z żywością młodzieńczą, z rysunków Grottgera babcia siwa (koronkową mantylką zaczepia w pospiechu o czajnik po drodze, o dzbanek ze śmietanką, cały potop na stole czyni, ani o tem wie!)

Obie ręce do Komendanta, do wchodzących zamaszysto strzelców wyciąga, a łzy i wzruszenie głos jej w gardle łamią:

»Niech was Bóg... niech was Bóg błogosławi!! Wy nasi... nareszcie! Wy polskie wojsko«!!!

. . . . . .

Odchodzili strzelcy pod wieczór ze starego dworu, o godzinie kiedy biała jego frontowa kolumnada cała jakby ze światła różowego ulana — odchodzili ugoszczeni w starym dworze, czem chata bogata i polskie serce!

Ostatnią koszulę oddałaby siwa pani, ostatni bochenek chleba rzuciłaby im pod nogi, polskim żołnierzom!

Sześćdziesiąty trzeci rok odżył dla niej... Przy bramie stała, staruszka, krzyżem ich żegnająca jak matka, gdy szli na wojenkę, na Moskala! — przy tejsamej bramie, z pod której białych słupów o gontowych daszkach młodą dziewczyną patrzyła za bratem, odchodzącym z oddziałem pod Miechów, patrzyła, aż póki nie zniknął.

»Bądźcie szczęśliwsi od tamtych...! bądźcie szczęśliwsi... moje dzieci«!!

Ze strzelcami odchodził, już w siwym mundurze, jak oni, słuchacz medycyny, co rzekomo wierzył tylko szkiełku i oku — i brat jego młodszy, gimnazjalista, któremu jeszcze wczoraj nic innego, jak tylko psie figle w głowie — na końcu zaś maszerował z fantazją mały krzepki ogrodniczek Franek z karabinem prawie większym jak on sam.

»Iskra iskrę nieci... płomień płomień rozpala...« — rozmyśla siwa pani z uśmiechem szczęśliwym na ustach, z oczami we łzach. Poleci, poleci po całej Polsce to płomię...

Szeroko się rozlała szkarłatna zachodnia zorza; jakby ogniste wrota otwarte na wieczornem niebie!

W te purpurowe wrota, Komendant na przedzie na siwym koniu, polskich zmartwychwstałych legionów Dąbrowski zmartwychwstały! swoich chłopców prowadzi, w ogień wojny, w krew, w nieśmiertelną chwałę...

Nad wieczornemi polami pieśń legionów popłynęła, niesłyszana przez te pola, przez tę ziemię od dziesiątków, od dziesiątków żebraczych, opłakanych lat...

Ta pieśń, za którą tu szło się do moskiewskiej turmy!!!

»Jeszcze Polska nie zginęła«!!!

. . . . . .

»Marsz, marsz, Piłsudski,
»Prowadź na bój krwawy!
»Za Twoim przewodem
»Wejdziem do Warszawy!«

...Daleka wam droga, daleka, przez piekło bitew, przez mogiły, przez krew...!

Siwa pani pieśni słucha, i płacze.

»Sen ten mój... czyś ty naprawdę był przy mnie tej nocy, ojcze...? a ten tam wódz na przedzie, czyś to jego na zbawienie wreszcie Polsce zesłał, Boże«?

Coraz zdalsza, coraz zdalsza brzmi śpiewanie trzystu tych walecznych, trzystu szaleńców, trzystu straceńców, idących na zdobycie Polski i Warszawy:

»Marsz, marsz, Piłsudski,
»Z Tobą łaska Boża!
»Zbudujemy Polskę
»Od morza do morza!«

Patrzyła za nimi, aż ich objęła w skrzydła płomieniste, wtopiła w siebie purpurowa zorza.

. . . . . .

Jak fale morza w czas straszliwej burzy, tak zmienne fale Wielkiej Wojny!

Przyszedł dzień, że powrócili Moskale do ziemi nad Wisłą i nad Nidą.

I do dworu siwej pani wtedy przyszli, z ciężkim, zwalistym, posępnym generałem na czele, wymierzyć sprawiedliwość...

Za bratanie się z polskimi »bandami«, za popieranie buntowników...

Pan generał całej tej ziemi nad Nidą i nad Wisłą chciał przykład dać jaskrawy... tak jaskrawy, aż pójdzie łuna krajem het daleko.

Pan generał z tych był Rosjan, o których mówi francuskie przysłowie: »Grattez le Russe, vous trouverez le Tartare...« Nawet, co się jego tyczy, tak dalece skrobać nie było potrzeba...

Młodzi letnicy rozlecieli się już byli wszyscy, jak ptaki przed burzą. Samą zastał pan generał siwą panią, z młodszym tylko synem, któren wstępował do legionów i przyjechał matkę pożegnać.

I tutaj, u matki, ogarnęła go fala...

Pan generał nie miał wprawdzie na to najmniejszego dowodu, że młody człowiek wstępuje do legionów, bo tego przecie nie miał na czole napisane! że jednak, jak się rzekło, pragnął przykład dać, o którymby głośno było po Prywiślańskim Kraju, aresztował go, i na kibitkę! dom zaś, w którym ugoszczono buntowników, na spalenie!

Zuchwale, z szatańską radością patrzył w twarz siwej pani, gdy krótkie, nieodwołalne, bezmiłosierne wydawał rozkazy.

Może się błagań i łez spodziewał, w duchu się radował, że mu się włóczyła będzie u nóg brzęczących ostrogami, ta harda Polka, ta dumna, biała głowa...?

Wszystkiego, wszystkiego się możesz doczekać, carski generale, nawet tego, że kiedyś twoi sołdaci z rozkoszą bić ciebie będą »po mordu«, jak ty ich bijałeś całe życie, a potem najokrutniej zamordują ciebie...! tylko tego nie, tego jednego nie, żeby ci w oczy patrzyła błagająco ta siwa polska pani, i łaski twojej żebrała!

Gdy syn aresztowany siadał na kibitkę, między czterech sołdatów — gdy go jej zabierano niewiadomo dokąd, niewiadomo czy nie na zawsze! głowę syna konwulsyjnie objęła biednemi, drżącemi rękami, i całowała długo — ale i wtedy łzy nie puściła z oczu, bo tuż obok stał generał, patrzył urągliwie, posępny, zwalisty, ogromny...

»Bądź zdrowa, moja mamo«!

»Synu, bądź zdrów! Bóg z tobą! Wszystko to za Polskę!«

Tak się żegnało tych dwoje pod wrogiemi oczami.

Gdy ruszyła już z więźniem kibitka, przez tęsamą białą bramę, za którą odszedł ongiś powstaniec-młodzieniaszek, idący zginąć pod Miechów... za którą świeżo odeszło trzystu walecznych pod Komendantem, nowych powstańców! — siwa pani spokojna, z podniesioną głową powróciła do skazanego na śmierć domu, pożegnać go jeszcze...

Na czterech rogach, sołdaci, sumiennie pilnowani przez oficerów, nagromadzali spiesznie stosy drzewa, wiązki słomy, naftą polewali.

Przechodziła pokój jeden za drugim... wszystkie, wszystkie, żadnego nie pominęła... żegnała dom umrzeć mający za chwilę, jak się żegna umierającą osobę kochaną. Tu się urodziła, tu jej całe życie, cała jej dusza! nie wystawiała sobie nigdy, aby gdzieindziej żyć mogła.

A za nią krok w krok, dzwoniąc szablą, ostrogami, chodził śledczo z cygarem w zębach pan generał, jak szatan za udręczoną ludzką duszą.

Przystanęła w bawialni, rozejrzała się... ostatni raz!... po starych, cudnych, stylowych meblach... po włoskich ośmnastowiecznych pastelach jak delikatny różowawy świt i blade błękitne niebo o świcie... po flamandzkich wnętrzach i martwych naturach, wygładzonych jak emalia o barwach bogatych... po tych, nad wszystkie ukochanych, przez jej zmarłego męża skrzętnie skupowanych, heroicznych, przebujnych obrazach Matejki...

Kochała wszystko co piękne, a wszystko to iść miało na zagładę...

Nad czarnym marmurowym kominkiem, pan marszałek w wiśniowym kontuszu na tle kolczug i karabel, na tle bladego złota i uwiędłej purpury, patrzy z góry spokojnie, dostojnie, zda się groźnie, na mundur nienawistny generała, na rozrządzającego się po starem jego gnieździe wroga...

Spotkały się oczy siwej pani z oczami ojca na portrecie, tym arcyportrecie, w któren mistrz niby zaklął go żywego... Z tym świętym dla niej wizerunkiem obcowała od lat, niemal jakby z człowiekiem żywym, długie, smętne dni starości upływały jej naprzeciw niego, pod jego wzrokiem...

Coś się nagle złamało w duszy siwej pani!

Zapytała głosem zdławionym... generała zapytała, czy możnaby wynieść... choć to jedno? ojca zmarłego portret, wielkie dzieło Matejki?

A zaraz, jakby się jej poskarżyła miniatura brata-powstańca: A ja?... a mnie zostawisz?...

»Panie generale! ten także... dawno umarłego wizerunek«!

Lecz generał, trzcinką uderzając po cholewach glansowanych butów, krótko i węzłowato: Niet! Niczewo!!!

Po pokojach, dokoła, dudniły buciska sołdatów, znoszących paliwo, i rozlegały się brutalne śmiechy, a zza okien lamenty służby.

Nim dał jednak do podpalenia znak ostateczny, pan generał przypomniał sobie przecież, że jest dżentelmenem, a to kobieta, i staruszka...

»Madame! rzeczy do osobistej służące potrzeby możecie zabrać sobie... bieliznę, suknie..«

Ale odpowiedziała mu tylko zabijającem pogardą, wyniosłem spojrzeniem, i tymsamym jak cięcie noża wyrazem, któren on jej rzucił przed chwilą:

»Nie! nic!! Palcie wszystko«!!!

I z umierającego domu wyszła z pustemi rękami, już bezdomna, gdy już zapalano dach nad jej głową, — prowadząc za sobą służbę rozszlochaną, bezradną, cisnącą się do niej jak do matki, jak do zbawienia.

Za bramę ich wywiodła, i tam usiadłszy w przydrożnym rowie, z kieszeni różaniec wyjęła, z którym nie rozstawała się nigdy, i różaniec odmawiała w milczeniu, patrząc jak dom jej płonął, jak wysoko, ponad najwyższe parku drzewa, czerwona, straszliwa pożoga.

Rany Boskie!! Rany Boskie! Przenajświętsza Częstochowska Panienko!! — zawodziły w koło niej kobiety, a dzieci wystraszone płakały piskliwie, żałośliwie.

Od gospodarskiego obejścia, rabowanego przez sołdatów, ryk bydła przejmujący, i krzyk parobków poturbowanych, gdy bronić chcieli bydła.

...Boże! Boże! sił mi dodaj, abym nikogo nie przeklinała!!.... jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.... Wszystko to za Polskę, Panie! wszystko coś mi odebrał, przyjmij za Polskę wolną!!

Wysoko, wysoko pod niebo płonie dwór stary, jak stos ofiarny, sprawiedliwości wzywający — a siwa pani się modli.

Za syna, co go w gorzką niewolę moskiewska kibitka uwozi, coraz dalej od niej, coraz dalej, Bóg wie gdzie!...

I za starszego syna który tam w Galicji także już w polskim mundurze, wnet pono w ogień ruszy z drugą brygadą...

I trzeciego tego równie w modlitwie ogarnia sercem matczynem, któren w blasku sennej wróżby ukazał się jej kiedyś tylko na chwilę, a ona od tej chwili weń uwierzyła, że on Zbawca będzie!

...któren teraz gdzieś tam w polu ze swoimi chłopcami głową mur przebija, losy Polski niesie na ostrzu swej szabli, i honor Polaków!...

. . . . . .

Krwawe, czarne, żałobne dni na Polskę...

I żałobne, czarne, krwawe na siwej pani biedną głowę...

Tak teraz ona, niby żywy obraz tej Polski, żałosnej wdowy, po najlepszych synach sieroty: tej Polski bezdomnej, tułaczej, co jej dach spalono nad głową, a ziemię pod nogami wróg deptał bez litości, rył jak kret, orał morderczym pługiem wojny...

W pół roku po spaleniu starego dworu, i wywiezieniu syna na kraj świata, w matkę bolesną nowy cios uderzył: najkrwawszy!

Starszy syn, ten co w Karpatach, w drugiej brygadzie legjonów, — po bohatersku padł w karpackim lesie, broniąc pozycji, którą też swą śmiercią obronił. Pochowano go gdzieś we wspólnej leśnej mogile, i nigdy się nawet nie dowiedziała matka, gdzie grób pierworodnego syna.

O drugim, w głąb Rosji wywiezionym, ani słychu całe lata... ani słychu nawet czy żyje. Przez całe lata, gdy się za niego modliła matka, całą żarliwością, całym bólem serca, duszy, na końcu zawsze modlitwy dodawała, kłoniąc głowę: »A jeśli już nie żyje, wieczne odpoczywanie!...«

Rosja z Niemcami i Austrją wydzierały sobie kolejno polskie ziemie, niby ten postaw sukna skrwawiony. Zachodnie państwa Polski sprawę wciąż jeszcze uznawały za »wewnętrzną sprawę Rosji«...

I zdawało się długo, długo, że nigdy już Polsce słońce nie zaświeci — jako że się i nigdy nie utuli zranione matki serce...

Po nocy dzień! Po burzy dał Bóg jasną pogodę! Rozkazał słońcu świecić jasno, jasno, jak od 150-ciu lat już Polsce nie świeciło!

Jeszcze łzy nie oschły, jeszcze... ale już płyną cichsze, nie takie, jak wtedy, kiedy się zdało, że dusza krwią żywą płacze...

Jeszcze nie porosły groby... ale minie lato, jesień, zima, przyjdzie królewna-wiosna i wszystkie mogiły, wszystkie straszliwe rany polskiej ziemi zielonym, kwiatami dzierganym, majowym płaszczem nakryje...

I tylko na polach z czasem ślad zostanie, strasznych lat znak, zacierający się z każdą wiosną... i tylko na ludzkiem sercu, co krwawiło tak srodze, do śmierci już blizna pozostanie...

Z popiołów Polska wstawała, w chwale jak słońce, wielka, zjednoczona i wolna!...

Nad Polską na straży, oparty na mieczu, Wielki Żołnierz, pierwszy z jej żołnierzy! On co szedł do wolnej Polski trzydzieści długich lat, w męce i trudzie, przez śniegi Sybiru, przez carskie i pruskie cytadele; ścigał go wróg bez litości, a nie zdołał zgubić, zabić, bo z nim był Bóg, bo Bóg go przeznaczył na wielkie rzeczy, i wyprowadził z matni.

On, co pierwszy dobył polskiej szabli, kiedy ta dawno w ziemi rdzewiała, i tą szablą naostatek dziedziny już wolnej Polski o trzecią część rozszerzył: po Styr, po Horyń, po Dźwinę! Litwa, Białoruś, połowa Wołynia wbrew wyrokom wersalskich Minosa, Eaka, Radamanta zdobyte, to jego królewski dar, rzucony Ojczyźnie pod nogi!.....

...Który, gdy przed siedmiu laty zjawić się miał w starym dworze, Polsce jeszcze nieznany, sybirski go wygnaniec, zmarły pan marszałek, córce, siwej pani, przepowiedział we śnie:

Dzisiaj wstąpi ktoś wielki w nasz dom!...

. . . . . .

Lato, upalne, złote, jak to z przed siedmiu lat.

Odbudowuje się Polska, w zgliszcza obrócona wojną, i dźwiga się w górę z murowanych zrębów siwej pani dwór, co spłonął jak ofiarny stos.

Lato! lato! lipy od kwiecia jak przytrząśnione bladem złotem, w powietrzu słodka, miodna woń; nad lipami pszczoły brzęczą, pod lipami w poręczowym fotelu staroświeckim siwa pani nad krosnami, dziś już nie siwa, ale bieluteńka jak mleko, i tem wszystkiem co się na nią waliło bez litości, zda się, do ziemi przygięta, przecież na jej twarzy uśmiech cichej pogody.

Wyszywa, wyszywa pilnie nicią srebrną, to złotą, ale od krosien oczy wypłakane, uśmiechnięte, podnosi cochwila, by spojrzeć tam, skąd huk młotów i siekier, gdzie raźno idzie robota, i wnet wstanie zmartwychwstały jej dom.

Nie ten już, nie ten, co spłonął, z ukochanymi wspomnieniami młodości, ze skarbami świętych pamiątek... ten już nie wróci, jak i umarli nie wrócą... liść opada, zielenieje nowy liść, nie zatrzymać życia w biegu...

Przy budowie, dźwigającej się krzepko z gruzów, dozoruje, robotnikom wydaje rozkazy, w mundurze polskiego oficera, z krzyżem waleczności na piersi, jedyny już dziś syn siwej pani, którego jej Bóg ustrzegł w carskich turmach, w bolszewickiem piekle, i przywiódł matce z powrotem.

Siwa pani z pod lip spogląda na tego, cudem jej wróconego, i Bogu dziękuje, za wszystko dziękuje... za złe i dobre!

Już dziś wszystko, co przecierpiała, co przebolało serce, mgłą się zasnuło jakiejś cichej, zaświatowej pogody...

Drobne, blade, pomarszczone ręce nad krosnami zwijają, zwijają się żywo: siwa babcia ornat wyszywa do kościoła, za Polskę Bogu na podziękowanie, ornat na białym, przecudnym atłasie. Wśród tła połyskliwego, nakształt mlecznych pereł roztaczają srebrne skrzydła białe orły o twarzach aniołów, czy anioły w strzępiastych piórach polskich królewskich ptaków. Tak sobie siwa pani wydumała w kochającej wszelkie piękno, artystycznej swojej duszy — i tak cienkiemi, chudemi paluszkami staruszki, igłą, jakby pędzlikiem, tę wizją swojej duszy maluje, orły-anioły...

Dokoła srebrzystych piór rozwianych złoty łaciński napis się wije, z gotyckich starych inicjałów, które jak najcudniejszy ornament, — modlitwa z samej głębi serca siwej pani:

BOŻE
BŁOGOSŁAW NACZELNIKOWI PAŃSTWA
JÓZEFOWI

którego ś przeprowadził przez wszystkie zasadzki nieprzyjaciół!

KONIEC.

28/4 — 6/5 1922.